

# Zacharyasiewicz Jan

## MILION NA PODDASZU

*Obrazek z niedawnej przeszłości*

W pierwszych miesiącach tak zwanego „Królestwa Kongresowego” wyglądała Warszawa tak przepelnioną, jak tego dawno nie pamiętano. Najrozmaitsze postacie uwijały się po ulicach miasta, stały po rogach, witały się, rozmawiały i z pewną gorączką żegnały się i oddalały. Wszystko to nosiło cechy wyjątkowego życia stolicy.

Łatwo odgadnąć powód tej wyjątkowości. W kraju nastąpił nowy stan rzeczy. Napoleon odpłynął na wyspę św. Heleny, wojsko polskie wróciło do kraju, a kongres wiedeński ułożył nowe warunki bytu Królestwa. Tym sposobem we wszystkich kierunkach życia społecznego następowały zmiany. Społeczeństwo polskie było podobne wówczas do wezbranej rzeki, której powoli uspakajając się i opadać zaczęły. Ustępować w dawne koryto wody znalazły tam wiele zmian, pierwiej nie było. Tam utworzyła się głębia; tu

piasek porobił wyspy i wysepki, a gdzieindziej znowu zwały się kamienie i potworzyły nieprzeparte zapory. Tak wyglądało społeczeństwo polskie po przebytych wielkich katastrofach, po wezbranych aż do marzeń na dziejach, po których potrzeba było wrócić do twardej, nieubłaganej rzeczywistości i z nią się pogodzić na czas długi.

Wojsko wróciło do kraju. Tysiące rodzin pospieszyły do stolicy, aby tam szczęśliwie przy życiu pozostałych jak najprędzej powitać, albo dowiedzieć się przy najmniej o szczegółach śmierci tych, którzy nie powrócili...

To też na ulicach można było zaraz poznać, kto nie znalazł tutaj krewnych. Smutnie, z głową w ziemię spuszczoną, chodzili i patrzeli na wszystkie strony, czy jeszcze gdzie nie obaczą twarzy ukochanej, a przynajmniej czy nie rzuci im kto z litości kilka słów pocieszających, któreby im wystarczyły na kilka godzin słodkiej nadziei...

Byli tacy, którym z wszelkimi szczegółami powie dziano, że ten lub ów poległ na polu walki, a oni jednak nie chcieli wierzyć, bo wierząc temu, musieliby — umrzeć z bóleści!...

Koło kolumny Zygmunta zbierały się zazwyczaj całe tłumy takich nieszczęśliwych i wzajemnie udzielały sobie wiadomości w dniu dzisiejszym zdobytych. Wiado

mości te były częstokroć tak fantastyczne, że tylko rozdarte serce matki, bolejąca dusza ojca lub szalona rozpacz żony, mogła im uwierzyć...

Od czasu bitwy pod Lipskiem widziano przez pięć lat wysokiego, chudego człowieka, w dużej, rogatej czapce, chodzącego po Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie, od kolumny Zygmunta aż do „trzech krzyży.” Przed każdym przechodzącym stawał, witał go i pytał, czy znał nie i nie widział gdzie jego syna...

Przez dziesięć lat widywano staruszkę codziennie na wszystkich pryncypalnych ulicach, która jedynaka swego szukała. Zglądała do wszystkich zajazdów, podsłuchiwała rozmów przechodzących, płakała i modliła się, wierząc sercem macierzyńskim, że jej syn nie zginął, że wróci! A kiedy w celi szpitalnej potrzeba było rozstać się z tym światem, nieszczęśliwa staruszka płakała rzewnie, że Bóg nie dozwolił jej jeszcze trzech dni życia, gdyż w tych dniach niezawodnie syn jej nadciągnie do Warszawy i nie będzie nawet miał z kim się serdecznie przywitać!..

A takich jak ten ojciec, szukający w końcu już tylko z nałogu synaswego, jak ta matka, wierząca w powrót jedynaka, były tysiące, tylko ich boleść i nadzieje nie objawiały się w formie tak ekscentrycznej. Siedzieli oni smutno i cicho, na poddaszach i pierwszych piętrach, ścierali Iżę gołą ręką lub chustką batystową...

Do przeludnienia miasta przyczynili się także i ci,

którzy z nowego stanu rzeczy korzystać chcieli. Kraj potrzebował nowej organizacyi, wojsko tak zwanej reorganizacyi. Jedni chcieli z czystych pobudek dla kraju pracować, inni dla chleba, a wielka część była takich, którzy w tych nowych robotach widzieli szerokie pole dla swojej ambicyi i dumy.

Do tego jeszcze dodać należy, że po takich wysileniach, jakie kraj w ostatnich latach poniósł, podupało wiele fortun a tysiączne zastępy nowego proletaryatu weszły do stolicy, jako do serca kraju, aby tam znaleźć kawałek chleba, lub przynajmniej się razem biedą swoją cieszyć.

Oprócz tych widocznie biednych ludzi, były jeszcze krocie innych, którzy do ubóstwa otwarcie przyznać się nie chcieli. Nie byli to wprawdzie ubodzy w zwykłym znaczeniu tego słowa, ale byli ubodzy w stosunku do tego, co przedstawiać mieli.

Ludzie ci byli nieszczęsną puścizną smutnych ostatnich czasów Rzeczypospolitej. Ojcowie ich, porwani dziwnym niewytłómaczonym dotąd psychologicznie szaleństwem największych zdrożności życia, rzucili w ten szaleństwa swoje majątki i pocziwe wspomnienia rodowe. Scho dząc do grobu, przekazali swe historyczne nazwiska nie dołącznym potomkom, którym fortuny nie zostawili, a którym [...] uczyć nie kazali... Pozostałki ostatnich, cy

nicznych teorii życia, nie, mieli nawet w sobie tyle poczciwego instynktu, aby wstąpić w szeregi wojska na rodowego. Wybladli i głodni woleli wycierać salony warszawskie i z dnia na dzień przemyślać o grożącym jutrze. Mimo to miny ich na pozór oznaczały ludzi do statnich fortun, a marzenia ich przewyższały niejednego milionera.

I dla tych ludzi była dzisiaj pora bardzo korzystna.

Wielu z nich, nie mając swego żywota niczem namar kowanego, pogodziło się z nowym stanem i przeszło w intratną służbę do przeciwnego obozu, mając za pod władnych tych, którzy pod SammoSierra szli na mor dercze baterye. Inni w inny sposób starali się przyja zną sytuację exploatować.

Jeżeli zaś któremu z nich Opatrzność proste nogi dała i na tułowiu twarz nie bardzo szpetną osadziła, ten uważał już siebie za uwolnionego od wszelkiej po żytecznej pracy. Potrzebował tylko te nogi i tę twarz starannie pielęgnować, wierząc silną wiarą Turka, że za nie powinien bez żadnej pracy dostać znaczną fortunę z dodatkiem żony.

I bardzo logicznie rozumowali sobie podobni spe

kulanci. Według ich wyobrażeń czasy prawdziwych za  
sług dla kraju, które to zasługi zawsze sowsie zaszczy  
tami i fortuną wynagradzane były, bezpowrotnie minęły.  
Nie było więc nadziei, aby czems można było podtrzy

mad dawny lustr narodu. Trzeba więc było ratować  
zagrożoną ubóstwem pozycją społeczną bogatem ożenie  
niem się, do czego nigdy milionowych ochotniczek nie  
braknie. W zamian bowiem za milion daje się niepo  
ślednie nazwisko, herb na drzwiczki od karety i guziki  
liberyi... więcej?... Na cóż więcej, jeśli to wystarcza?..  
A z takich właśnie ludzi składało się towarzystwo,  
w które teraz czytelnika wprowadzamy. Każdy z nich  
mógłby przynajmniej być ministrem przy innych okoli  
cznościach, dzisiaj pozostało tylko marzenie — o posa  
znej żonie!

## I

W niewielkim saloniku, urządzonym z wielką wy  
kwintnością siedziało pięciu młodych mężczyzn. Obrazy  
wiszące na ścianach okazywały, że gospodarz domu był  
kawalerem. Obok koni i chartów były nagie kobiety,  
obok scen myśliwskich, były kopie starożytnych greckich  
utworów. Przy zegarach, zwierciadłach i innych sprzę  
cikach, był nieunikniony kupido ze złotą strzałą, orna  
ment tak wysoko ceniony za czasów panowania Stani  
sława Augusta.

Siedzący na niskich krzesłach mężczyźni byli mło  
dzi. Żaden z nich, jak się zdawało, nie przekroczył je  
szcze o wiele trzydziestego roku życia. Wszyscy mieli  
ogromne czuby na środku głowy do góry misternie  
wzniesione, jak to nakazywała ówczesna moda. Peruki  
bowiem już były zeszyły, a długi czas krótko strzyżone  
włosy rosły teraz bujnie i obficie. Kołnierze od sur  
dutów, które jeszcze nieco m fraki zakrawały, były wy

sokie i sięgały aż do uszu. Białe chustki grubo na szyi  
nawiązane z misternym węzłem a poniżej długie tak  
zwane francuzkie westy uzupełniały ubiór najważniejszej  
części ciała ludzkiego. Na piersiach pozostały jeszcze  
u niektórych żaboty, a u rękawów koronki.

Jeden z nich był brunet i w rozmowie nazywano  
go Podkomorzycem. Drugi miał blond włosy a przed  
chwilą nazwał go służący panem Podczaszycem. Trze-  
ciego bladego szatynka zwano po prostu Hektorem z do-  
datkiem czasem herbu Leliwy, a dla uzupełnienia tra-  
dycji greckiej czwarty o rudawej czuprynie miał imię  
Achila. Piąty najmniej respektowany a najczęściej mó-  
wiący, nazywał się krótko Lesio z dodatkiem Piława.

Po niejakej pauzie, którą właśnie sprawiły słowa  
Hektora, że dzisiaj u pani Podkomorzyny nie będzie  
żadnego liczniejszego zebrania, na które większa część  
przytomnych liczyła, ozwał się Lesio Piława:

— Ja nie myślę wcale ubiegać się o jaki urząd.

Z urzędem połączone są rozmaite nieprzyjemności — do  
tego służba dzisiejsza publiczna djabła warta! Dawniej,  
kiedy to były dobra koronne...

— Jerzy przyjął rotmistrzowstwo w pułku szaserów,  
wtrącił Hektor.

— W wojsku jeszcze pół biedy, ale do pióra i zie-  
lonego stolika, to trudno się przyzwyczaić, dodał Pod-  
komorzyc.

— Gdyby przynajmniej zacząć od czegoś, na przy-  
kład od pułkownika, jak to ongi był powiedział JM Pan  
Potocki. Ale wysługiwać się po brudnych koszarach  
i potem wchodzić na salony JMPani Wojwodziny, która  
ma tak delikatne nerwy, że te koszary na dziesięć kro-  
ków czuje, to rzecz niepodobna! zagadnął Podczaszyc  
— Mais savezvous? Lolko się żeni i bierze  
dwa miliony gotówką! ozwał się Achil, podgarniając  
czuba.

— Sapristi! że takie szczęście żadnego z po  
czciwych ludzi nie spotka! zauważył Podkomorzyc.  
Teraz zaszła rozmowa wyłącznie do posażnych pa  
nien stolicy. Wszyscy mówili, każdy swoją wiadomość  
dorzucił, a działa się to wszystko z takim zajęciem, że  
trudno nawet było rozeznąć, kto mówił.

— Mówią, że Izabela nie będzie miała więcej nad  
dwakroć! Starościna mydli oczy konkurentom!

— Andrzej jest bliski deklamacyi, bo mu mecenas  
podszeptał, że Tela będzie miała pół milionka!

— Ale nie wiecie, jakie nieszczęście spotkało Ste  
fana! Przez dwa lata śpiewał włoskie piosenki i cho  
dził do Karmelitów na ranne nabożeństwo, a nawet  
mówią, że jeden wielki post cały pościł... a teraz po  
wiedziano mu, że panna Eliza za życia mamy dobro  
dziejki, która jest czerstwa i zdrowa, nic nie dostanie  
prócz peryodycznego dowozu legumin i innych kuchen

nych akcesoryów, Jeżeli Stefan, jak to pannie obiecywał,  
zechce mieszkać w stolicy...

— Que diable! To sprawa niemiła! Trzeba  
wielkiej zręczności do wycofania się...

— Stanisław najlepiej sobie poradził. Upatrzył so  
bie bogatą rzeźniczkę, chodził codziennie na kiszki  
i flaki...

— Que ditesvous! I miałby się z rzeźniczką  
zenie? Cóż to by był za dom dziwny!

— I owszem! Mielibyśmy najlepsze szynki i kiel  
basy po postnym obiadku u Wojewodziny!

Tutaj otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł niski,  
okrągławy człowieczek z błyszczącymi bryłkami na  
brzuchu. Niegdyś był może brunotem, dzisiaj przebija  
jącą siwinę nacierał jakimś czernidłem, a wychylając  
się nieprzyzwoicie łysinę zasłaniał starannie długimi  
kosmykami włosów nagarniętymi aż gdzieś z boku.

Mimo to z rumianej, świecącej się twarzy przyby  
łego gościa widać było, że w skrytych marzeniach swoich  
jeszcze do młodzieży się liczył, chociaż napozór z wielką  
ostentacją ten przymiot od siebie odpychał, nazywając  
się zawsze starym. Nie lubił jednak, jeżeli inni tym  
przymiotnikiem go nazywali. Wtedy nawet był impe  
tyczny.

— Kubaś, Kubaś! wołali wszyscy na wyścigi po  
wstali, aby przyjaciela uściskać.

Kubaś miał dzisiaj twarz prawdziwego dyplomaty. Brodę schował w wysokie kołnierzyki i szeroko zawiązała, chustkę, cybulaste oczy potoczył po zgromadzonych | z pewną niedowierzającą nieufnością i czekał na pierwsze słowa.

— Stary Kuba coś nam dzisiaj ciekawego przynosi! zawołał Hektor, uderzając go po ramieniu.

Kubaś skrzywił się, rzucił kapelusz na krzesło i odburknął :

— Z wami nie podobna jest jednego słowa na serwo przemówić. Macie zawsze dziecinne żarty ! Tu zerknął Kubaś do zwierciadła i poprawił mozołnie z boku nagarnionego czuba.

— Ależ ojczy Jakubie! Patryarcho nasz przewielebny ! Rozprowadź fałdy czoła twego, które nie są oznaką starości, ale zapamiętałego gniewu! improwizował Lesio ze słodkim uśmiechem.

— Skończcie wasze żarty! odfuknął Kubaś — wiem ja lepiej od was, że nic jestem młodzikiem, ale...

— Ale mężem w pełnej sile wieku! przerwano mu naraz z różnych stron.

Kubaś jeszcze raz wysłał na zwiady swoje wypukłe oczy. Obszedł nimi wszystkie nosy i na pół otwarte usta, chciał nawet pogłębiać pod czaszka zaglądnąć, ale nie potrafił. Na wypolerowanych czołach odbiły się nie

posłuszne oczy i poraż drugi nie chciały próbować szczęścia. Kubaś zadumał się, jakby się z czemś wahał.

Towarzysze obskoczyli go dokoła i zaczęli się do niego przymilać, obsypując go pieszczotami.

— Zaczekajcie, ozwał się po niejkiej chwili Kubaś, którego czasem po przydomku antenatów Krzywda nazywano.

Wszyscy zasiedli miejsca swoje, zostawiając kanapę dla nowo przybyłego.

— Wielką nowinę wam przynoszę, zaczął Kubaś Krzywda, krewniak wielkiego pisarza koronnego, nowinę, która was wszystkich aż do szpiku poruszy!... Jest w Warszawie panna z milionem posagu!

— Milion posagu! krzyknęli wszyscy, rzeczywiście aż do szpiku tem słowem rażeni.

Krzywda zaturbował się tym entuzjazmem. Ob szedł znowu oczyma wszystkie nosy i czoła. Coś się w nim odzywało, że zrobił głupstwo, ale inaczej być nie mogło. Miał on widocznie jakiś planik ukryty, ale właśnie dla tego planiku potrzeba było wypowiedzieć to czarodziejskie słowo.

Zmartwił go jednak i zaniepokoił efekt, jaki na to warzyszach sprawiły jego słowa. Hektor zmarszczył czoło, jakby gotów był stanąć do walki śmiertelnej o ten milion, Achil spod oka spojrzał na niego, przy pominając mu tem wejrzeniem dzieje nieszczęśliwej Troi,

w których Ach[...] objija Hektora... podkomorzyc z dumą wydał usta, jakby chciał tem powiedzieć, iż z prawa ten milion jem.; się należy, czemu jak najwyraźniej protestował podczaszyc, gładząc świeżo ogolone wąsy. Le sio Piława jak się zdawało nie windykował dla siebie całego miliona, ale miał niepłoną nadzieję, że przez zręczne obroty można będzie jaki prezencik z niego dla siebie okroić.

Wszystko to niepokoiło Kubasia. To też chciał zaraz zmazać ten efekt następnem słowem, nad którym właśnie przemyślał. Ale słowo takie w żaden sposób nie chciało przyjść mu do głowy. Pomogli mu towarzysze.

— Milion posagu! powtórzyli chórem, a głos ich był dźwięczny, jakby wszyscy byli tenorami.

— Tak jest, milion posagu! odparł zakłopotany Kubaś, ale ten milion stanie się wtedy rzeczywistym milionem, jeżeli wy więcej wiecie odemnie o nim i moją wiadomość w należyty sposób uzupełnicie!

— A cóż ty wiesz? Cóż ty wiesz? Gadaj, tylko prędko! zapytali wszyscy z niecierpliwością.

— Ja wiem tylko tyle, powoli ciągnął Kubaś, że . ten... milion... jest na poddaszu!

Wymówisz ostatnie słowo, spojrzał Kubaś ciekawie po twarzach towarzyszy. Twarze te jednak okazały biednemu Kubasiowi, że źle rzecz obliczył. Słowo „poddasze” nie tylko nie zmazało efektu „milion”, ale owszem



spotęgowało go. Wszyscy byli nadzwyczaj rozciekawieni. Łatwiej bowiem wziąć milion z poddasza, niżeli z pałacu, lub zamku. Tam można lada świecącym pozorem omamić, tu wszyscy znają się na pankowanych lisach. — Milion na poddaszu! zawołane? chórem, to istna awantura, to złote runo, po które nawet Jazon nie po trzebałby przejść wzburzonych bałwanów morza!... Ależ do licha! jakże ten milion dostał się na poddasze. Opowiedz!

Kubaś już był widocznie takim obrotem rzeczy zmar twiony. Przemyślał tylko teraz nad tem, jak to popro wadzić swoje opowiadanie, aby dopiąć i celu ukrytego swego planiku, a u niebezpiecznych przyjaciół nie wzbu dzić zbytecznego apetytu do tego miliona!

Jedno i drugie wobec tak czujnych adwersarzy było nader trudnem zadaniem. Potwierdzały to ich twarze. Na każdej malowało się jakieś zamyślenie... zdaje się, że każdy z obecnych był już myślą na tem szczęśliwem poddaszu i pierwszym szturmem brał ten milion dla siebie, odpychając współzawodników...

Kubaś westchnął skrycie i może poraż pierwszy w życiu pomyślał sobie, że nie jest tak młodym, jak inni..

### III.

Kubaś przystąpił wreszcie do opowiadania, jakim sposobem dowiedział się o milionie na poddaszu. — Przechodziłem właśnie, mówił głosem niepe wnym, przez rynek starego miasta. Byłem tam inco gnito u Fukiera, gdzie zazwyczaj posilają się do pro cesów dobrym węgrzynem prawnicy, a z których jednego właśnie szukałem... Otóż przechodząc przez rynek oba czyłem nagle podeszłą kobietę, która przy straganie z różnemi wiktuałami stała, jak by coś kupić chciała. Stara kobieta miała twarz dosyć szpetną i resztki pań skiego dawniej ubioru na sobie. Wyglądała na jakąś zubożałą szlachciankę, która jednak jeszcze zapomnieć nie może, czem była. To wybijało się na jej ponurej, do rozkazów dawniej przywykłej twarzy. Targowała dosyć długo płaskankę sera. Przy niej stała prześliz... co mówię... dosyć zwyczajna dziewczyna, która mogła

być jej wnuczką. Twarz jej była... dosyć pospolita, nawet tuzinkowa, oczy... już nie wiem jakie!

Widocznie zmęczył się Kubaś tak kunsztownymi zwrotami. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Po chwili dalej ciągnął:

— Kiedy tak na nie patrzyłem, przysunął się do mnie jeden z powracających od Fukiera prawników i furknął mi w ucho: milion posagu!... Pojmiecie, że podobne słowa mogą odurzyć człowieka!

— Ale panna zapewne po tych słowach wyładniała do posagu Wenery! wtrącił z ironią Achil.

— stała się mądrą i uczoną, jak Konfucjusz wielki filozof chiński! dodał Hektor.

— Co do piękności, podjął Kubaś, to nie trzeba było czekać na te słowa, aby wiedzieć, że jest... że nie jest tak bardzo brzydką! Ale piękną, we właściwym znaczeniu tego słowa nigdy podobna twarz być nie może...

Podkomorzyc uderzył przy tych słowach w dłoń i zawołał z uśmiechem doświadczonego człowieka:

— Rzecz układa się wybornie! Milion posagu, panna szpetna, babunia na poddaszu! Nic łatwiejszego jak porwać milion przy brzydkiej pannie! Gdyby była piękna, to sprawa trudniejsza! A tak, koledzy...

Widocznie przestraszył się Kubaś tego niespodziewanego zwrotu. Pogniewał się sam na siebie, że tak

nieznacznie opowiadanie pokierował, rozpaczliwym ruchem ręki odsłonił kryjącą się wstydliwie łysinę i odparł szybko:

— Panna wcale nie jest brzydką, a nawet pod pewnym względem może uchodzić za ładną!

— Mniejsza, czy ładna czy brzydka, rozumna czy głupia, ale milion, cóż ten milion? Zkąd tam milion? pytali wszyscy.

— Otóż teraz kolej na was, odpowiedział z wystraszeniem oczyma Kubaś, sprawdzić ten milion wasze

mi znajomościami bogatych rodzin naszych. Mnie się zdaje, że prawnik zadrwił ze mnie !

— Jakże się nazywa ta nieoceniona babunia z tym ładnym milionkiem i gdzie mieszka? zapytał podkomorzyc

— Mieszka na poddaszu, róg ulicy Eymarskiej i Leszna... nazywa się szambelanowa Mirska!

— Szambelanowa Mirska! powtórzyli wszyscy i spojrzeli po sobie wzrokiem badawczym.

Głucha cisza zapanowała w saloniku. Złośliwy kupidyń z wyprężonym łukiem zdawał się uśmiechać do wszystkich... Psotnik wypuścił niewidocznie kilka złotych strzałek, ale żaden nie dał poznać, że te strzałki trafiły...

— Szambelanowa Mirska, podjął po długiej chwili podkomorzyc, którego oczy dziwnie zabłyśły Mirscy

są nawet w jakimś pokrewieństwie z nami po kądzieli... nieboszczka babka moja była Mirska z domu...

Wnet jednak przybrał twarz spokojną i obojętną, dodając z ironicznym uśmiechem:

— Ale co do miliona, to palestrant prawdopodobnie zadrwił z ciebie kochany Kubasiu! Szambelan Mirski miał wprowadzić znaczną fortunę, ale przehulał wszystko. Należał do tężyzny i przeteżyźnił wszystko! Szambelanowa, kobieta dziwaczna, nie miała także znacniejszego majątku, co było powodem, że po śmierci męża cofnęła się zupełnie od dawnych swoich znajomych, zakopawszy się na jakimś folwarku w głębokiej Litwie! Podczaszyc śledził z uwagą twarz mówiącego, jakby chciał się przekonać czy podkomorzyc mówi prawdę. Ironiczny uśmiech, którym czasem usta okręcał, okazywał, że podkomorzycą podejrzewał. Wkrótce jednak i on przybrał twarz spokojną i obojętną. Prawie od niechcienia bawiąc się łańcuszkiem od zegarka, ozwał się.

— Wierzę w różne dziwactwa ludzkie, ale gdzie jest panna na wydaniu, która ma milion posagu, tam podobnego dziwactwa przypuszczać nie mogę. Milion jest to ładny brylant, którego się pod korzec nie chowa, ale oprawia się go w złoto, aby zwabił drugi milion do siebie. To jest zasadą najskąpszych matek, cioci i babuń!... A co się tyczy samej szambelanowej, to wiem

tyle, że tam była kiedyś fortuna, ale poszła jeszcze za życia nieboszczyka szambelana...

Hektor patrzył na jednego i drugiego i także zdawał się sprawdzać to wszystko, co widział, z tem, co słyszał. I po jego twarzy przebiegł chwilowo jakiś żywszy wyraz, ale i on ten wyraz wyrugował z swej twarzy i z widoczną usilnością przyoblekł ją w wyraz obojętności i niezachwianego spokoju.

A wszyscy trzej byli podobni w tej chwili do wprawnych graczy, którzy dobre karty dostali, a jednak starali się ukryć to przed sobą. Achil już z samego dziejowego antagonizmu podejrzliwie zmierzył Hektora, a Lesio w tym razie był o tyle szerszym od innych, że usta szeroko z ciekawości otworzył i ich bynajmniej nie zamykał.

— Mirscy coś tak i z nami są spokrewnieni, rzekł po dłuższej pauzie Hektor — ale my tam nigdy do tego się nie przyznawali. Już to jest nie mały kłopot w towarzystwie z Litwinkami. Mówią haniebnie, a są jakoś czy tak oryginalne, czy nieokrzesane, że czasem wstydić się trzeba takiego, kuzynostwa!... Szambelanowa wdowa nie miała nigdy znacznego majątku, a jeśli dzisiaj na poddaszu mieszka, to jest tylko dla mnie powodem, aby o tem nie wiedzieć!

— Myślicie, że to milion można z rękawa wytrząsnąć! zauważył Achil — fortuny wielkie upadły dzisiaj

a to, co się świeci, to szych i blichtr!... Prawnik za pewnie napił za wiele węgryzna i dodał kilka zer...

Lesio chciał z otworzonej gęby także jakie słowo wypuścić, ale przeszkodził mu w tem Kubaś.

Kubaś z nadzwyczajną uwagą słuchał mówiących i patrzył na nich. Wypukłe jego oczy biegały z jednego nosa na drugi. Było w nich widać niepokój i pewne niedowierzanie. W Końcu usiłował przybrać twarz obojętną, co mu się fatalnie nie udawało. Pełne i rumieńcem świecące policzki jego były jakoś dzisiaj tak tkliwe na każde poruszenie wewnętrzne, że steno grafowały z całą skrupulatnością sprawozdawcy parlamentarnego najskrytsze myśli i przelotne marzenia z wszelkimi poprawkami i uzupełnieniami!

— To też ja palestrantowi nie wierzyłem, ozwał się po jakimś namyśle, bo cała rzecz była niejakoś nie prawdopodobna ? Powiedziałem wam jednak o tem jako dobry przyjaciel i spodziewam się, że wy także będziecie mieli dla mnie tyle wdzięczności, że podzielicie się zemną tem, co się w tej sprawie dalej dowiecie. Już z samej ciekawości warto czasem o niej pomówić... bo innego znaczenia nie można do tak dziwnej wieści przywiązywać !  
Wszyscy zamilkli, uważając całą rzecz za wyczerpaną. A gdy się niektórzy do wyjścia zabierali, zapytał podkomorzyc:

— Jakież macie program na jutro?... Może koło południa zebralibyśmy się znowu tutaj na pogadankę!  
— Ja najprzód oświadczam, że nie przyjdę, rzekł podczaszyc, mam jutro interesa w trybunale i to w południe...  
— Dla mnie jutrzejszy dzień, jest dniem feralnym jak każdy piątek, ozwał się Hektor, dla tego zostanę w domu!  
— Jutro właśnie mam być w Mokotowie! tłóma czył się Achil...  
— A ja mam jutro naradę z mecenasem! dodał Kubaś i spuścił oczy do ziemi.  
Pozostały sam jeden Lesio nic nie powiedział, bo większość już i tak zerwała jutrzejsze posiedzenie.

#### IV.

Dziwnym, nieodgadnionym sposobem zeszli się na zajutrz wszyscy niedaleko teatru w południowej godzinie. Teatru nie było dzisiaj, znajomych także żaden z nich nie miał w tym zaułku miasta. Spojrzeli po sobie i przez chwilę namyślali się, co jeden drugiemu ma powiedzieć. Był to bowiem czas, w którym jeden miał być w trybunale, drugi w Mokotowie, trzeci na

naradzie z mecenasem a czwarty miał w tym dniu, jako w dniu feralnym, siedzieć w domu za piecem!... Tym czasem wszyscy prócz Lesia znaleźli się jakoś tutaj ko leją dziwnym przypadkiem...

— A gdzież tak szparko dążysz Hektorze, zapytał z ironicznym uśmiechem podkomorzyc, i to jeszcze tak wyświeżony, jakby to nie był wcale dla ciebie dzień feralny, ale dzień wielkiego szczęścia...

— Wyobraź sobie... wypadł mi nagły interes, od parł Hektor., przyjechał mój stryj... a gdzież to ty spieszysz?

— W tym samym jestem wypadku, co ty kochany Hektorze, odparł z uśmiechem podkomorzyc, z tą tylko różnicą, że dla mnie dzień dzisiejszy nie jest feralnym i że nie stryj ale ciotka moja przyjechała do miasta! Uśmiechnęli się, uściskali i poszli dalej osobnymi drogami, jeden na lewo drugi na prawo.

Za kilka minut spotkał Hektor podczaszyca, który biegł co tchu naprzód.

— A mości podczaszycu, zawołał Hektor, toś nie w trybunale? Wszak to godzina roków...

— Ach! Przekłęci palestranci! Szukałem mego pa trona... odparł przytomnie podczaszyc... a gdzież ty biegiesz?

Hektor dał mu tę samą odpowiedź, co podkomorzy cowi, podczas gdy tenże podobną odpowiedź dawał w bo cznej ulicy Achilowi, z którym się tam spotkał.

Zdawało się, że po tych przypadkowych spotkaniach rozbili się przyjaciele na wszystkie strony miasta, i że już dzisiaj więcej z sobą się nie obaczą. Jeden poszedł na wschód, drugi na zachód, trzeci na północ, a czwarty na południe. Trudno było o bardziej różne kierunki dróg na bożym świecie.

Za dziesięć minut wtoczyła się zamknięta dorożka na ulicę Rymarską. Zwolniła coraz mniej biegu, wreszcie stanęła przy pierwszej kamienicy na Lesznie. Sta rannie ufryzowana głowa wychyliła się z dorożki i re

kognoskowała kamienicę. Wreszcie po krótkiej rozmowie z dorożkarzem wymknął się z dorożki jakiś jegomość i szybkim krokiem wbiegł do sieni.

Był to Hektor. Lśniący kapelusz nasunął w sieni na oczy, a twarz zakrył długim płaszczem z krótkim kołnierzem.

Chodził niejakiś czas z widocznym niepokojem po sieni. W sieni nie było prawie nikogo. Wszedł ostrożnie na piętro.

Była to kamienica stara, ciemna. Schody szły nie regularnie, za każdym krokiem można było kark skrócić.

Po wielkich trudach dobił się Hektor do pierwszego piętra. Tu długi czas oglądał się na wszystkie strony, ale nie było ani żyjącej duszy. Wreszcie na galery i usłyszał jakieś kroki. Idąca po wodę służąca pojawiła się na progu.

— Czy tu mieszka pani szambelanowa Mirska? za pytał Hektor jak mógł najciszej.

— Pani szambelanowa? odparła zadziwiona służąca, a z kądby się tu szambelanowa wzięła?

— Ma mieszkać na poddaszu... jest z nią wnuczka, szambelanowa może mieć lat siedmdziesiąt.

Służąca rozśmiała się figlarnie, pokazała Hektorowi szereg białych ząbków i rzekła:

— Jakaś pani z ładną dziewczyną mieszka na poddaszu... ale któż tam wie, czy to wnuczka, czy co! A

państwa tam wielkiego nie ma! Stara pani sama z targu nosi wiktuały i mają tylko dochodzącą sługę....

Hektor zamyślił się na chwilę. Ubóstwo szambelanowej stanęło mu jak złowrogie widmo przed oczy.

Wprawdzie słyszał coś o niej, że gdzieś tam w głębokiej Litwie mieszkała, słyszał, że nieboszczyk szambelan przehulał fortunę... Łatwo więc być może, że szambelanowa zupełnie podupała i teraz do miasta się przywlokła, aby u krewnych żebrnąć...

Myśl ta straszna radziła mu natychmiast wrócić.

Było niebezpiecznie przyznawać się do pokrewieństwa ubogiej kobiety, która prawdopodobnie żebrac będzie po tych salonach, na których on błyszczał pozornym majątkiem...

Rozważywszy to wszystko, postanowił odstąpić od zamierzonej wizyty. Wypadki bowiem nagłego zubożenia bogatych dawniej rodów były podówczas w Polsce bardzo zwyczajne. Ostatnie katastrofy, lata bezmyślnego

szału, przyprowadziły wielu do torby żebraczej. Były to zwykle skutki przeobrażania się stosunków społecznych i państwowych kraju.

Wszystko to nakazywało Hektorowi cofnąć się od zamierzonego kroku. Im gorsze były schody, po których tu się drapał w ciemności, tem niepodobniejszym stawał mu się milion na poddaszu! Po rozmowie ze słuchającą było to wprost bajką.

Hektor podziękował Bogu, że go zawczasu ostrzegł, podziękował ładnej kuchareczce o białych ząbkach i już pierwszy schód do ciemnej otchłani był przekroczył gdy nagle usłyszał na dole podkomorzycza.

Podkomorzyc podniesionym głosem pytał się kogoś w sieni o mieszkanie szambelanowej...

Hektorowi zaparł się oddech w piersiach... Cóż tu robić? Czy spotkać się oko w oko z podkomorzycem? Cóż ma w takim razie powiedzieć? — Jakże znieść jego szydery uśmiech? Czy przyznać się do kłamstwa? — To były pytania, które w oka mgnieniu przebiegły przez zakłopotaną głowę Hektora. A nigdy pewnie nie opuściła go tak dalece wszelka odwaga... W tej chwili nie mógł w żaden sposób spojrzeć w oczy podkomorzycza.

Czasu do namysłu nie było... na schodach dały się już słyszeć kroki podkomorzycza...

Bądź co bądź Hektor nie chciał iść w oczy podkomorzycza... na pierwszym piętrze nie było się gdzie ukryć, służąca jeszcze nie zeszła z korytarza... Postanowił iść na drugie piętro i tam szukać jakiego schronienia...

Na drugim piętrze był właśnie jakiś młody czło wieczek z miną czupurną, który dyscypliną chciał wytrzępywać kubrak... Hektorowi nic innego nie pozostało, jak iść na poddasze, iść na chybitrafi i tam na pier

wszych schodach czekać jakiejś lepszej myśli, co dalej



robić!...

Jeżeli na schodach pierwszego i drugiego piętra był zmrok szary, tutaj była już noc zupełna... Zaraz za pierwszym krokiem rozgniół sobie Hektor kapelusz na głowie, za drugim krokiem uderzył nosem w jakiś bałek wystający...

Wyprawa po milion zaczęła przybierać rozmiary tragiczne, ale cofnąć się nie było podobna! Za sobą słyszał już kroki podkomorzycy... a na domiar tego wszystkiego usłyszał na dole głos trzeci, który wyraźnie brzmiał jak głos podczaszycy...

Hektor postanowił z rozpaczliwego swego położenia skorzystać. Ciemno było jak w rogu, mógłby się więc ukryć i spokojnie oczekiwać dalszego przebiegu rzeczy. Szczęściem natrafił na jakiś korytarzyk i tam przycupnął.

Zdaje się, że podobne fatum prześladowało także i podkomorzycy. Być może, że i on chciał się cofnąć z tej awanturycznej wyprawy po milion, ale i jemu za grodził drogę los zawistny... Usłyszał za sobą podczaszycy!

Przez sympatyczne pokrewieństwo myśli przechodził te same fazy różnych planów co i Hektor, i obaj zeszli, się rażem w korytarzyku pod płacem ototani jak najmisterniej wiekową pajęczyną!... Hektor chciał mu się

z drogi usunąć, aby o niego niezawadził i mocniej przyparł się do dachu, gdy nagle nadusił jakiś przedmiot miękki i ciepły... Usunął się czempredzej i w śmiertelnej trwodze zaparł oddech w piersi... Podkomorzycy przesunął się koło niego...

Za kilka minut powiększyło się to warzystwo podczaszycy. Jaki wypadek tam go zapędził, czy kroki Achila czy Lesia za sobą usłyszał, tego ani Hektor ani podkomorzycy odgadnąć nie mogli...

Teraz dopiero nadciągała straszna scena. W poikoiku za drzwiami słyhać było rozmowę:

— Wielmożna pani, ozwał się głos kobiecy, coś się ropocze na korytarzu, pewnie złodzieje!

— Złodzieje! odpowiedział głos surowy, a cóż chcą złodzieje od biednych ludzi? Zaświeć pannu i popatrz! Była to straszna chwila dla ukrytych... Za dwie minuty otworzyły się drzwi, ukazała się ręka starej kobiety z kagańcem... potem wydobył się nos... za nosem świecące jak marmur żółte czoło i para straconych oczu ..

— Jezus, Marya, Józef! ozwał się krzyk z pod drzwi, czterech złodziei! Gwałtu złodzieje!...

Tu kaganiec z palącym się knotem upadł na ziemię... drzwi się zatrzasły... i ciemność ogarnęła wszystko!  
Hektor poczuł, że ciepły przedmiot tuż koło niego

odsapnął, ruszył się z miejsca i wypadł na schody. Za nim pospieszył podcieszyc, za podcieszycem podkomo-  
rzc, a w końcu wysunął się i Hektor.

W przeciwległej kamienicy w sieni stał Lesio i pa-  
trzał jak jeden po drugim wypadali z sieni, nowalani  
kurzem i omotani pajęczyną. Pierwszy wytoczył się z  
sieni.. Kubaś, za nim inni. Achil chodził po ulicy i  
tylko rekognoskował.

Lesiowi dziwne myśli przychodziły teraz do głowy.  
Antenaci tych wszystkich brali także milionowe fortuny,  
ale tych fortun dobijali się z bronią w ręku w służbie  
Rzeczypospolitej, a wnukowie ich umiały tylko robić  
wyprawy po milion posagu, chociażby gdzieś na podda-  
szu... Czy czasy się zmieniły, czy ludzie tak znikczem-  
nieli?...

V.

Kiedy bohaterowie wyprawy po milion różnymi  
drogami do miasta dążyli w tej błogiej nadziei, że za-  
den z nich przez drugich nie był widziany, zapadła na  
tajemniczem poddaszu uchwała wielkiej wagi dla przy-  
szłości.

Poddasze to tajemnicze nie miało nic szczególnego.  
Składało się z czterech małych pokojów i przybocznej  
małej kuchenki. Pierwszy pokój służył mieszkańcom  
za salonik. Dla tego tylko tak go nazywamy, że nie  
był ani sypialnią, ani kuchnią. Sprzęty bowiem nie  
miały w sobie nic salonowego. Mała, wypłowiała ka-  
napka z czerwonego merynosu, sześć krzeseł tąż samą  
materią obitych, dwa stoliki, klawikord, kilka wazoni  
kół kwiatów, oto wszystko, co się tutaj mieściło. Na

ścianach wisiało kilka starych obrazów, które tylko znawca specjalny mógł osądzić, czy miały jakąś wartość. Między nimi wisiało kilka małych świeżych malowideł

i tuszem czarnym lub sepią robionych obrazków, które wyglądały na studia jakiegoś amatora.

Z tego pokoju wychodziły drzwi na prawo do małej komnaty, w której stały dwa łóżka. Po lewej stronie była izdebka przeznaczona jak się zdaje na garde róbkę, w której za parawanem stało łóżko skromne, jak się zdaje, służącej.

W pierwszym pokoiku siedziała właśnie podeszła matrona z marsową twarzą. Była to sama pani szara belanowa. Koło niej rysowała kredką na papierze młoda osóbką, z drobnymi rysami twarzy. Trzecia, podeszła kobieta siedziała pod piecem i przędła. Wrzeczono furczało w jej wprawnych palcach a nie wysnowała się jak cienka pajęczyna. Twarz prządki była znacznie zmarzczkami poprzecinana, w oczach jednak był jakiś wyraz młodości serca.

Pani szambelanowa czytała coś na książce. Była to kobieta podeszła, mogąca liczyć lat siedemdziesiąt. Twarz miała przedłużoną, rysy ostre. Nos długi kończasty, usta szeroko rozkrojone, brwi w złamanym łuku podniesione do góry, czyniły ją podobną do ideału szambelanowej nadzorczyń w więzieniu.

Przy takich zewnętrznych przymiotach nie można się było dziwić, że ś. p. szambelan oderwał się jak najspieszniej od tego więzienia doczesnego. Ci jednak, którzy szambelanowa dawniej z bliska znali, byli tego zda

nia, że ś. p. szambelan nie miał tak czego spieszyć się na wędrówkę zagrobową, gdyż ta była w każdym razie nie pewną a pani szambelanowa miała tyle rozsądku a nawet ujmującego obejścia się, że mógł jeszcze wygodnie ze dwadzieścia lat na tym świecie pozostać,

a nawet po swojemu grzeszyć, na co rozumna małżonka była zawsze wyrozumiała.

Długie lata wdowieństwa miały szambelanowa bardzo odmienić. Zakopała się gdzieś na wsi, w głębokiej Litwie i prawie zdziczała. Odosobnienie swoje od świata motywowała upadkiem fortuny i długami pozostałymi po mężu. Przez lat trzydzieści kilka gospodarowała sama z ekonomami i włodarzami. Żywot taki nie mógł korzystnie wpłynąć na jej powierzchowność. Ubiór jej przedstawiał najczęściej dwa wieki. Były tam resztki z dawnej elegancji dworu Stanisława Augusta z nowożytnymi wymysłami mody, która najczęściej w karykaturze przychodziła na Litwę.

Majątek szambelanowej, w którym się po śmieci męża zamknęła, był prawie mytem dla całego sąsiedztwa. Nikt jej po za kopcami tego majątku nie widział, nikt u niej nie bywał. Opowiadano najrozmaitsze o niej baśnie. Mówiono, że w czasie wielkich upałów chodzi nago po ogrodzie, że sama krowy doi, że stajni gnój wyrzuca, wódkę chłopom szynkuje, a długimi wieczorami pierzę skubie albo przędzie. I te drobne wiado

mości wyszły z domu jakimś nadzwyczajnym wypadkiem, bo nie było przykładu, aby jaki sługa lub jaka służąca, która raz do tego zakłętą dworu się dostała, opuściła służbę i sąsiadom tajemnicę dworu zdradziła.

Osamotnienie takie jak również i przyzwyczajenie do wydawania codziennie różnych rozkazów gospodarskich, odbiło się widocznie na jej twarzy. Była to twarz carowa, na czole zawsze zmarszczona. W jej spojrzeniu był rozkaz, jej głos rozkazywał, a nawet w uśmiechu, który rzadko gościł na jej ustach, było coś rozkazującego.

W ostatnich latach skarżąc się na długi, biedę i nędzę, sprzedawała szambelanowa majątek, i skromną bryką z wnuczką swoją jedyną, której matka umarła a ojciec gdzieś zginął w legionach, przyjechała do Warszawy. Tyle mniej więcej wiadano o szambelanowej. Dziś w Warszawie prawie nikt jej nie znał.

Wnuczka szambelanowej, która w tej chwili na pa pierze kredą rysowała, było to dziewczę cudnej piękności. Mogła mieć lat dziewiętnaście. Twarz miała białą, owalną. Oczy duże, czarne, patrzyły na świat z jakąś ustawiczną bojaźnią, jakby przeczuwały, że ten świat nie może im dać tego wszystkiego, co tam po za niemi marząca dusza sobie roi!... Usta różowe jak pączek nierozkwitłej róży chciały się widocznie składać do uśmiechu, ale coś płoszyło zawsze ten uśmiech, coś mu

Milion na poddaszu.

nie dało się rozwinąć. A często zamiast uśmiechu za witało na te młode usta coś cierpkiego, bolesnego, jakby przecucie, że kiedyś może trzeba będzie wiele cierpieć, wiele płakać!...

Wszystkie te melancholijne oznaki przyszłych cierpień i zawodów zwyciężała młodość i zdrowie, które w całej pełni tryskało na tej pięknej, miążkowej twarzy. A twarz ta była ubrana w najpiękniejsze jasno blond włosy, jakie tylko wówczas w całej koronie znaleźć można było. Włosy te w naturalnych kędziorkach spadały na skronie i białą szyję, i czyniły ją podobną do twarzy jednego z aniołków Rafaela, który wsparty na ramach obrazu z nieba na ziemię wygląda!...

Siedząca pod piecem prządka należała do służby i tworzyła cały dwór prawie szambelanowej.

Taki był wewnętrzny obraz poddasza, gdy nagle usłyszała prządka jakiś szelest za drzwiami.

VI.

Szelest za drzwiami powtórzył się raz, drugi i trzeci. Przy trzecim razie najwyraźniej ktoś macał po drzwiach. Był to właśnie podczaszyc, który w ciemności nie mógł się zorientować. To już prządkę widocznie przestraszyło.

— Wielmożna pani! coś się ropocze po korytarzyku! Pewnie złodzieje!

Szambelanowa spokojnie podsunęła okulary na czoło i spojrzała na prządkę i odparła:

— Złodzieje? A czegożby chcieli złodzieje od biednych ludzi?... Wstań panna, zaświeć i popatrz!

Po tych słowach nasunęła szambelanowa znowu okulary na nos i zaczęła dalej czytać spokojnie.

Gdyby ją w tej chwili kto widział, z jakim spokojem i rezygnacją mniemanych złodziei albo nawet może

rabusiów czekała na tem osamotnionem poddaszu, byłby przysiągł, że ta kobieta miliona mieć nie może! Tak

spokojnymi mogą być tylko ludzie biedni, bardzo biedni, którym ani ogień nic spalić, ani woda zabrać, ani złodziej ukraść nie może!

Rysująca na papierze wnuczka nie przerwała nawet swego zatrudnienia. Gdyby nawet spokój babuni był spokojem sztucznym, wyrobionym przez różne gorzkie doświadczenia życia, to spokój młodej dziewczyny był naturalnym spokojem ludzi, którzy od złodzieja niczego nie potrzebują się obawiać.

Dopiero gdy stara prządka z kagańcem do sieni się wychyliła i znane już słowa w przestrachu wyrzekła, odłożyła babunia okulary, zamknęła książkę i wstała powoli, aby się naocznie o nieproszonych gościach przekonać.

Tymczasem upadł i rozbił się kaganiec, a drugiego prawdopodobnie na poddaszu nie było. Potrzeba było zaświecić świecą. Zrobienie światła nie było także wówczas tak łatwym jak teraz. A gdy to w końcu nastąpiło i szambelanowa z zimną odwagą drzwi na korytarz otworzyła, nie było już tam nikogo!

— Waćpannie coś się przywidziało, złota rybeńko! rzekła spokojnie szambelanowa i obeszała ze świecą korytarz. Poco by tu złodzieje przy chodzili! Kilka starych gratów i kwita! Dawniej to było inaczej... dzisiaj zbiegnielismy !...

Mimo tych uspakajających słów drżała prządka na

całym ciele. Jasnowłosa blondyneczka odłożyła także kredkę, i zamyśliła się nad tem, po co tu mieliby przychodzić złodzieje? Czy tu jest skarb jaki?...

Szambelanowa wróciła ze świecą, ale na twarzy już nie miała tej spokojności, z jaką wychodziła. Znalazła na belkach ślady rąk wyciśnięte na odwiecznym

pyłe. Ślady były widocznie świeże. Niechcąc jednak trwożyć wnuczki ani starej prządki, utrzymywała uporczywie, że nikogo tam nie było!

— Ależ wielmożna pani, mówiła prządka, widziałam ich na własne oczy! Było ich czterech, a jeden miał oczy jak cebule! Patrzył na mnie tak przeraźliwie że mi tchu w piersi nie stało!

— Rybeńko, Elżbieto! odparła szambelanowa, na na starość przywiduje ci się i kwita!

— Na rany Chrystusa, wielmożna pani! widziałam, nieprzymierzając, jak widzę teraz wielmożną panie!...

— A jakże wyglądali ci złodzieje? zapytała wnuczka i podparła ręką głowę.

— A istne złodzieje! Złodziejskie twarze i oczy! Tak patrzeli, jakby tutaj Bóg wie co było do wzięcia! Wnuczka uśmiechnęła się, spojrzała do zwierciadła, które naprzeciw niej wisiało i odgarnęła ze skroni włosy:

— Ależ opiszcie mi Elżbieto, rzekła po chwili, jako oni wyglądali?

— Ei, to nie byli zwyczajni złodzieje! prawiała Elżbieta, mieli bardzo porządne ubranie na sobie, kapełuszki i płaszczki z krótkimi kołnierzykami, ze srebrnymi albo złotymi klamrami na piersiach, bo się coś mocno błyszczało!. Jeden z nich kucnął pod płacem, drugi obok niego przycisnął się do dachu, trzeci oparł się kominem, a czwarty wyglądał z poza drzwi!...

Szambelanowa zagasila świecę i usiadła na krześle. Wysokie jej czoło pofalowało się.

Siedziała tak długi czas zamyślona. Elżbieta tym czasem odmawiała pacierze, patrząc na drzwi z widoczną trwogą.

— Babuniu, ozwała się wnuczka, kreśląc bezmyślnie kredką po papierze, przecież to jest smutno, że my na całym poddaszu same mieszkamy. Jeszcze teraz pół biedy, ale tylko za kilka tygodni, gdy nadejdzie zima i długie zimowe wieczory...

— Masz słuszność Tereniu, odpowiedziała szambelanowa, właśnie nad tem myślę!

Babunia umilkła a wnuczka kreśliła dalej różne bezmyślne kreski na papierze.

Długi czas trwało milczenie. Terenia wypełniła to milczenie jakimiś tak dziwnymi myślami, z jakich sobie sama zdać sprawy nie umiała. Myślała o złodziejach tak żywo wymalowanych przez Elżbietę, widziała ich wychodzących z ciemnego korytarzyka i wchodzą

cych do pokoiku, kłaniając się grzecznie, ale w ich oczach było coś strasznego!...

— Otóż słuchaj Tereniu, co zrobić zamyślam, rze kła szambelanowa. Będzie to i z pożytkiem dla nas i bezpieczeństwem. To prawda, że na całym poddaszu samym kobietom nie bardzo bezpiecznie siedzieć. Gotów jaki łąta myśleć, że mamy skarb ukryty i nas cichaczem podusić. Wprawdzie żal by mu potem było, gdyby nic nie znalazł, ale ten żal jużby się nam na nic nie zdał! Trzeba więc zawczasu coś zrobić, aby i ludziom złym nie dać pokusy do grzechu i sobie to mizerne życie jeszcze na czas jakiś zabezpieczyć!

— Ba, ale cóż zrobić w takim razie? zapytała Terenia a serduszko jej zapukało niespokojnie.

— Mamy jeden zbytni pokoik. Leżą tam tylko stare gazety i nic więcej. Trzeba ten pokoik odnająć!

— Odnająć?... A komuż go odnająć? z niejakim zadziwieniem zapytała wnuczka.

— A jużci jakiemu porządnemu lokatorowi. Byłby więc mężczyzna jeden na poddaszu a nawet i kilkanaście złotych w dodatku. Jedno i drugie dobre, bo w dzisiejszym naszym stanie na wszystko uważać trzeba. Terenia w tej chwili myślała tylko o jednym.

O drugim wiele nie myślała, bo o tem słyszała często z ust babuni. Szambelanowa bowiem zawsze narzekała na złe czasy, na wydatki i na dzisiejsze ubóstwo swoje.

— Tak więc się zrobi Tereniu, prawda dalej, pokoik ten z osobnym wychodem wporządzi się zaraz dzisiaj po południu. Elżbieta każe go służącej czysto wymieść, a ty Tereniu zajmiesz się sama, aby go jako tako urządzić. Postawi się tam sofka, co jest na strychu, tapczan, dwa krzesła i jedno zwierciadło. Jak chcesz możesz tam także zawiesić kilka obrazków swoich, które i tak poniewierają się na strychu. Ja bym była za królem Janem III z dużymi wąsami. Patrzy on jak



żywy człowiek, i zdawałoby się, że jest dwóch mężczyzn na poddaszu!

— Przecież nam jakoś śmielej będzip, ozwała się z pod pieca Elżbieta, jeżeli jaki mężczyzna tutaj za mieszka!

Terenia już tych słów starej prądky nie słyszała.

Biedne, osamotnione dziewczę puściło wodze swojej wyobraźni dziewiętnastoletniej, a młoda dusza wymknęła się w jakiś świat inny, zupełnie nowy! Przed jej oczy ma przechodzili długim szeregiem różni lokatorowie i dopraszali się o ten pokoik... Odmówiła jednemu, drugiemu, trzeciemu... "zwarty był jakoś uparty, nie chciał odejść... zapłakała... a lokator zajął pokoik!...

— A ty Tereniu, mówiła dalej szambelanowa, na pieszsz ładnie na kartce papieru: „Tu jest pokoik do najęcia.” Tę kartkę przylepi potem Elżbieta z Annuską na dole na mnrze, aby każdy wygodnie mógł czytać.

— A może dodać: „na poddaszu?” zapytała Terenia w jakimś roztargnieniu.

— Nie, tego dodatku nie potrzeba, odpowiedziała babunia. Jeżeli z góry przeczyta kto, że na poddaszu, to machnie ręką i pójdzie dalej. A tak będzie chodził po kamienicy, z piętra na piętro i zajdzie wreszcie do nas. Trzeba więc ten pokoik tak przystroić, aby zapomniał, że to na poddaszu i sobie go upodobał!... Wżyciu tak często się dzieje!

Czarne oczka Tereni rozświeciły się jakimś blaskiem nadzwyczajnym!

## VII.

Zaraz po obiedzie, który Annuska z jakiejś garkuchni przyniosła, poszła szambelanowa do drugiego pokoju trochę przedrzemać się, jak to było jej zwyczajem. Terenia wzięła się zaś natychmiast do poruczonej roboty.

Wyniesiono na strych stare graty, podłogę zamieciono starannie. Ustawiono sofkę, łóżko, stolik i cztery krzesła. Reszta należała już do własnego przemysłu Tereni, aby ten pokoik przyjemnym i zapraszającym uczynić.

Gdy o tem pomyślała i słowa ostatnie babuni sobie przypomniała, zaczęło jej serce jakoś strasznie się nie pokoić. Raz chciało gwałtem przejść na prawą stronę, drugi raz chciało przebić lewą, aby się z tej ciasnej klatki uwolnić. Biedne dziewczę nie mogło sobie dać rady z tem rozkapryszonym sercem. Cóż jemu dzisiaj tak nagle się stało? Jaki może być związek między

niem a urządzeniem pokoika dla nieznanego lokatora? Cóż to jest, że ono mówi dzisiaj tą swoją dziwną, nie zrozumianą mową? Czyż ono odtąd zawsze będzie bić tak niespokojnie?...

Były to pytania, które sobie Terenia skrycie zadawała, ale na które odpowiedzi nie mogła. Stała na środku pokoiku i zamyśliła się. Spojrzała po pustych ścianach i zapytała siebie w duchu: — Czemże to te biedne i puste ściany przyozdobić, aby lokator, raz je ujrzawszy, już z nich nie wyszedł jak tego chce babunia?... Gdyby tu były jakie makaty lub złote obicia, to co innego... ale to białe wapno ko góż przynęci i zatrzyma?... Któż zechce tutaj zamknąć sobie świat cały, aby przez to okienko tylko trzy dachy widział?...

Smutno zrobiło się Tereni przy tych myślach. Ale cóż robić, trzeba przecie przystroić ten pokoik!... Powiedziawszy to sobie, wzięła się zaraz do pracy, nie tracąc czasu na próżne żale. najprzód potrzeba było okienko czemś przyozdobić, aby ta ozdoba choć w części pokrywała widok dwóch brzydkich kominów, które tuż przed okienkiem z sąsiedniego dachu sterczały. Na to była zaraz rada pod ręką. Znalazła się w przy niesionych rupiecach babuni jakaś stara, wełniana materya. Zręczne paluszki Tereni udrapowały tę materyę

po nad okienkiem w tak cudowny sposób, że wyglądała jak majowy obłoczek, spuszczający się na ziemię...

Teraz przystąpiła do ozdoby ścian. Jan III z marsowym wąsem już wisiał według rozkazu babuni; ale cóż on sam jeden tym pustym, białym ścianom po może?...

Terenia poszła na palcach do pokoiku, gdzie spała babunia i otworzyła dużą tekę, w której chowała swoje rysunki. Długo przewracała w tej tece. Wymowała i chowała na powrót. Ten brzydki, ów niestosowny, tamten za mało wykończony. Jakoś żaden z nich nie miał tyle ponęty, aby lokatora ułować...

Smutno już, bardzo smutno było Tereni. Lokatorowie warszawscy to ludzie zepsuci, widzą tyle ładnych rzeczy... jakże to coś im okazać, co by ich zająć i w tym pokoiku zatrzymać mogło? Może który przyjdzie, oględnie się i ze śmiechem ironicznym odejdzie?...

A może nawet który wprost powie, że to lub owo mu się nie podobało? Może by dobrze było, żeby to wszystko w ukryciu dalej leżało i żeby żadnego lokatora tem nie zapraszać?...

Kiedy tak bolesne myśli po pięknej głowie Tereni się snuły, wypadły z teki dwa duże kartony. Terenia podniosła je i z pewnem zadowoleniem zaczęła im się przypatrywać. Były to kopie znakomitego włoskiego miatra. Jeden karton wyobrażał poczciwego patriarchę,

gdy poraż pierwszy przy studni Rebeke obaczył, a drugi przedstawiał domowe sceny, gdy tenże tak długie lata nią się wysługiwał.

Kartony te były bardzo dobrze rysowane i kredą wycieniowane. Terenia uśmiechnęła się do swojej pracy i bez żadnej myśli ubocznej postanowiła temi kartonami ubrać ściany pokoiku. Dołączyła jeszcze do nich kilka pejzaryków, wynagradzając tym sposobem przyszłemu lokatorowi widok na dachy i okopcone kominy...

A kiedy to wszystko na ścianach w symetrycznych odstępach rozwieszono było i kiedy jeszcze nad łóżkiem zawisł mały z kości słoniowej misternie wyrzeźbiony krycyfiks na czernóm, hebanowem drzewie, zdawało się Tereni, że życzeniom babuni już stało się zadość, i że żaden lokator tego pokoiku tak prędko nie porzuci!

Trzeba było teraz przystąpić do pracy ostatecznej, ale oraz nader ważnej. Trzeba było bowiem napisać kartkę, pismem ładnem i zdaleka czytelnem: „Tu jest

pokoik dla kawalera do najęcia!..."

Zdawało się Tereni, że kartka taka miała wielkie znaczenie. Lokator bowiem najpierwej do niej przystępował. Stosownie więc do tego, jak ta kartka do niego przemówiła, albo wchodził do kamienicy albo szedł dalej. Chodziło więc o to, aby ta kartka tak do lokatora przemówiła, żeby wszedł i już więcej nie wyszedł...

Najprzód przyszła myśl Tereni, czyby tej kartce nie dać złotych obwódek, lub wprost napisać ją na złoty lub srebrnym papierze. Sprawiałoby to na przechodzących nie mały efekt i przyciągałoby ich oczy...

Po krótkim jednak zastanowieniu się, odstąpiła od tej myśli. Było w tym coś śmiesznego, a nawet niedorzecznego. Zresztą jak można komu na kartce obiecywać złoto, a potem okazać mu białe, wapienne ściany?...

Terenia pokręciła główką na znak, że tak robić nie chce i wzięła pióro do ręki, aby na prostym, białym papierze napisać owe zapraszające na poddasze słowa. Mimo to, kreśląc te słowa, nie mogła paluszkami swoim wzięść za złe, że pierwszą literę wypisała z pewną kieteryą, dodawszy do niej kilka zakręconych misternie ogonków. Słowo „pokoik” było tak zręcznie wycienione, że najprzód wpadało w oko, a litera K w słowach dla kawalera wiła się z taką jakąś tęsknotą, że mimowolnie musiała czytającego zebrać ochota, obaczyć te piękne paluszki, które tak wiele umiały pismem swoim powiedzieć...

Gdy już to wszystko zrobione było, wyszła szambelanowa ze swego pokoiku. Terenia okazała jej, co zrobiła. Szambelanowa obejrzała starannie pokoik do najęcia, uśmiechnęła się na widok kartonów przedstawiających sceny siedmioletniej służby zakochanego pa

tryarchy i uznała wszystko za dobre. Ale gdy kartkę przeczytała, zapytała z chmurką na czole:

A dla czegoż to wasędzka dodała „dla ka walera?” O tem przecież nie było mowy!

Terenia zarumieniła się jak piwonia, spuściła czarne oczka i odpowiedziała:

— Ja sądziłam, że w takim małym pokoiku nikt inny zamieszkać nie może!

Szambelanowa pokręciła trochę głowę, przeczytała raz drugi i trzeci i ozwała się w końcu!

— Tego dodatku wcale na kartce nie było potrzeba. Rozumie się, że w jednym pokoiku człowiek z rodziną mieszkać nie może. Ale kiedy już się napisało, to szkoda papieru, aby pisać drugi raz. Niechże i tak będzie!

Teraz musiała Elżbieta z żytniej mąki zrobić Majster, a korzystając z wieczornego zmroku za pomocą Annuśki przylepić tę kartkę na dole przy bramie w takim miejscu, aby każdemu przechodzącemu w oczy wpadała.

A gdy po długich kłopotach wreszcie kartka na murze przylepiona była, wróciły wszystkie kobiety na dawne swoje miejsca, na jakich zastali je mniemani złodzieje. Szambelanowa postawiła lampkę na stole, i zaczęła czytać w książce, Terenia wzięła ten sam pa-

pier i tę samą kredkę i zaczęła coś rysować, a panna Elżbieta siadła pod piecem z kądzielą.

Mimo tych pozornych zajęć, każda z nich myślała o dniu jutrzejszym, w którym właściwie dopiero czytelną będzie przylepiom na murze kartka, i o lokatorze, jakiego ona na poddasze sprowadzi.

## VIII,

Wieczne marzenia o przyszłym lokatorze pokoiku najbardziej ze wszystkich niepokoiły Terenię. Inaczej

jakoś wyobrażała go sobie od sędziwej panny Elżbiety, która widziała w nim łysego emeryta z podagrą w nogach, z którym czasami o pogodzie i słońcu mówić będzie. Lokator Tereni był wcale innym człowiekiem... był najprzód młodym i miał czarne włosy...

Więcej o nim powiedzieć nie mogła, lecz co chwila przybierał inną twarz. Nie mogąc sobie z tą ustawiczną przemianą dać rady, odłożyła całą sprawę lokatorską do dnia jutrzejszego, który najlepiej ją rozsądzi. Z tem postanowieniem, odśpiewawszy z babunią pieśń nabożną, położyła się do łóżeczka i przymknęła czarne oczka. Ale oczka te nie chciały się dzisiaj w żaden sposób skleić. Dawniej zamykały się tak łatwo dzisiaj stawało ustawicznie coś na przeszkodzie. Raz rozparł się w nich jakiś młody francuski żołnierz, któ-

rego ujrzała w przechodzie Napoleona do Moskwy, i wysoką czapkę swoją nie dał się rzęsom zamknąć. Drugi raz usiłował w te czarne oczka zagłędnąć jakiś wcale nieznamy człowiek, którego nigdy w życiu nie widziała i śmiałą ręką otwierał zawsze znużone powieki... To znowu coś jak błędny ogień, strzelało po tych oczkach, a gdy przed siebie spojrzała, obaczyła jakiegoś małego psotnika ze skrzydełkami motylemi u ramion, a łukiem naprężonym w drobnych rękach...

A kiedy wreszcie te jedwabne rzęsy jakoś się razem splątały i powieki na oczach przymknęły, stanęły przed nią znowu jakieś obrazy niepokojące, które ją nie miłosiernie trapiły! A nie mogła się ich pozbyć w żaden sposób!...

Śniło się jej, że koło tej kartki jej ręką napisanej zeszli się różni ludzie na ulicy i zaczęli głośno krytykować jej pismo. Jednym nie podobał się ogonek tak misternie nad T nakręcony, inni dziwili się, dla czego pokoik jest więcej od innych słów wycieniowany, a byli znowu i tacy, którzy z twarzą wybladłą, a cynicznym uśmiechem stroili różne żarty nad lekko nakreślonym K w słowie „dla kawalera” i odgadywali, czy to pisała stara panna czy młoda, piękna czy brzydka, bogata czy uboga?... Śmiechy i dowcipy towarzyszyły tym rozmowom i wszyscy patrzyli z ironią w okienko pokoiku...

Potem śniło się jej, że różni lokatorowie przychodzili oglądać ten pokój. Jeden powiedział, że ubogi, drugi ganił jej kartony i śmiał się z cierpliwości nie oszacowanego patriarchy, trzeci krytykował draperie firanek...

Terenia chciała płakać, chciała w rozpaczy pójść do klasztoru, ucieknąć od świata i ludzi... gdy ją nagle babunia wzięła za rękę. Terenia otworzyła oczy, serce jej biło niespokojnie — w pokoju był już dzień biały. — Miałaś rybeńko sen niespokojny, rzekła babunia przykładając rękę do jej czoła, dla tego obudziłam cię, płakałaś rzewnie, jakby cię kto zabijał!... Cóż to ci się śniło tak strasznego? Czy wczorajsi złodzieje? Terenia przeżegnała się i wstała z łóżeczka. Ubrawszy się na prędce pobiegła do okna, aby się przekonać, czy to może być prawdą, co się jej śniło o kartce. Zresztą ta kartka miała dzisiaj sprowadzić lokatora... jaki to będzie ten lokator?

Z bijącym sercem otworzyła okienko i wychyliła jasną główką na ulicę, po której roili się już tłumy... Z pomiędzy tłumu zatrzymał się jakiś jegomość i zaczął czytać... Jegomość miał siwą głowę, starannie okryty lisią czapką, która mu zachodziła aż na uszy. Na ramionach wisiał płaszcz granatowy z wytartym manesztrowym kołnierzem. W ręku miał trzcinę hiszpańską

i dużą chustkę kraciatą, którą ustawicznie czerwony nos obcierał...

Jegomość ten czytał kartkę, patrzył po oknach kamienicy i medytował. Terenia cofnęła szybko swoją jasną główkę aby stary jegomość jej nie ujrzał. Lokator taki nie był wcale podobny do jej wymarzonych lokatorów...

Po długiej medytacji stary jegomość wszedł do sieni, ale z niej wyszedł, machając laską i mówiąc do siebie: — Na poddasze! Ktoby tam codziennie chciał się drapać! Pewnie jakieś biedactwo tam mieszka!... Rzekłszy to, przeszedł z pogardą koło kartki i poszedł dalej patrząc na prawo i na lewo. Niejakiś czas była kartka osierocona. Nikt na nią nie spojrział nikt jej nawet nie widział. Tereni biło

serce, kto to teraz po tym starym, a brzydkim jegomości zwróci uwagę na tę kartkę zapraszającą na poddasze... Znowu z tłumu został się jeden. Był to człowiek słusznego wzrostu w okularach. Odczytał porządnie kartkę raz i drugi, obejrzał starannie wszystkie okna kamienicy, pokiwał głową i poszedł dalej! Zaraz po nim stanął jakiś biedny rzemieślnik, niosący węzełek pod pachą. Czytał długo i z uwagą. Odszedł kilka kroków znowu się wrócił i czytał... Pismo wydało mu się za porządne — pokiwał głową pewnie za drogi... odszedł!

Po drugiej stronie chodniku ujrzała Terenia młodego mężczyznę, ubranego z wielką elegancją. Miał płaszcz ciemno zielony z fantazją na lewe ramię zarzucony. Kapelusz lśnił zieleń, a z pod kapelusza wyglądały czarne pukle włosów misternie ułożonych. Twarz młoda, uśmiechnięta, rumiana miała wyraz wielkiego zadowolenia. W rękę miał elegant cieniutką laseczkę, którą zgrabnie wymachiwał w powietrzu. Biedniejsi ludzie ustępowali mu się z drogi.  
— Mój Boże! pomyślała sobie Terenia, gdyby to ten chciał przyjść i kartkę przeczytać!...  
Młody elegant, jakby podsłuchiwał tajne myśli Tereni, przeszedł przez ulicę i zaczął czytać zapraszającą kartkę...  
Tereni biło serce mocno... wychyliła jasną główkę — nie dla tego, aby być widzianą — ale aby widnieć, co robi elegant...  
Elegant czytał kartkę długo, bardzo długo. Przy tym wymachiwał laseczką na wszystkie strony... Zdało się Tereni, że już się zwraca do sieni, że już wkrótce będzie na poddaszu... gdy tymczasem jakaś piękna pani przeszła koło niego i niby się uśmiechnęła. Elegant odszedł od kartki i poszedł za tą piękną panią, poprawiając płaszcz i fryzurę...  
Smutno zrobiło się Tereni. Już nie chciała dłużej



patrzeć na losy biednej kartki... I tak śniadanko było gotowe.

— Ciekawa jestem, zagadnęła szambelanowa, jaki to lokator dopyta się do naszego pokoiku!  
Terenia westchnęła — a w tej chwili dały się słyszeć jakieś niepewne stąpania po ciemnych schodach. Wkrótce stanął ktoś pod drzwiami, namacał klamkę i lekko zapukał.  
Tereni mimowolnie ścisnęło się serce... dla czegoś? nie umiała sobie zdać sprawy!  
Przyszły lokator wszedł do pokoju.

## IX.

Wszystkie kobiety spojrzały z ciekawością na nieznajomego, który w tej chwili stanął przed nimi. Był to człowiek zupełnie zwyczajny. Mógł liczyć lat dwadzieścia kilka. Twarz miał trochę zwiędłą, jak by ostrym wiatrem zwarzoną. Dwoje niebieskie oczu patrzyło spokojnie przed siebie. Włosy krótko strzyżone, jakiegoś ciemnego koloru jeżyły się do góry, jak sierść u głodnych, biednych zwierząt. Okrywał go płaszcz z ciemnego szaraczka, stalową klamrą na pierś spięty. W ręku trzymał starannie jedwabny, czarny kapelusz, aby go gdzie nie uszkodzić.

Terenia spuściła oczy na papier i dalej rysowała. Nieznajomy jakoś nie był podobny do wymarzonych lokatorów.

Szambelanowa patrzyła czas niejaki na nieznajomego, czekając od niego pierwszego słowa. Ponieważ jednak nieznajomy wcale słowa nie wypowiedział, tylko upor

czywie milczał, rumieniąc się lekko na twarzy, rzekła, do niego:

— Waćpan zapewne przychodzisz, aby ten pokoik

obaczyć, o którym ci powiedziała kaftka na dole?

— Tak jest, odparł widocznie zakłopotany niezna-  
jomy, mówiono mi, że tutaj jest ten pokoik.

— Chodźże waćpan, rzekła szambelanowa i obejrzyj-  
go sobie dobrze, czy ci się podoba.

Ezekłszy to wstała od stołu i wyszła do sieni z klu-  
czem od pokoiku.

— Pokoik mały, mówiła otwierając sama, ale czy  
sty i suchy. Dla jednego człowieka to dosyć.

Nieznajomy wszedł za nią do pokoiku i zaczął się  
na wszystkie strony oglądać. Szambelanowa śledziła  
z uwagą wszelkich jego poruszeń, jakby odgadnąć chciał?,  
ozom ten młody człowiek być może.

Tymczasem pozostałe w pokoiku kobiety rozma-  
wiały z sobą o nowym lokatorze.

— Zdaje mi się, że on tu mieszkać nie będzie,  
mówiła panna Elżbieta, furcząc wrzecionem, zresztą ja  
kiś młodzik i chudeusz! Po całych dniach nie będzie  
w domu, a późno w nocy będzie się nabijać! Byłoby  
lepiej, gdyby lokator był stateczniejszym człowiekiem.  
Siedziałby w domu, a nawet czasem możnaby jakie sło-  
wo z nim pomówić!

— I mnie się zdaje, odparła Terenia smutno, że

on tu mieszkać nie będzie! Prawdopodobnie niepodoba  
mu się pokoik...

Zaledwie te słowa wymówiła, weszła szambelanowa  
napowrót do pokoju z nieznanym. Terenia spojrzała  
z trwogą na niego, aby z jego twarzy wyczytać, co po  
stanowił. Elegant z laseczką przemknął w tej chwili  
przed jej oczyma...

— Więc waćpan powiadasz, rzekła szambelanowa,  
że pokoik ci się podoba! Ale najprzód muszę waćpanu  
powiedzieć, że jakkolwiek jesteśmy ludzie ubodzy, lu-  
bimy jednak wygodę we własnym domu. Chcemy, aby  
nam w sąsiedztwie nie robiono krzyku i hałasu, i aby  
po nocach nie nabijano się po schodach, nie ściągano za-  
dnego hałaśliwego towarzystwa.

Terenia patrzyła w twarz nieznanego, jakie wra-  
żenie sprawi na nim to kazanie starej babuni. Twarz  
nieznanego była jakoś teraz w korzystniejszym oświe-  
tleniu, ale przecież nie była to twarz eleganta z la-  
seczką...

— Zdaje mi się, odparł niezajomy z ujmującym  
uśmiechem skierowanym więcej do Tereni, niżeli do ba-  
buni, zdaje mi się, że będę nader spokojnym lokatorem,  
gdyż równie jestem ubogim, a na kawałek chleba pra-  
cować muszę.

Szambelanowa widocznie uderzyły te słowa. Na pierwszym wstępie przyznać się do ubóstwa, gdy piękna

jasnowłosa panienska to słucha, było albo chwalebne bohaterstwem, albo niedoleżnością w stosunkach światowych!

Niejakiś czas myślała nad temi słowami szambelanowa. Terenia trochę się zasępiła, a twarz jej przybrała wyraz obojętności. Panna Elżbieta najwyraźniej w świecie rzuciła na nieznajomego wejrzenie pogardliwe.

— Jakże się waćpan nazywasz i czem na kawałek chleba zarabiasz? zapytała po chwili szambelanowa.

— Nazywam się Bernard... zaczął nieznajomy, a twarz jego ożywiała się coraz więcej.

— Bernard... Bernard... przerwała szambelanowa

— niechże waćpana Bóg ma w swojej opiece! Wymówiłeś słowo, które zawsze wzrusza mnie do żywego!...

Nieboszczyk mój mąż nazywał się także Bernard! Wprawdzie trzydzieści lat jak stanął przed sądem pana Boga, a serce człowieka ma już taką naturę, że im dalej pa mięcią sięga, tem więcej widzi tam dobrego, bo złe samo przez się zaciera się!... Więc pan nazywasz się Bernard !

— Teraz jestem aplikantem przy komisji skarbu, prawil dalek młody człowiek, chociaż dawniej byłem wojskowym...

— Byłeś waćpan wojskowym wtak młodym wieku!...

A dla czego porzuciłeś to rzemiosło?

— Bo wuj mój, w którego brygadzie służyłem, żył sobie, abym dzisiaj w inny sposób krajowi służył !

— Zapewne wuj waćpana miał do tego słuszne powody... A kto był wujem waćpana?

— Generał Kwaśniewski, który dłuższy czas był ze swoją brygadą na Pomorzu!

— Kwaśniewski! Kwaśniewski! Poczciwy Kwaśnie

wski!... A siadajże waćpan! Generała znalazłam dobrze.  
Pocziwy człowiek, oryginał jakich mało!... A co,  
czy nauczył się z Francuzami po francusku?  
— Nie, do końca kampanii nic nie umiał!  
— A jakże to tam było z tym orderem, który o  
mało bitwy wygranej nie pozbawił Napoleona?... Słu-  
chaj Tereniu!  
— Historia orderu jest rzeczywiście prawdziwą  
Byłem właśnie wtedy przy wuju. Nad wieczorem przy  
był kurier z głównej kwatery i przywiózł generałowi od  
Napoleona opieczętowany tak zwany „Vordre de bataille.”  
Oddając pakiet, wymówił pierwsze słowo, uklonił się  
i wyszedł. Generał już od niejakiego czasu był w złym  
humorze, że siedzi beczynnienie. Teraz zdawało mu się,  
że cesarz przysłał mu order. Wyrzucił więc opieczęto-  
wany pakiet z mniemanym orderem na piec, a sam  
chodząc szerokimi krokami po pokoju zaczął wyrzekać:  
Order, order mi przysłał Napoleon, a ja do kroć sto  
tysięcy... bid się chcę! Order, order! Co mi po orde

rze, kiedy kraj czeka odeinnie czego innego! Hej mo-  
cny Boże! Generał Kwaśniewski beczynnienie siedzi na  
kresach Pomeranii... Gdyśmy z adjutanten do generała  
weszli i słyszeli go tak narzekającego, zabrała nas cie-  
kawość obaczyć ten order. Wdrapałem się na piec...  
i jak wielki był nasz przestach, gdyśmy zamiast orderu  
obaczli rozkaz bojowy cesarza...

— I cóż, czy pocziwy generał nie uczył się od  
tego wypadku po francusku?

— Nigdy! Zwykł być mawiać, że Pan Bóg stwo-  
rzył człowieka wraz z jego mową i że nie należy Pana  
Boga poprawiać.

Szambelanowa widocznie była temi przypomnieniami  
mi uniesiona. Nawet Terenia słuchała z lepszą uwagą.

— I czy to prawda, zapytała śmiejąc się, że gene-  
rał takie figle Niemcom płatał?

— Z Niemcami obchodził się bardzo po ludzku —  
tylko niesprzyjających wojsku różnymi sposobami karciał.  
Niemcowi na przykład, kiedy go do swego domu na  
kwatere przyjąć nie chciał, kazał w nocy kamienicę za-  
murować...

Szambelanowa śmiała się do rozpuku, bo te histo-  
ryjki o generale Kwaśniewskim" obiegały wtedy kraj  
cały.

— A czemu waćpan byłeś w służbie wojskowej?  
zapytała po chwili szambelanowa.

— Byłem porucznikiem! odpowiedział skromnie Bernard, a teraz aplikuję w komisji skarbu.

Szambelanowa widocznie była zadowolona z lokatora. Terenia kreśliła bezmyślnie na papierze. Żał jej było tego eleganta z laseczką, ale nowy lokator był już lepszym od jegomościa w lisiej czapce z nosem czerwonym...

Szambelanowa długi czas gładziła palcem po nosie, co oznaczało, że się na coś nie może zdecydować.

— Waszmość mówiłeś, że jesteś biedny. Czy ci ubóstwo nie bardzo dopieka? rzekła po chwili.

— Zrazu, gdy byłem jeszcze młodym, odpowiedział Bernard, to nie bardzo przykro było. Rodzice byli do syć majątni. Ojciec zginął w legionach, matka umarła a wuj generał jest tak poczciwym, że nigdy grosza utrzymać nie może!

— Otóż widzisz waćpan, mówiła z pewnym wysileniem szambelanowa, że trafiłeś również do ludzi, którzy niegdyś mieli znaczną fortunę, ale przez różne domowe i publiczne klęski zbiednieli i podupadli!... Więc nie będziesz się waćpan gniewał na nas, jeśli mimo znajomości poczciwego generała, zażądamy za ten po koik... dwadzieścia złotych!

— Dwadzieścia złotych ? powtórzył Bernard i bez namysłu dodał: Dobrze!

Skrzywiła się szambelanowa, spojrzała marsmem na Bernarda i rzekła:

— Dla czegoż to waćpan tak prędko odpowiadasz: Dobrze!... Dla czegoż nie targujesz się! Biedni powinni się targować!

— To prawda, odparł z uśmiechem Bernard, ale nie — z biednymi!

Roześmiała się szambelanowa. Terenia zmarszczyła bielutkie czoło.

— Masz waćpan słuszność, rzekła, śmiejąc się szambelanowa, ale biedni tylko mogą czuć, że jest drogo.

Dla tego mówię to waćpanu, bom się omyliła, a ty tar gując się, mógłbyś mi moją pomyłkę przypomnieć. Za pokoik ten należy się tylko dziesięć złotych. I tak trzeba dosyć butów podrzeć, aby się na poddasze wdrapać. Bernard z uśmiechem przystał także i na dziesięć złotych, bo zdaje się, że w tej chwili wiele o nich nie myślał.

— A zresztą, prawiała dalej szambelanowa, będziemy się mogli może inaczej ugodzić. Waćpan za pewne umiesz więcej od wuja po francusku, a może i geografii coś praktycznie nauczyłeś się, to w wolnych od obowiązków godzinach możesz coś z wiadomości swoich mojej wnuczce Tereni udzielić.

Bernard zarumienił się i skłonił Tereni, Terenia z lekkim kaprysykiem pochyliła główkę...

— A w niedzielę i czwartki przyjdiesz waćpan do nas na litewskie kałduny!

X.

Tak odbyła się instalacja nowego lokatora. Zdaje się, że tylko szambelanowa była z niego mocno zadowolona. Kazała mu nawet dodać jeszcze nieco rupieci do pokoiku, aby mu tam było dobrze i wygodnie. Sama nawet własną ręką postawiła mu drugą szklankę na stole.

Panna Elżbieta nie sprzyjała wiele lokatorowi. U niej miał tylko walor człowiek, który już zdobył sobie pewne stanowisko, był radcą albo przynajmniej emerytem. Wysługujący się dopiero aplikant, biedny rozbitek lepszyc nadziei, dążący pracą do kawałka chleba i służby korzystnej dla kraju, byli u niej niczem. Tamten był u niej już człowiekiem gotowym, którego nawet jakoś zatytułować można było, a ten dopiero materiałem do czegoś, czego nazwać nie można!

Terenia, osobliwie gdy do zwierciadła spojrziała, myślała nader rozsądnie. Dziwiła się, jak mogła ma

rzyć, że do ubogiego pokoiku na poddasze mógłby inny człowiek przyjść, jak biedny jakiś aplikant! Dziwiła się, jak mogła nawet przypuszczać, że tu za ścianą wapnem pobieloną może się ulokować ktoś, który miałby stanąć obfitym materiałem do jej marzeń sekretnych?... Ludzie wchodzący do jej marzeń wyglądali zawsze inaczej. Ota czuła ich jakąś inną atmosferę, niżeli zimny oddech ubóstwa i mozolnej pracy!...

Powoli przyzwyczajała się do lokatora jak do zwykłego sąsiada, z którym przypadek ją zapoznał. A poza tym lokatorem uprządkowała nową siatkę złotych marzeń, do której nawet często w jego obecności zaglądała! Lokator jednak myślał sobie wcale inaczej. Zaraz pierwszej nocy długo nie mógł usnąć. Jasną główką złotych loczkach kręciła się przed nim nieustannie. Zaglądała mu w oczy, bawiła się jego kołnierzem, śmiała się i uciekała, aby znowu przyjść do niego. Wprawdzie w czasie jego służby obozowej widział wiele podobnych główek jasnych i ciemnych, a nawet czasami także go prześladowały. Ale przecież nie były tak uporczywe, odeszły jeżeli tego koniecznie zapragnął! Dziś jednak i pragnąć nie mógł, aby te złote kędziorki od niego odeszły, a nie było znowu sposobu, jakby je przy sobie na zawsze utrzymać. Zaraz w pierwszym tygodniu przekonał się, że to byli ludzie zaciwi i poczciwi, ale ubodzy. Tytuł szambela

nowej wcale się temu nie sprzeciwiał. Były to bowiem czasy przewrotu wszelkich dawnych stosunków społecznych. Tramy i słupy które dźwigały zeszłowieczną budowę, leżały teraz bezczynnie i próchniały. Wiele rodzajów znakomitych w dziejach podupadło i zbiedniało, tylko męty najczęściej dostały się na wierzch! Nieraz wydarzyło się Bernardowi, że dawnych dygnitarzy, weteranów armii, widział teraz mieszkających na ubogich poddaszach, zagryzających suchy kawałek chleba. Nieraz nawet i on jadł z nimi ten chleb suchy... To też nie dziwiło go wcale, że i szambelanowa była teraz ubogą. Słyszał, że św. pamięci szambelan hulał sobie za dobrych czasów i przehulał nie tylko swoją, ale i żony fortunę. Terenia była sierotą i także nie miała fortuny. Jakkolwiek to wszystko bynajmniej nie ujmowało czci podupadłej familii, ale nie mogło go także popchnąć do śmielszych marzeń względem tej złotowłosej główki, która od pierwszego snu w najętym pokoju już mu spokoju nie dawała! On biednym aplikantem, nie mógł żonie dać utrzymania... co innego, gdyby był bogi

tym!...

Postanowił więc czekać cierpliwie, dopóki szczęśliwsza gwiazda nad nim nie zaświeci, a tymczasem stosownie do rozwieszonych na jego ścianie kartonów miał wysługiwać się chociażby i lat siedm!

Przedświadczenie, że ci ludzie są jemu równi ubóstwem i losami, postawiło go zaraz z początku na podobieństwo z nimi stopie. Była to wielka korzyść dla niego. Pewny zawsze siebie i śmiały jak zazwyczaj z równymi, mógł dostatecznie odsłonić się przed nimi z całym swoim charakterem. Nie potrzebował odgrywać żadnej roli, tylko był zawsze samym sobą, jakim go Bóg stworzył i generał Kwaśniewski trochę podchowwał.

To też szambelanowa bez wszelkiej ogródki mawiała do niego prawie co dzień:

— A nie zapomnij waćpan, jak będziesz wracać z biura, przynieść w kieszeni cztery ładne bułeczki! Bułeczki te znakomicie duże i białe, sprzedawały się, tylko w jednym sklepiku przy ulicy Senatorskiej. Bernard przynosił je codziennie w kieszeni, które wielkim były specjałem dla Tereni.

Nieraz nawet dostawał Bernard daleko ważniejsze zlecenia.

— Waseńdzi Bernardzie! mawiała do niego szambelanowa w niedziele i czwartki, Annuśka to dziewczyna nieporządna. Znowu nie przyniosła łoju od nerek do kałdonów! Weźno waćpan czapkę i przynieś łoju! Tylko uważaj, żeby ci rzeźnik dobrze naważył, bo ci ludzie, jak obaczą kogoś z waszecia, to już myślą, że jest głupi!

Przyzwyczajony do obozowego życia Bernard, by

najmniej nie uchylał się od takiego zlecenia, tylko wypełniał je z taką skrupulatnością, że szambelanowa po stanowiła Annuśce nigdy nie dawać na łoż pieniędzy.



Co Terenia o tem wszystkim myślała? trudno wiedzieć. Było jej jakoś nie źle z nowym lokatorem. Miała do kogo słowo przemówić, usłyszała często od niego coś, o czym jeszcze nie wiedziała, wprawiała się w francuszczyznę — za to grywała mu czasem na klawikordzie, albo rysowała jego karykaturę, gdy z lojem wraca do domu...

Po za tem jednak — zdaje się — nic więcej nie było! Bernard nawet na razie niczego więcej nie żądał, Wolno mu było przecież wpatrywać się w te złotowłosą główkę z czarnymi oczkami, wolno mu było słuchać tego pieszczonego głosiku, który stokroć był przyjemniejszy i słodszy od klawikordu... i czegoż było mu dzisiaj więcej potrzeba? Wszystko to bowiem, co do zupełnego jego szczęścia potrzebnem jeszcze było, odkładał do tej chwili, w której z dekretem na parę tysięcy pensyi będzie mógł śmiało wejść na poddasze, uklęknąć przed babunią i poprosić o tę drobnutką rączkę, która tyle razy jego pocziwą twarz tak potwornymi kreskami na papierze zelżyła!...

Nie wiedział biedak, że marzeniom tym groziło właśnie wielkie niebezpieczeństwo!

—

## XI.

Razu jednego, gdy właśnie w wielką śnieżnicę za jakimś sprawunkiem szambelanowej (prawdopodobnie po łój do kałdunów) na drugi koniec Leszna biegał, zaziębił się, dostał kaszlu i kazano mu do łóżka się położyć.

Zrazu cieszyła go macierzyńska prawie pieczołowi tość pocziwej szambelanowej, z jaką koło niego się krzątała. Przynosiła mu ziółka, siedziała przy nim cały wieczór, opowiadała mu o generale wuju Kwaśniewskim. Terenia także była dla niego bardzo przyjacielską. Każała panie Elżbiecie kilka razy dowiadywać się o jego zdrowie. A gdy się zmierzchno, usiadła do klawikordu i grała najsmutniejsze melodye, które przez szpary we drzwiach w całości dostawały się do jego ucha. Zanuciła nawet jakąś rzewną piosenkę półgłosem, czego dawniej nie bywało!

Bernard podziękował Bogu, że go raczył nabawić

chorobą, bo w tej chorobie było mu tak dobrze, tak błogo!... W nocy miał sny wprawdzie trochę gorączkowe, ale były tak słodkie, tak boskie, że radby taką gorączkę mieć do końca życia! Śnił bowiem o złoto włosę głowie, która tym razem była smutna i miała niby łzy w oczkach...

Nazajutrz niepodobna było iść do bióra. Nawet sama szambelanowa kazała mu w łóżku zostać.

Do godziny dziewiątej szło wszystko zwykłym, znajomym mu porządkiem. Przed śniadaniem były modły i pieśń pobożna. Po śniadaniu jednak nastąpiły rzeczy, które go mocno zdziwiły, a których on, idąc do biura nigdy nie widział! Dla czego z tego wszystkiego rozbiono przed nim tajemnicę?

Z uderzeniem dziewiątej godziny przyszedł na poddasze jakiś jegomość w skrzypiących butach. Bernard słyszał przez drzwi, jak się witał, jak potem dobywał chustkę do nosa, która szeleściła jak jedwabna... witał się z Terenią bardzo poufale, żartował, śmiał się, napomknął, że choć codziennie tu bywa, to przecież...

Więcej nie dosłyszał Bernard. Przed oczami zrobiło mu się czarno, gorączkowe usposobienie przyczyniło się do tego, że coraz jaskrawsze obrazy stawały przed nim tych dziwnych, jemu nieznanych odwiedzin...

W przyległych pokojach ustała żywa, wesola rozmowa. Nastąpiła jakaś straszna, nieodgadniona cisza.

Czasami tylko przecisnęło się przez szpary drzwi jakieś pojedyncze, niezrozumiałe słowo. Czasem wyrzekł je nieznamy mężczyzna, czasem zdawało się wychodzić z pięknych ustek Tereni...

Cisza ta złowroga trwała całą godzinę! Dla Bernarda była to wieczność!

Rozgorączkowana wyobraźnia chorego potworzyła w tej godzinie tyle najdziwniejszych obrazów, że mu siał w końcu upaść na silach i sprawić powszechne odretwienie... Był to pierwszy, oczywisty dowód, jak wielce kochał Terenię! Dotąd takiego dowodu nawet sam dla siebie nie miał!...

Następna godzina miała mu nieco tę rzecz wyjaśnić. Jegomość z jedwabną chustką do nosa i o skrzy

piących butach pożegnał się i odszedł, a tuż za nim wszedł do pokoju drugi, który długi czas szeroko po podłodze suwał nogami, jak to zwykle po salonach bywa. Przyniósł także z sobą tak odznaczającą atmosferę, złożoną z tysiącznych pachnidła, że część tej atmosfery nawet przez szpary drzwi przedarła się do pokoiku Bernarda.

Drugi jegomość już bardzo mało mówił, tylko otworzył klawikord i rozpoczął grać razem z Terenią. I o różnych słowach i uwagach poznał Bernard, że to był muczyciel muzyki. Z tego wnosząc, zaczął powoli wierzyć, że pierwszy był nauczycielem rysunków.

Przypominał nawet sobie, że słyszał suwanie ołówka po papierze...

Odetchnął pełną piersią i ukląkł na łóżku pod krycyfiksem, który rączka Tereni zawiesiła... aby podziękować panu Bogu za wybawienie go od tak wielkiego niebezpieczeństwa, które mu zagrażało! Oraz błagał w duchu Terenię, aby porywczosci jego przebaczyła, która tylko była dowodem, że ją tak kocha, jak sam o tem nie wiedział!

Spokojny i szczęśliwy słuchał dalej lekcji muzyki.

Po pachnącym muzyku przyszedł znowu jakiś stary, przez nos mówiący jegomość, który coś z książki zaczął czytać i wyraźnie z nosowej wymowy na profesora zakrawał.

Było to coś o dziejach polskich, o literaturze, o sztuce, a nawiasem o dobrym stylu i pisowni.

Wreszcie skończył profesor polskiego, zamknął książkę, pożegnał się — do jutra!

Bernard położył znowu głowę na poduszkę i zaczął to wszystko w myśli rozbierać.

Chwilowe uspokojenie zaczęło go znowu opuszczać.

Czy to był zwykły skutek gorączki, która go trapiła, czy insze głębsze powody budziły ten niepokój w jego umyśle, trudno wiedzieć!

Jakkolwiek pierwsze, jaskrawe podejrzenia zupełnie nie znikły, podniosły się natychmiast niektóre wątpli

wości, na które nie mógł w żaden sposób dostatecznie sobie odpowiedzieć. Ta niemoc dręczyła go najbardziej. Najprzód nie mówiono mu nigdy o tem, że tutaj codziennie chodzą nauczyciele. Zdawało mu się bowiem, że z tą rodziną stanął już na tak poufalej stopie, że żadnych tajemnic przed nim nie miano.

Dla czegoż więc robiono z tego wszystkiego przed nim tajemnicę? Dla czego zostawiono go na uboczu rodzinnych planów jakichś, w które on bynajmniej nie wchodził? A przecież jemu zdawało się, że on powinien być już zająć także pewne miejsce w tych planach rodzinnych! Przecież był już prawie członkiem rodziny!... A to, z czego niby tajemnicę przed nim robiono, mogłoby tylko tem więcej przywiązać go do nich, tem więcej uszczęśliwić!...

Powtóre przy widocznem i z pewną ostentacją wywiadany zawsze ubóstwie lekcye podobne są bardzo znacznym wydatkiem! Cóż znaczy ten kontrast takich wydatków i ubóstwa? Coś się pod nim ukrywa?...

Bernardowi znowu pociemniało przed oczyma, bo znowu przyszły na myśl dawne podejrzenia!...

Przyszło mu na myśl, że w téra wszystkim może się ukrywać jakaś niekorzystna dla niego tajemnica. Ludzie, którzy przez zubożenie ze sfery wielkiego świata wychodzą, nie przebierają zazwyczaj w środkach, aby dalszą egzystencją swoją zabezpieczyć. Znając słabości

i nawyczki tego świata, nie wahają się służyć im, by tylko z tego jaką korzyść dla siebie odnieść! Być może, że zubożała szambelanowa wyszukawszy tę piękną dziewczynę, wzięła ją w swoją opiekę, aby ją należycie wykształcić dla jakiego wielkoświatowego sybaryty?... A przypuszczając, że zamiary szambelanowej były uczciwe, czyż nie było to oczywistym, że kształcą wnuczkę swoją, ma tajemne plany wydać a jej za jakiego bogatego męża? A że biedny lokator w te plany nie wchodził, było rzeczą namacalną, bo przed nim o tej wyższej edukacji nigdy nie mówiono!... A może rzeczy jeszcze daleko gorzej stały... ale o tem już lękał się myśleć biedny Bernard!

Tylko gorzko, bardzo gorzko rozśmiał się. Śmiał się z siebie, że podobne idealne marzenia mógł sobie roić przez kilka tygodni, nie mając do tego należytego gruntu. Tymczasem marzenia szambelanowej i Tereni

były prawdopodobnie bardzo daleko od niego! On nie tylko bułki w kieszeni nosił w braku innego służącego, targował się z rzeźnikiem o łój do kałdonów w zastępstwie kucharki!.. Czyż to nie było szaleństwem z jego strony przy tych bułkach i łoju przypuszczać sobie coś podobnego do głowy? Czyż Terenia okazała mu do tego jaką inną życzliwość, jaką się zazwyczaj okazuje dla codziennych, powszednich znajomych, z którymi przypadek nas łączy?...

## XII.

Pytania takie, które sobie chory Bernard w samotnym pokoiku zadawał, mogły być wprawdzie tylko skutkiem gorączki, która go trawiła, mogły być także spowodowane gorącym uczuciem, jakim pałał dla Tereni — ale zawsze było już faktem, że w jego duszy powstały. Już nie można było czemkolwiek ich odpedzić lub na zapomnienie skazać!

Za kilka dni minęła gorączka, puls wrócił do regularnych uderzeń — ale te nierozwiązane pytania pozostały jak uporczywe męty na dnie duszy. Posmutniał, przybladł jak człowiek który nosi się z jakąś wewnętrzną chorobą.

Wreszcie pozwoliła mu szambelanowa opuścić samotny pokoik. Z bijącym sercem, drżący cały wszedł do szambelanowej.

W pomieszkaniu szambelanowej nic a nic się nie zmieniło. Szambelanowa czytała przez okulary żywoty

świętych, Elżbieta przędła pod piecem a Terenia przez wracała w tece za jakimiś rysunkami.

Powitano go serdecznie, z pewnym wzruszeniem, jak się wita długo nieobecnego przyjaciela. Szambelanowa nawet odłożyła okulary i zamknęła książkę, czego da wniej nie czyniła. Poprawiła kornet i zaczęła z nim rozmowę.

— A to waćpan wyjechał się za cały miesiąc! Cóż robić i za to Bogu trzeba dziękować, że nie było go rzej!.. Waćpan masz płaszcz za lekki a tu zimno nie lada! Może się tam znajdzie na strychu stary wa towany płaszcz mój jedwabny. Zawołamy żydka, może da się użyć na podwatowanie płaszczyka waćpana!... Troskliwość szambelanowej sprawiła na Bernardzie teraz smutne wrażenie. Zdawało mu się, że on tutaj tylko litość wzbudza a nic więcej. Litość to najbole śniejsza jałmużna, jaka komukolwiek się wyświadcza!... Nic na to nie odpowiedział, tylko badawcze spoj rzenie wysiał do Tereni.

W tej samej chwili spotkał się z oczyma Tereni. Terenia patrzyła na niego dzisiaj inaczej. Przynajmniej tak się Bernardowi wydawało. W oczach Tereni było ja koś dzisiaj więcej sympatycznego uczucia. Zdawało się, że tem spojrzeniem chciała sobie wynagrodzić tych kil ka dni, w których lokatora wcale nie widziała, a do którego już się przyzwyczaiła.

Bernard czuł to spojrzenie na swojej twarzy. Ni gdy jeszcze w ten sposób nie patrzyła na niego. Nawet nie tylko na twarzy, ale gdzieś aż w sercu czuł to spojrzenie... Uderzyło ono niespokojnie pod tem spoj rzeniem...

— Panu zapewne przykrą była tak długa samo tność! ozwała się, nie spuszczać z niego tego spoj rzenia.

— Byłaby mi tysiąc razy przykrzejszą, odpowie dział z ożywieniem, gdybym poza cienką ścianą mego więzienia nie słyszał mowy tak przyjaznych mi ludzi, od których nawet w myśli trudno mi się odłączyć!

— Dobrze jest, odpowiedziała szambelanowa, że się waćpan przywiązujesz do ludzi a nie do miejsca, jak to czynią samoluby!

Terenia spuściła oczy, za chwilę znowu je podnio sła, znowu spuściła i lekko zarumieniła się.

— Może właśnie to, coś pan słyszał, przeszkadzało panu? wyszepnęła z cicha, przewracając w tece.

— Słyszałem najczęściej tylko muzykę, odpowie dział Bernard, a ta jest dla ranie zawsze upragnioną. Wychowałem się wśród szczęku broni, słyszałem tylko działa i wrzask bojowy — po śmierci ojca słyszałem tylko płacz matki — a po śmierci matki cały świat napawał mnie jakąś dziwną dysharmonią... dla tego każda harmonia jest dla mnie tak miłą i słodką...

Twarz Tereni rumieniła się więcej. Szambelanowa z uwagą patrzyła na Bernarda.

— Harmonia, ozwała się po chwili, jest to wielkie słowo. Człowiek tak powinien żyć na świecie, aby jeżeli nie z światem, to sam z sobą powinien być w harmonii. To jest cała filozofia życia.

Oczy Bernarda błysnęły jasnym światłem. Słowa tak podniosłe, wymówione z takim spokojem nie mogły pochodzić z ust kobiety, któraby mogła mieć inne myśli od czynów swoich. Twarz Tereni harmoniowała także w tej chwili z temi słowami, a jej czarne oczka szklily się tak idealnym połyskiem, że tam na dnie za dnym mętów być nie mogło.

Lżej zrobiło mu się na sercu. Wstydził się w tej chwili gorączkowych swoich przywidzeń. Oskarżał sam siebie w duchu, że popełnił zbrodnię, przypuszczając, że ci ludzie mogliby mieć jakieś nieczne zamiary.

To go tak rozczuliło, że się w głos rozplakał, chwycił rękę szambelanowej, a potem drobną rączkę Tereni i je na przemianę zaczął okrywać gorącymi pocałunkami.

Szambelanowa widocznie była wzruszoną. Pocałowała go w głowę i przeżegnała świętym krzyżem. Terenia zapłoniła się jak różyczka, cofnęła prędko swoją rączkę i wystraszonemi oczkami spojrzała na babunię. Babunia uśmiechnęła się do niej z pewnem za-

dowoleniem, którego wnuczka nie umiała sobie wytłómaczyć.

— Sieroctwo mości Bernardzie, rzekła po chwili szambelanowa, jest to wielką szkołą życia. Z niego wychodzą ludzie prawi i uczciwi, ale może też ono sła-  
bego złamać i na zawsze sponiewierać. Tyś z niego wyszedł lepszym!

Terenia czuła w tej chwili jakiś dziwny niepokój. Szukała jakiegoś rysunku i w żaden sposób znaleźć go nie mogła, choć go dziesięć razy miała w ręku. Ber-

nard był przez cały dzień szczęśliwym!

### XIII,

Jest już w naturze serca, że dąży zawsze do niepokoju. Żywiołem jego jest niepokój czy to na wyżynach szczęścia, czy w padole boleści. Spokój to u niego synonim obojętności. Warunkiem jego życia jest pragnąć i obawiać się...

Tego teraz doświadczał Bernard. Był szczęśliwym dzień cały i zdawało mu się, że tego szczęścia jego za dnia chmurka nie zaćmi, że mu ciągle pogodnie świecić będzie, jak po długiej niepogodzie świeci niebo lipcowe. Tymczasem zaraz w nocy naszły go znowu niepokojące myśli. Jak rozbite promieniem słonecznym mgły, które po drugiej stronie nieba znowu zaczynają się gromadzić, tak wracały do jego wyobraźni dawne podejrzenia.

Osobliwie nie mógł tego zrozumieć, że ludzie sto sunkowo tak ubodzy, wydają na wykwintne wychowanie tyle pieniędzy i do tego jeszcze robią z tego przed nim

tajemnicę. Od podejrzenia, aby w tem były jakiegokolwiek nieuczciwe zamiary, odstąpił zupełnie, ale nie mógł takiego postępowania pogodzić z zdrowym swoim rozumem.

To jedyne zostało ze wszystkich jego gorączkowych podejrzeń. Ale na to jedyne pytanie nie mógł sobie dostatecznie odpowiedzieć, jak również nie mógł zostawić go bez żadnej odpowiedzi. Daremnie sobie głowę łamał, ale nic nie wymyślił.

Nazajutrz po bezsennej prawie nocy przyszedł do szambelanowej błady i zmęczony.

Szambelanowa wpatrywała się w niego długo, a po tem ukośne wejrzenie zwracała na Terenię.

Trwało to czas jakiś, a nawet śród rozmowy dostrzegł Bernard jakichś dziwnych porozumiewań się ba



buni z wnuczką oczami. Nie mógł tego pojąć, co by to znaczyło. Spotkał się kilka razy z oczkami Tereni, ale te tak prędko uciekły gdzieś głęboko pod jedwabne rzęsy, że nic z nich wyczytać nie mógł mimo najlepszych chęci.

Po jakimś czasie wstała Terenia i z pewnym we wnętrznym wzruszeniem wyjęła z komódki nową tekę z rysunkami, starannie na stalowe klamerki zamykaną. Otworzyła tekę i wyjęła z wolna duży karton cienkim papierem cały owinięty. Rozwinęła ten papier, przygładziła karton i położyła go na stole w milczeniu.

Bernard ujrzał teraz jedną z najpiękniejszych akwa-reli. Była to jedna z tych alegori, w których podów czas nadzwyczaj lubowano. Miało to oznaczać życie ludzkie. Na pierwszym planie było bardzo tłumno. Byli tam różni ludzie i różnego wieku. Były dzieci, młode dziewczęta, staruszki — byli chłopcy, dojrzały mężczyźni i starcy w różnych zatrudnieniach życia ludzkiego stosownie do wieku. Po nad nimi w przezroczystym powietrzu odbywał się taniec Horów czyli godzin. Splecione porządkiem toczyły się szalonym wirem i dawały niejako naukę, jak czas życia prędko ubiega!

Prawdopodobnie była to kopia jakiegoś z lepszych malarzy, ale odznaczała się nadzwyczajną starannością, niepospolitym talentem i nadzwyczajną pracą. Hory osobliwie były tak powietrzne i przezroczyste, jakby się rozplynać miały!...

Bernard patrzył z zachwyceniem na ten obraz. Terenia stała przy nim z jakimś smutkiem na twarzy. — Jakże się waćpanu to malowanie podoba, zaga-dnęła szam! elanowa, to wszystko robota Tereni. Bernard nie mógł nawet słów znaleźć, tak był cały w ten obraz zatopiony. Po jego twarzy tylko i po oczach można było poznać, jakie wrażenie sprawia na nim ta prześlicznie wykonana kompozycja. — Dziś, bardzo dużo to pieniędzy kosztuje, mó

wiła dalej szambelanowa, sam nauczyciel, przy którym Terenia to robiła, wziął za lekcje pięćdziesiąt złotych!... Ale cóż robić i to w życiu może się przydać.

Bernard nadzwyczaj był kontent, że mu się nadała sposobność mówienia o niektórych rzeczach, które go przez całą noc tak strasznie niepokoiły. Nie wiedział tylko jakby to zacząć. Zarumieniwszy się, rzekł drżącym głosem:

— Bardzo to ładna i piękna zabawa... ale dla ludzi tylko bogatych!

— Tak, podjęła szybko szambelanowa, bogaci zrobili sobie z tego zabawkę, a dla biednych może to być chlebem!

Bernard dziwnie spojrzął na szambelanowa. Ciemny jego horyzont zaczął się trochę wyjaśniać.

— Widzisz waćpan, mówiła dalej szambelanowa, ludzie biedni powinni z wszystkiego korzystać. Jeżeli ktoś ma w kieszeni tysiąc złotych i nic za nie nie kupuje, to źle robi. A jeżeli za nie kupi sobie naukę, lub wykształci talent jego wrodzony, to te tysiąc złotych mogą dla niego stać się funduszem niewyczerpanym!...

Tw arz Bernarda rozjaśniała się coraz więcej. Nie mem wejrzeniem błagał Terenię, aby mu przebaczyła.

— Gdy waćpan byłeś chory, słyszałeś zapewne, jak tutaj do Tereni przychodzili różni nauczyciele. Otóż widzisz rybenko, że tych kilkunastu złotych nie żałuję.

bo Terenia nie tylko więcej się nauczy, ale nawet na wypadek mojej śmierci nie będzie w kłopotcie, jak sobie na kawałek chleba zarobić. Ludzie często różne koleje losu przechodzą. Ot i ja byłam kiedyś bogatą, mieszkałam w pałacach, a dzisiaj na poddaszu. Wprawdzie pałace szczęścia nie dają, ale i na poddaszu nie przyjdzie ono samo z siebie, tylko trzeba sobie na nie gorzko zarobić!

Bernard z coraz większym rozrzewnieniem patrzył przed siebie. Wstydił się dawnych podejrzeń, widział, że tak niesprawiedliwie posądzał ludzi najzacniejszych w świecie, że mogą mieć jakieś niedobre cele życia!...

— Otóż widzisz waćpan, mówiła dalej szambelanowa, pierwszy wkład w naukę Tereni już nam się za czyną wracać. Od czasu do czasu sprzedaje się taki jeden obrazek, a za to jest nie tylko czem nauczyciela od rysunków zapłacić, ale nawet wystarczy na nauczyciela historyi... Otóż tak rybenko powinni biedni robić!

— Jak to, zawołał Bernard, któremu łzy w oczach

stały, ten obraz pójdzie na sprzedaż?

— Tak jest, na sprzedaż! odpowiedziała krótko szambelanowa — a waćpan zajmiesz się tą sprzedażą!  
— Bernard spojrział na Terenię. Terenia patrzyła w tej chwili na niego. W jej czarnych oczkach był jakiś wyraz, jakiego tam jeszcze nie widział. Było tam

coś smutnego, ale tlało także jakieś uczucie błogie, szczęśliwe...

— I ja mam ten obraz sprzedawać? zapytał rzeźnikiem głosem, w którym łzy były.

— Weźmiesz waćpan za niego sto złotych! odpowiedziała krótko i spokojnie szambelanowa.

Czy pani na to zezwala? zapytał Bernard Terenię i wysłał do niej błagalne wejście za obrazem.

— Biednym, odparła szambelanowa, nie wolno jest przywiązywać się do swych zabawek, chociażby one częścią życia stanowiły! Praca to ich chleb — więc pracę za chleb zamienić trzeba!

Terenia odpowiedź matki uważała za swoją i słowami Bernardowi nic nie odpowiedziała. Zato jej oczy błysnęły jaśniej, jakby były wilgotne... Spojrzała jeszcze raz na obraz jakby się z nim żegnała...

Bernard zamyślił się. Wprawdzie zniknął teraz ostatni cień gorączkowych jego podejrzeń, ale wyjaśnienie nie to kosztowało go w tej chwili bardzo wiele!... On miał być owym bezsumiennym człowiekiem, który obraz, robiony przez kilka tygodni mozolnie tą drobną rączką... ten obraz miał on wziąć i zanieść go do żydka i powiedzieć mu: daj sto złotych!

— Jeżeli waćpan nie chcesz tego uczynić, rzekła z chmurą na czole szambelanowa, to zawołasz żydka jak zwykle!

Kie, zawołał z gorączką Bernard, ja sam go sprzedam!

Szambelanowa wzięła karton, zwinęła go lekko, ob  
łożyła starannie papierem i dała mu do rąk.  
Z błagalnym wejrzeniem na Terenię, aby mu ten  
grzech ciężki darowała, wziął Bernard obraz i wyszedł  
do swojego pokoiku.

XIV,

W pokoiku swoim odetchnął Bernard, bo mu ja  
koś ciężko na sercu było, i usiadł, aby to wszystko  
w głowie swojej uporządkować, co w tych kilku chwi  
lach widział i słyszał. Karton położył na stole.  
Najprzód podziękował Bogu, że .go tak prędko u  
wołnił od mar strasznych, które go od kilku dni prze  
śladowały. Obaczył teraz nad sobą niebo jasne i czy  
ste. Ale to niebo miał okupić wielką, bardzo wielką  
ofiara... Spojrzał na karton...  
Miłość wyższa i szlachetniejsza, nie tylko kocha  
osobę, ale kocha to wszystko, co tę osobę otacza. Kocha  
jej myśli, prace ducha, czyny i cały zawód, w jakim  
ukochana osoba jest czynną. Wszędzie bowiem tam  
jest cząstka życia drogiej osoby, są jej ślady, któremi  
szła, jest upominek ubiegłych przy pacy chwil... jest  
część tej osoby!  
To też leżący na stole karton, przyciągnął wszyst

kie myśli Bernarda do siebie. Wziął go do ręki i za  
czął się mu przypatrywać z całą uwagą, jakby chciał  
policzyć wszystkie kreski — a przypatrywał się z nie  
wypowiedzianą rozkoszą!...  
Im Więcej się w tajniki sztuki zagłębiał, tem wię  
kszą czuł rozkosz, i tem większe wzbudzał zachwyce  
nie.  
Każda kreska była pociągiem jej ręki! każdy pun  
kcik był jej dziełem! A wieleż to kresek i wieleż punk  
cików potrzeba było zrobić, aby cały obraz stanął  
w takim uroku, w jakim widział go właśnie Bernard

w tej chwili?...

Na te kreski i punkciki patrzyły jej oczy... o jakże one były szczęśliwe!...

Przechodząc od punkcików i kresek do całych figur, podziwiał Bernard i poił się artystycznym dotknięciem tej małej rączki, która to wszystko tworzyła, jak Bóg sam tworzy... Cóż to naprzykład, za twarz u tego starca? To otwarta księga życia! Ileż to burz, ile trudu i znoju, ile ubiegłego szczęścia i rozkoszy zapisało się na tej twarzy?... Albo ten uśmiech młodej kobiety do postępującego za nią mężczyzny, jakże on trafnie jest uchwycony i wykradzony z twarzy tych pięknych bąbel, które prócz tego złudnego uśmiechu nic więcej w duszy nie mają!... Albo też matka z uspijonem dzieckiem na łonie! Jak cicho jej pierś oddycha, aby dziecięcia nie

zbudzić! Jak trworzliwie patrzy na szeleszczącą gałąź kę drzewa, którą wiatr porusza, nie wiedząc, że dzie cię jej śpi! A tycn dwanaście wzajem nem uściskiem splecionych dziewic z mgły i eteru — ten szalony, nie ubłagany wir tańczących godzin — jakże smutno pa trzą one w tym tańcu, że każdy ich obrót część życia ludzkiego stanowi, który policzony będzie!

Im więcej wpatrywał się w ten obraz, tem więcej przywiązywał się do niego, tem boleśniejszą była mu myśl, że wkrótce z nim sie rozstanie, że odda go prawdopodobnie w ręce żydowskie, które nie będą wcale wiedziały, jaki to klejnot!

A obraz ten co raz więcej przemawiał do niego.

Zdawało mu się, że tam mógł widzieć całą duszę Terenii, jak ona powoli rosła i uszlachetniała, zaczę wszy od biesiadujących na dole ludzi prozaicznych, aż do powietrznych rusalek w obłokach... Zdawało im się, że kto takie postacie z takim przejęciem się tworzy, ten od skońzonego dzieła wstaje lepszym i zacniejszym!...

A to wszystko tworzyła, choćby nawet naśladować jakiego mistrza — Terenii!

Nie, z tym obrazem nie mógł się rozstać. To był by grzech śmiertelny!...

Bernard wstał i kilka razy przeszedł się po pokoju.

Twarz jego wyrażała jakąś walkę wewnętrzną.

Po chwili wyjął kluczyk, otworzył małą szkatułkę

i dobył z niej — złotą obrączkę. Była to ślubna obrączka matki.

Łzy ciągnęły mu się do oczu. Ucałował tę obrączkę i długo, długo w nią się wpatrywał.

Westchnął ciężko i odłożył obrączkę na bok... Po

tem wydobył z pudełka duży sygnet z herbem...

I ten sygnet ucałował i patrzył długo, długo na niego... Był to pierścień nieboszczyka ojca!

Potem, jakby się lękał dalszych wzruszeń, wziął ędko obrączkę i pierścień do kieszeni i wypadł za drzwi!

Szedł prędko i długo, ale nagle ocknął się i na wrócił. Szedł bowiem ku rogiom miasta...

Na Franciszkańskiej ulicy zatrzymał się. Spojrzył na numer domu i wszedł do małego pokoiku na dole.

W pokoiku nad rozżarzoną tyglą siedział żyd z siwą brodą. Bernard stanął przed nim i okazał mu pierścienie.

Żyd założył okulary i zaczął je na wszystkie strony oglądać. Potarł, po kamieniu, pościągnął jakimś płynem, rys złoty został niezmasany. Potem wziął ważki, położył okrągły mosiądz a na drugą szalkę rzucił pierścienie!

Bernardowi mało serce z piersi nie wyskoczyło. Żymny żyd patrzył na ważki... czy on wiedział co na tych ważkach ciążyło?... Czyż wiedział, że na tej bla

szanej szali leżały jedyne i najdroższe pamiątki czło-  
wieka?

Gdyby wraz z tą okruszyną złota mogły widocznie  
ciężać wszystkie jej dzieje i wspomnienia, które się do  
niej przywiązywały... gdyby dołączyły się do tego łyż, które  
nie raz to złoto skrapiały... ileż cetnarów potrze-  
baby było położyć na drugą szalkę, aby ten drogi ciężar  
zrównoważyć mogły?...

— To nie warte więcej jak pięćdziesiąt złotych! od-  
parł żyd spokojnie.

— Zlitujcie się! Ja bym tego innym razem nie dał  
za tysiąc! zawołał Bernard w rozpacz.

— No, ja tego nie widzę, co tysiąc złotych warte!...  
i Może pan to widzi! To co innego!

Bernard odpiął łańcuszek od zegarka i rzucił żydowi na stół.  
— No, to tak razem dam sto złotych! odpowie dzia! żyd oglądając łańcuszek.  
Bernard chwycił sto złotych i wyszedł na ulicę. Za półgodziny był już na poddaszu.  
— Dla czego waćpan tak prędko biegleś, zawołała szambelanowa, aż zbladłeś ze znużenia!  
W milczeniu położył Bernard sto złotych na stole. Na Terenię spojrział z rozrzewnieniem.  
W tej chwili nie wiedział, który z tych grzechów

mógł być większym, czy żeby obraz był sprzedał, czy że jedyne pamiątki po rodzicach żydowi sprzedał?..  
— Widzisz waćpan, rzekła szambelanowa z uśmiechem, otóż będzie znowu czem cały miesiąc naukę opłacać. Tak powinni biedni ludzie robić. Uczyć się, i pracę swoją dla większej nauki spożytkować!  
Bernard dłużej nie mógł tutaj pozostać. Wyszedł do swego pokoiku, do obr&zu... a może wyszedł, aby płakać!... Szambelanowa patrzyła za odchodzącym z uśmiechem dobrotliwym, a Terenia zadumała się...  
Za dwa dni wdrapał się listowy na poddasze z listem do Bernarda.  
W liście były pieniądze — sto pięćdziesiąt złotych — z dopiskiem: „od przyjaciół generała Kwaśniewskiego.”  
— Za te pieniądze możesz sobie waćpan co cię płego sprawić! rzekła szambelanowa i wróciła do czytania.  
— Nie mogę, bo mam dług! odpowiedział Bernard i smutno spuścił oczy w ziemię.  
Szambelanowa spojrziała na Terenię, która w tej chwili czegoś szybko się odwróciła...

Kiedy te drobne i błahe rzeczy na poddaszu się  
działy, w salonach warszawskich bawiono się świetnie  
dowcipnie na koszt pani szarahelanowej. Fama bo  
wielka o niej rozeszła się już po całej stolicy.

Zdania były podzielone, to jest czy jest rzeczywi-  
ście bogata, czy nie. O inne zdania nie chodziło ni-  
komu.

Otóż jedni utrzymywali, że jest rzeczywiście sro-  
motnie bogatą, gdyż mieszkając w głębokiej Litwie,  
między lasami i bagnami, przez lat trzydzieści kilka nic  
innego nie jadła jak mleko i ziemniaki, a grosz ukła-  
dała. Złośliwi nawet rozpowiadali, że trudniła się li-  
chwą, pożyczając na dwadzieścia procent. Byli i tacy,  
którzy twierdzili, że w czasach niespokojnych korzystała  
z różnych zamieszek domowych i zawsze coś przy tem  
zarobiła

Dosyć że jakkolwiek przyznawano jej znaczny ma-

jatek, zawsze jednak przez jakąś niewytłumaczoną za-  
wiść dodawano różne komentarze do tego majątku,  
które wcale nie były godziwe.

Czy to była wrodzona ludzom zawiść, czy jakie  
inne powody przyczyniały się do takich wieści, trudno  
było wiedzieć.

Przyznawszy więc jej znaczną fortunę, pozostała je-  
dnak ważna jeszcze robota dla salonów warszawskich,  
aby to dziwactwo szambelanowej, która zamknawszy się  
na poddaszu, do wielkiego świata należeć nie chciała,  
należycie wytłómaczyć. A to właśnie było rzeczą naj-  
trudniejszą. Łatwo bowiem powiedzieć, że ten lub ów  
ukradł pieniądze lub je komuś przemocą wydarł, ale  
wytłómaczyć potem dla czego on tych pieniędzy nie  
używa, to rzecz nie łatwa!

Dla tego najlepsi dowcipnicy salonowi i najgłębsze  
rozumy wielkiego świata wzięły tę sprawę pod  
rozbior. Jedni widzieli w tem czystą wy-  
nikłość psychologii. Szambelanowa była od chrztu  
kobietą szpetną. Człowiek światowy i przystojny  
ożenił się z nią z jakichś zakulisowych  
widoków, których nie odślaniano dla  
tego, że o nich nikt nie wiedział. Miodowe  
miesiące IMPani szambelanowej przypadły  
nieszczęśliwym zrzędzeniem Opatrzności  
w czasy, w których Warszawa, jak  
drugi Paryż, postawiła na ołtarzu bóstwa—  
kobietę ładną... w greckim znaczeniu  
tego słowa!... Trudno się więc



dziwić że w pamięci szambelan poszedł ze duchem czasu i rewolucji w wyobrażeniach ludzkich i ukląkł przed jakąś inną kobietą, której grecka piękność go zachwyciła.

Szambelanowa robiła co mogła, ale męża już rewindykować nie umiała. Sprawa jej była tem gorszą, że szambelan nie ograniczał się na adoracyi jednego pięknego posagu, ale rozrzucał afekta i pieniądze na wszystkie strony.

Biedna szambelanowa, szukała w nieszczęściu swojem, między swerai, sprzymierzeńców, płakała i spowia dała się z umartwień swoich, ale ludzie ówczesni nie mogli jej innej dać rady od tej, aby naśladować męża i zwyczaję, pocieszyła się poza granicami matrymonialnych zobowiązań.

Tutaj rozchodzą się zdania na dwie drogi. Jedni utrzymywali, że szambelanowa rzeczywiście zrobiła jakąś niefortunną próbę tej zaleconej pociechy, która to próba fatalnie dla niej wypadła! Drudzy zaś twierdzili, że szambelanowa poradziwszy się zwierciadła, zrezygnowała z góry z wszelkiej próby, a ubrawszy się w nieprzebitą pancierz cnoty, gadała po salonach skargowskie kazania, aż jej potem nigdzie przyjąć nie chciano! W każdym jednak razie zraziła się do wielkiego świata, który jej męża odebrał, a żadnej innej pociechy nie dał, i poprzysięgła mu wieczną nieprzyjaźń. Wtedy

wyjechała na Litw, i tonęła jak kamień, w wodzie. Były wprawdzie głucha wieści, że poszła za ekonoma, że kochała się w jakimś sołtysie, a byli nawet tacy do wciwnisie, którzy twierdzili, że król pruski biorąc Gdańsk Rzeczypospolitej i motywując ten zabór, że jest siedliskiem Jakubinów, miał tylko szambelanową na myśli, która w tym czasie miała się w Gdańsku znajdować. Dla tego szambelanowa przyjechawszy z wnuczką do Warszawy, najęła sobie mieszkanie na poddaszu, bo , salonami wieczny rozbrat wzięła. Uczyniła to nawet z pewną ostentacją, aby salonom warszawskim dokuńczyć.

Co zaś z wnuczką swoją zrobić zamyśla, której prawdopodobnie da w posagu okrągły milion, tego nikt powiedzieć nie mógł. Jedni utrzymywali, że ją wyda za garbarza lub szewca i to znowu na to tylko, aby się zemścić na salonach i wielkim świecie, który jej męża odebrał, a w zamian za niego nic nie dał...  
Mówiono także, że w tym celu wychowała nawet tę wnuczkę, która zaledwie czytać i pisać umie, a po irancuzku ani słowa! Ktoś ją nawet widział i utrzymywał, że ma piegi i włosy rude.  
Takie były wiadomości o szambelanowej w jednym obozie w drugim wprost im zaprzeczano.  
kobieta szambelanowa jest zacna i rozumna  
kobieta, ale dzisiaj nadzwyczaj biedna. Mąż jej stracił

cały majątek, a to co jej na Litwie zostało, było tak nie wiele, że z tego bynajmniej miliona uskładać nie można było. Prócz tego były wypadki w rodzinie, które nie tylko że wiele pieniędzy kosztowały, ale nawet szambelanową do sprzedaży ostatniego folwarku zmusiły. I klęski krajowe przyczyniły się także nie mało do tego...

Dla tego jest to wielkim taktem ze strony rozumnej szambelanowej, że będąc ubogą nie pcha się, jak to inni czynią, na salony warszawskie, aby tam być ciężarem, tylko spokojnie siedzi sobie prawie incognito na poddaszu, żyjąc chlebem i wodą. Podobne wypadki bardzo często praktykują się w Paryżu...

Dowcipnisie salonowi wymalowali ubóstwo szambelanowej w sposób drastyczny. Opowiadali, że nosi ją kąś starożytną czapkę futrzaną, starą salopę przewróconą podszewką do góry i w ręku ogromny kosztur. Wnuczka chodzi w perkalikowym szlafrocuku, kupionym między żydami na ulicy Kominiarskiej. Na głowie ma kapelusz stary szambelanowej z czasów Stanisława Augusta.

Pozwalano nawet sobie z tego powodu stroić żarty i niektóre wykwinne salony straszyć wizytą szambelanowej.

— Savezvous, mówiono nie raz do pani woje wodziny, pani szambelanową wybierasię z wizytą.

— Mais, cest drôle! odpowiadano z przestrachem, co my tutaj z nią zrobimy!... Wnuczka nie umie po francuzku!  
— Ale umie lepić doskonałe kołduny!

#### XVI,

W obec takich pogłosek o szambelanówj, trudno było dalekim jej krewnym o niśj pomyśleć, chociaż już pytanie: czy ma milion, czy niema miliona? mocno do tego tentowało. Osobliwie bohaterowie owój wyprawy niefortunnej na poddasze często wracali myślą na ten ciemny korytarz, ale nigdy nie wynieśli ztamtąd ani jednego światełka, ktdreby ich oświeciło! Dwóch z nich należało do krewnych szambelanówj. Mogli więc ją odwiedzać w każdym razie. Nie czynili jednak tego z nader ważnych względów, to jest, aby w salonach niepopsuć sobie pozycyi zajętej przyznaniem się do tego pokrewieństwa. Trzej inni byłiby może mniej dbali na gadaninę salonów, ale nie mieli sposobu wejść na to zaczarowane poddasze. Podkomorzyc, którego babka była Mirska z domu, miał największy przywilej do wejścia na poddasze, ale opinia salonów wstrzymywała go od tego kroku. Naj

przód szambelanowę i wnuczkę obejrzano od stóp do głowy, a to znaczy bardzo wiele. Jeżeli w innych warstwach towarzyskich praktykują się różne, nawet zbrodnią już będące intrygi, to w salonie wystarcza na wszystko śmieszność, a jeżeli jeszcze dowcip ją udrapuje, to ludzie dotknięci tą bronią, przepadli!

A tego najbardziej obawiał się podkomorzyc. Zarobił on już sobie długoletnią pracą na jakieś takie stanowisko w wielkim świecie, a pierwsza wiadomość, że bywa u szambelanowej, która jest jego krewną, zepchnęłyby go z niego.

Jeszcze mniejszaby było o to stanowisko, gdyby za to zdobyć milion! Z milionem w kieszeni możeby to jakoś nie tak źle było. Wtedy nawet wielki świat darowałby mu śmieszna szambelanowa, wnuczce darowałby jej piegi i włosy rude, a nawet nauczyłyby ją prawdziwie francuskiej pronuncjacji! Bywały nawet jeszcze gorsze przykłady tolerancji salonów.

Ale ten milion był dotąd mytem! Jakże to stać więc wszystko na kartę? A co gorsza, zamiast miliona obaczy najwyższe Ubóstwo, ludzi tonących w nędzy, którzy gotowi się goczepić i wstydu mu narobić! O pokrewieństwie jego dotąd nie wszędzie wiedziano, miał sam tę niekorzystną wiadomość roztrąbić na wszystkie strony świata?

A zresztą, rozumował sobie podkomorzyc, cóżby na

wet mógł pomódz szambelanowej, przyznaniem się do pokrewieństwa? Sam nie miał majątku, tylko tradycją dawnego rodu utrzymywał się jakoś bardzo sprytnie na widowni wielkiego świata. Tę tradycją możnaby może kiedy dobrze sprzedać jakiej złotej gąsce, która gwałtem chciałaby mieć koronę hrabiowską na karcie, a wszedłszy raz w zażyłość z szambelanową, która wkrótce do twarzystwa dobroczynności rękę wyciągnie, potrzeba było pożegnać się z tą jedyną nadzieją, która jeszcze cząsami świeciła mu przed oczyma!...

Do takiego hazardu nie miał podkomorzyc odwagi. Tu miał przynajmniej coś, a tam mógł wszystko stracić. Ponieważ jednak szatan kusiciel do wszystkich spraw ludzkich się miesza, to i podkomorzycowi podsunął czasami tabliczkę pod oczy, na której jak najwyraźniej napisany był milion!... W takich chwilach sła bości ludzkiej nasuwał podkomorzyc kapelusz na oczy, zarzucał płaszcz szeroki na lewe ramie tak wysoko, że twarzy widać nie było, i wychodził na Leszno przez ulicę Rymarską. Tam długo krążył wkoło narożnej kamienicy, wpatrując się ciekawie w jej wszystkie płamy od szarug północnych.

Szare jednak ściany nieubłaganej kamienicy milczały, nie dając mu odpowiedzi, czy jest tam na poddaszu milion czy go niema? Nawet okna poddasza tak

dziwnie były nieczytelne, że nie można było wiedzieć, czy mają firanki, czy nie?!

Podkomorzyc co kilka dni wyprawiał incognito takie wycieczki. Razu jednego, przed obiadem chciał nawet bliżej dotrzeć. Wszedł ostrożnie do sieni i zaczął kamienicę z wewnątrz studyować. Lecz i tutaj nie znalazł najmniejszego hieroglifu, któryby mógł milion oznaczać. Kamienica była stara, ciemna, brzydka. Tylko ubodzy mogą w takich domach mieszkać.

Podkomorzyc chciał się prędko cofnąć z tego niebezpiecznego miejsca, ale jakaś kobieta wyszła z dala i zapytała kogo szuka. Potrzeba było coś naprędce odpowiedzieć. W tej chwili sam szatan kusiciel podszeptał mu: Pani szambelanowej!

Zaledwie te dwa słowa wymówił, usłyszał na schodach przeciągłe sapanie, a za chwilę stanęła przed nim stara i szpetna kobieta.

— Czy to waćpan o mnie się pytasz? zapytała szorstko i zmarszczyła brwi,

W sieni stało kilku świadków, którzy słyszeli jak podkomorzyc rzeczywiście o szambelanową się pytał... Nie było żadnej innej rady jak tylko przyznać się, choć prawdę powiedziawszy, ciarki biegały mu po całym ciele... wyjątkowo miała dzisiaj jakiś fu

[...]. Powietrze bowiem było zimne

[...] podbita ałtąsem miała widoczne

cechy zeszłego stulecia. Rękawice z króliczego futra uzupełniały jej ubiór.

Za nią w półświatle stała Terenia. Twarz jej jak zawsze była ładna, czarne oczka ciekawie patrzyły na podkomorzycę, ale ubranie głowy było jakoś dzisiaj tak prozaiczne, że podkomorzyc widział w niej tylko bardzo pospolitą dziewczynę.

— Więc to aćpan mnie szukałeś mości podkomorzycu? zapytała szambelanowa, patrząc na wykwintny ubiór knzyna.

— Byłbym od dawna służył pani szambelanowej, odparł zakłopotany podkomorzyc, ale któżby się spodziewał...

— Że mieszkam na poddaszu! uzupełniła szambelanowa i rozśmiała się — tak, tak! Czasy zmieniły się! Zbiednieliśmy!

Podkomorzyc stał jak na węglach i nie wiedział co z sobą zrobić. Oglądał się, czy go nie widzi kto z wielkiego świata.

— Jeżeli aćpan taki łaskaw, ozwała się szambelanowa, że nie gardzisz ubogimi krewnymi, to bardzo się z tego cieszę. Ale wiedźże rybeńko, żem za stara, aby dla ciebie wracać się na poddasze. Do tego jeszcze idziemy za sprawunkami z Terenią. Jeżeli więc aćpan masz ochotę, to przejdź się z nami, a potem wrócimy razem do domu.

Podkomorzyc myślał właśnie o proteście, ale szambelanowa wsunęła mu swoją rękę między żebra i rzekła:

— Idź Tereniu sama, podkomorzyc będzie mnie prowadzić! On zawsze ma więcej siły od ciebie.

Nie pozostało więc nic innego podkomorzycowi, jak tylko z rezygnacją przyjąć wyrok okrutny, jaki go spotkał za zbyt dużą ciekawość wywiędzenia się o milio nie ! Była to zasłużona kara pokusy, jakiej przed chwilą uległ.

Jednej rzeczy tylko gorąco teraz pragnął — to jest aby go nikt nie widział! Za to dałby nawet w tej chwili cały milion, gdyby go miał!...

## XVII.

Szczęśliwie wyszli na ulicę. Tutaj jeszcze jakieś nie było wielkiego niebezpieczeństwa. Leszno nie ma mieszkańców wielkiego świata. Do tego jeszcze hanie bny bruk, a brak zupełny chodników odstręczał miej

skich próżniaków zawsze od tej części miasta, która z tego powodu dla wielu mieszkających w Warszawie była terra incognita. Dla tego ulica ta przybrała odrębną sobie cechę i wyróżniała się od innych ulic całą swoją fizjognomią, życiem i zwyczajami. Było to osobne jakieś małe miasteczko pod stolicą królestwa, które w wielu rzeczach samo sobie wystarczało nie turbując się o stolicę.

Podkomorzyc był więc tu pewnym, że go nikt ze znajomych nie obaczy, i że cały ten epizod jego życia pozostanie dla wielkiego świata tajemnicą. Odetchnął więc lżejszą pierśią w nadziei, że wycieczka starej szam belanowej po za Leszno nie sięgnie.

Z Terenią prócz kilku słów zamienionych z nią w sieni, nic więcej nie mówił. Nie miała ona dla niego żadnego interesu. Cała jej powierzchowność wskazywała, że ta miliona nie ma, o którym rozeszły się wieści, Było mu nawet jakoś nie na rękę przyznać się do jej kuzynostwa, nie wiedząc wcale jakiego mu kiedyś męża zaprezentuje. Ale nieubłagana szambelanowa przedstawiła go jako kuzynka, a podkomorzyc długo się krztusił, nim tę pigułkę połknął.

Gdy już byli na ulicy, ozwała się szambelanowa — I cóż porabiasz w Warszawie mości podkomorzycu? Oj bieda to dla nas teraz bieda!... Ale cóż robić! Dawniej było inaczej! Były fortuny, to też nie umieliśmy ich szanować. Wszystko poszło z szumem i hukem, ale poszło!

Podkomorzyc nie umiał i nie chciał na to nic odpowiedzieć. Była to materyja delikatna Westchnął tylko.

— Znałam dobre nieboszczyka ojca, prawda dalej szambelanowa, był to człowiek dobry i gościnny, to też wszystko poszło i zostały tylko długi. Cóżście z tymi długami zrobili? Wszak już majątku żadnego nie macie!

— Długów nieco popłaciło się — cedził przez zęby podkomorzyc, przeklinając szatanakusiciela.

— A w końcu wam nic nie zostało! Wiem, wiem!...

Takto ojcowie nie mieli na to względu, że dzieci biedne zostają.

Podkomorzyc, po którego wykwinnym ubiorze wcale tej biedy nie było znad, westchnął znowu miasto odpowiadzi.

— Ale powiedzże mi kuzynie, prawda dalej nie li tościwa szambelanowa, jakże sobie radzisz, że masz przecież jakiś cały kubrak na grzbiecie? Służysz gdzie? Fiszysz w biurze?

Podkomorzyc poczerwieniał cały. Spojrzał z ukosa na Terenię i spotkał się z jej ciekawymi oczkami, której właśnie oglądały płaszczyk elegancki od góry do dołu. Zacisnął usta i odparł!

— Jeszcze tak dalece nie jestem potrzebnym, abym musiał służyć lub w biurze pisać!

— Ej! co mi tam aćpan bajesz! Wczoraj dopiero mówił mi mecenas, że biegałeś aby tysiąc złotych pożyczyc i nikt nie chciał dać!... Do czegoż to taki wstyd fałszywy między krewnymi?

Podkomorzyc miał wielką ochotę wtrącić starą babę do rynsztoku i drapnąć. Ale namyślił się i odparł:

— Nie miałbym wcale wstydu, gdyby ci krewni dopomódz mnie mogli, ale...

— Ale gdy są biedni, kończyła szambelanowa, to chcesz ich dobrą miną pocieszyć, choć chłodno i głodno!...

Dobrze. Jeżeli kto drugiemu pomódz nie może, to nie trzeba nawet dać mu to uczuć! Zbiednieliśmy!...

Podkomorzyc zaczynał przytomność tracić. Tak przy krych słów jeszcze nigdy nie słyszał! Wprawdzie nie miał żadnej fortuny, ule umiał jakoś zawsze to pokryć i nikt mu tego na głos nie powiedział, że jest biedny. Nawet w tym celu starannie unikał wsze kiej pracy, aby go o ubóstwo nie posądzono. Zawsze jeszcze liczył na bogate ożenienie się...

— Ale koniec końców, mój kochany kuzynie, prawda dalej szambelanowa, choć jesteś goły jak turecki święty, to przecież nie trzeba rąk opuszczać. Trzeba coś sobie wyszukać, znaleźć miejsce w jakim biurze, lub się czegoś nauczyć... Abo inaczej przyjdzie ci umrzeć pod cudzym płótem o kiju żebraczym!... Wasze salony nie znoszą ubóstwa!..."

— Szambelanowo, dajesz mi arcyzbawienne rady i zgrzytał zębami podkomorzyc.



— Bo ja znam dobrze ten świat wielki! Dopóki będziesz miał białe rękawiczki, to ci jeszcze dadzą jaki ci łąp z półmiska, ale gdy ci na io już grosza nie sta nie, to flakarka na Starem mieście nie da ci nawet porcyi flaków!  
Podkomorzyc gryzł wargi ze złości. Nigdy jeszcze nie był w podobnej sytuacji. Wprawdzie często odmawiali mu Indzie pożyczki pieniędzy, ale odmowę swoją

łodził tak słodkimi wyrazami, że po takiej odmowie jeszcze wyżej głowę nosił. Tutaj słysząc wprost słowa, o których nawet nigdy nie pomyślał, a co najgorsza, że podobne słowa słucha Terenia...

Przy tej rozmowie nie wiedział nawet, że wyszli już na plac koło kolumny Zygmunta. Było to miejsce nader niebezpieczne. Powietrza było wprawdzie zimne, ale mnóstwo ludzi wyszło na przechadzkę po Krakowskim Przedmieściu.

Podkomorzyc chciał tutaj pożegnać szambelanową ale ta przecisnęła się do niego i rzekła:

— Przecież tu mię aćpan nie opuścisz! Tu jeżdżą dorożki jak szalone! Prowadź mnie na Stare miasto, nie spotkasz nikogo. Z rezygnacją więc zeszedł na dół i weszli w ulicę Świętojańską.

Przy ulicy Świętojańskiej są sklepy gospodarzy. Szambelanowa spojrzała na skórę rozpiętą na okienicy i rzekła z uśmiechem:

— Patrz kuzynku, jaka to pyszna skóra! Jeżeli się nie mylę, siedzi tam za ladą jakaś panienka. Garbarze to zazwyczaj ludzie majątni. Śmierdzi bo u nich, śmierdzi — ale najgorzej śmierdzi ubóstwo! Wierzaj mi!... Czasami to można taką garbarkę porwać z milionem... wy to na wielkim świecie umiecie i jakoś nawet garbarski biszof wtedy wam nie śmierdzi!...

— Szambelanowa jest dzisiaj w fatalnym humorze

zauważył zgryźliwie podkomorzyc...

— Ależ rybeńko, nie pojmujesz mnie! Gdybym była bogata, to byś mógł słowa moje wziąć za ironię, ale oboje biedni jesteśmy, dla czegoż nie mamy z sobą otwarcie mówić i rzeczy po nazwisku nazywać?...

Tutaj zbliżyli się wszyscy do Rynku. Szambelano wa stanęła pod straganem z marchwią.

— Otóż widzisz kuzynku, mówiła szambelanowa, jesteśmy u celu naszej wędrówki. Terenia i ja lubimy nadzwyczaj żółtą marchew. Służąca nigdy tak dobrej nie przynosi. Dla tego powiedziałam dzisiaj do Tereni wyjdziemy, przejdziemy się i same marchew kupiemy!... Biedni nie powinni nic, ego się wstydzić!

Rzekłszy to wzięła dwa pęki marchwi. Jeden zostawiła sobie, drugi dała Tereni...

Podkomorzyc patrzył na to wystraszony. Obejrzał się szybko, czy kto go nie widzi. A niebezpieczeństwo było wielkie, bo od Fukiera wychodzili właśnie palestranci... Tymczasem wiaska m?rchwi nie chciała się jakoś dobrze trzymać w małej rączce Tereni. Szambelanowa patrzyła na usuwającą się marchew z uśmiechem a potem rzekła:

— Patrz kuzynku, jak to dzisiaj młode panienki nie umieją marchwi trzymać... może byś jej pomógł?...

Podkomorzyc poczerwieniał jak pąs. Rzucił okiem w koło... ale ratunku żadnego nie było.

— Oddaj Tereniu podkomorzycowi, jeżeli ci niewygodnie! rzekła szambelanowa.

Terenia z dowcipnym uśmiechem zwróciła się do podkomorzycy... podkomorzyc machinalnie wziął marchew. W głowie mu zaszumiało... i odtąd już nie wiedział co się z nim dalej działo!...

Kubaś tylko opowiadał po salonach, że widział podkomorzycy, jak niósł dwa paki marchwi i szedł z szambelanową przez całe Krakowskie Przedmieście aż do Kopernika... tam i napowrót!

Podkomorzyc przyszedł dopiero do siebie, gdy pod kamienicą na Lesznie zapraszała go szambelanowa na odgrzewane kołduny. Terenia miała na ustach zabijający, ironiczny uśmiech... podkomorzyc tyle jeszcze miał przytomności, że kilkoma słowami za kołduny podziękował, skłonił się i odszedł.

Szambelanowa patrzyła czas niejaki z uśmiechem bolesnym, a potem rzekła do Tereni:

— Patrz Tereniu! Ten człowiek nie ma złamanego szeląga — ale umrze pierwej z głodu, niżeli weźmie się do jakiej pracy, bo jest tego przekonania, że każda praca

człowieka w salonie poniżej!

### XVIII.

Nazajutrz leżał podkomorzyc chory w swoich eleganckich apartamentach. Po wszystkich bowiem salonach warszawskich rozbiegła się wieść, że szedł przez Krakowskie Przedmieście z szambelanowa, która miała futrzaną czapkę na głowie, salopę obszarpaną i duży kosztur w ręku. Podkomorzyc niósł dla niej pietruszkę, buraki i selery w jednej ręce, a w drugiej gęś, czy kaczkę, jak niektórzy utrzymywali. Wnuczka szambelany, która jest wcale miłą kuchareczką, niosła ser i jaja i miała na głowie kapelusz szambelanowej z czoszcz Stanisława Augusta.

Wieści takie, mniej więcej dowcipem opieprzone, mogły każdego człowieka zabić. Podkomorzycy nie zażyły wprawdzie na śmierć, ale położyły go do łóżka, bo sam już nie wiedział, jak sobie dać radę!

Pozycya jego była zachwiana, jeżeli nie zupełnie stracona. Stał się śmiesznym, czego najrozsądniejsi

i najpocziwsi ludzie nigdy nie darują — a co jeszcze gorsza, że jest krewnym tak wielce podupadłej familii, z czego wniosek naturalny wypływa, że i on nie ma fortuny, jeżeli krewnej swojej pozwala tak imię swoje szargać po błocie warszawskim.

Nieszczęście więc podkomorzycy było skomplikowane, a nie było sposobu, aby mu jak poradzić! Cóż bowiem uczynić? Czy wyprzeć się wprost wszystkiego? Nie uwierzą, bo wielu było świadków! Szambelanowa naumyślnie zaprowadziła go na Krakowskie Przedmieście! Wszyscy go widzieli!... A miałże się także wyprzeć pokrewieństwa z biedną kobietą? I to było nie podobne. Od wczoraj przestudiowano już w tym celu całego Niesieckiego i uzupełniono go najświeższymi na przódce pobieranymi datami, z czego dowiedziano się

z najdrobniejszych szczegółami w jakim stopniu pokrewieństwa stoi podczaszyc do szambelanowej w czapce futrzanej! Do tego szambelanowa, która jest trochę głucha, mówiąc do niego, nazywała go głośno i to na wet z pewną ostentacją kuzynem i bardzo wiele mówiła o podupadłych rodzinach F., do których oczywiście i on należy!...

Takie myśli przechodziły przez głowę podkomorzycy, a nie wiedział na nie lekarstwa! Ale nagle strzeliło mu coś do głowy. Jest już w naturze każdego nieszczęścia, że równocześnie przy

nosi ratunek dla człowieka, byle tylko człowiek umiał ten ratunek dojrzeć i go pochwycić.

Zdawało się podkomorzycowi, że ten ratunek dojrzał, i że należy natychmiast wziąć się do niego. Z tą myślą wróciły zaraz i siły jego. Wstał, ubrał się we frak, wziął białe rękawiczki i wyszedł. Ratunek ten był heroiczny, ale innego sposobu nie było. Naśladował on w tej chwili wyłodniałą i do rozpacz przywiedzioną załogę fortecy, która chcąc omylić oblężycieli, wylewa poza mur ostatki wody i wyrzuca wiktuały. Chodziło tylko o to, czy oblegający nieprzyjacieli da się omylić i korzystną kapitulacją ofiaruje!... Podkomorzycy siadł do dorożki i kazał się zawieźć na Nowy świat, do wojewodziny.

Sędziwa wojewodzina jak zazwyczaj, miała dzisiaj u siebie większe zebranie. Był to dom bardzo gościnny a osobliwie słynął z pewnego przymiotu bardzo chwalebego. Wojewodzina była rodu starożytnego, nie obawiała się więc przyjmować u siebie towarzystwa, które jeszcze nie miało kwalifikacji do innych salonów nowszego pochodzenia. Wojewodzina bowiem, kogokolwiek w domu swoim przyjmowała, była zawsze wojewodzina, podczas gdy dom nowo powstały starał się o towarzystwo nieposzlakowanych rodów, które niejako nowemu domowi brakującego mu blasku dodawały. — Wojewodzina miała ten blask starego klejnotu, nie oba

wiała się zetknięcia nawet z kwasami, które zazwyczaj zdzierają złotą maskę z każdej imitacji kruszcowej. Bogata w tradycją rodu i cnoty domowe, przyjmowała u siebie wszystkich bez skrupulatnego rostrząsania. To też dom jój był najliczniej odwiedzany. Przychodzili tam ludzie zupełnie nowi, o których antenatach Niesiecki wcale nie wspomniał, a wojewodzina jak najchętniej wprowadziła ich wtedy w stosunki z dawnymi swymi znajomymi, jeśli tego była potrzeba. Osobliwie kobiety, które poczuwszy się na siłach i na fortunie chciały do bractwa wielkiego medalu się zapisać, składały zazwyczaj w jój domu examen, czy mają do tego kwalifikacje, czy muszą jeszcze niejaki czas zostać katachumenami. Wojewodzina otwierała im chętnie swoje salony i okazywała ich zgromadzeniu w świetle jak mogła najkorzystniejszem, a wyrok zostawiała całemu towarzystwu. Miała ona na stanowisku swoim tę zasługę, że podupadające wyższe towarzystwo salonów warszawskich zasilala nowym rekrutem. Jój dom był niejako obozem wszystkich ochotników i nowo zaciężnych, z których salony wybierały Bobie armią regularną, dobrze mustrowanych żołnierzy. Wprawdzie wcisnęło się tam także nie mało hołoty i ludzi różnego autoramentu, bo kontrola w takim razie nie była nader ścisła. Nie ubliżało to jednak wcale

domowi, który miał jak najlepsze chęci, ani towarzystwu, które się tam zbierało. Hołota i inne makuly oddzielały się samem ugrupowaniem towarzystwa i najczęściej jak plewy odpadały za pierwszym podmuchem wiatru.

Tak sobie rozmawiali ci, którzy tam chodzili, bo z takim rozumowaniem było im najwygodniej. A rozczarowania te nabierały w obec dobrej piwnicy i wyśmienitej kuchni szanownej gospodyni wszelkiej cechy najzdrowszej logiki.

Zresztą świat wielki potrzebuje tylko pewnych form, a na resztę jest po chrześcijańsku nadzwyczaj pobłażliwy. Byle tylko pozory były dobre i godziwe, byle tylko na oczy własne nie widziano!

Podkomorzyc bardzo dobrze obliczył, że wystąpienie jego w takim zebraniu nabiera rozgłosu na całą Warszawę. Wszystkie prawie warstwy i zawody społeczeństwa były tam reprezentowane. Każde więc słowo

tam wymienione, odbije się stokrotnem echem po całym mieście, zacząwszy od Pragi aż do Mokotowa! Tylko jednej rzeczy nie obliczył... nie obliczył mego sukcesu!...

— Czy to prawda mości podkomorzycy, zapytała go zaraz na wstępie generałowa Z\*\* Od dit..

— Wszystko prawda, madame, odparł śmiało podkomorzyc — niosłem kurę, jaja i śmietanę za moją

krewną panią szambelanową, która jest ekscentryczną dziwaczką, ale ma — milion gotówką!

Milion! milion! wołano zewsząd — więc to prawda! Milion! Milion! Cest abominable!

— Tak jest, mówił podkomorzyc podniesionym głosem, sam widziałem rachunki na własne oczy, a nawet za kilka dni mam jako jej plenipotent jechać do Londynu, aby tam niektóre sumy podnieść...

Głucha cisza powstała w salonie. Było to uszanowanie dla — miliona!...

Podkomorzyc wygrał sprawę. Darowano mu kurę, jaja i cebulę, które niósł, darowano szambelanowej jej czapkę futrzaną i kosztur duży — darowano poddasze jako wybryk splenowy, bo miała — milion!

Podkomorzyc tryumfował.

— Czy to prawda, że ma wnuczkę przy sobie? pytały kobiety.

— Prześliczną jak anioł Rafaela! odparł podkomorzyc i zagryzł usta.

— Jakto! Ma milion i ładną wnuczkę! krzyknęła niska, fertyczna dama, która w tej chwili przybiegła prawie bez tchu do podkomorzycy i konwulsyjnie za rękę go ścisnęła.

Mimo hojnie nałożonego bielidla, zbladła dama i za chwiała się...

Nikt nie mógł pojąć ani zrozumieć co to znaczy

Wszyscy zdumieni spojrzeli po sobie.  
Nawet Podkomorzyc stał niejakiś czas nieco zdziwiony.  
— Podaj mi pan rękę, rzekła do niego drżącym głosem, i odprowadź mnie do fotelu... jakie tu nieznośne gorąco !...  
Podkomorzyc podał jej szybko rękę i zwrócił się do najbliższego fotelu. Dama jednak ominęła ten fotel, a ciągnąc podkomorzycę za sobą, skierowała swe kroki do małej kanapki, umieszczonej na boku we framudze okna.

#### XIX.

Nowina, jaką podkomorzyc przyniósł do salonu wojewodziny, sprawiła na całym zgromadzeniu niezmiernie wielkie wrażenie. Milion to przecież nie jest rzeczą obojętną, a milion w gotówce to znaczy dziesięć razy więcej, niżeli jakieś tam prenotacje na hipotece!  
Jedni więc mówili o tym milionie jak finansisci, inni objaśniali go złośliwymi uwagami, ale wszyscy mówili o milionie. Robiono z powodu tego miliona różne kombinacje, a osobliwie kobiety tak się tym milionem przejęły, że niektóre posmutniały, a inne ogarnęła jakaś dziwna, nie wytłómaczona gorączka. Matki z córkami i ciocie z swymi pupilkami zaczęły coś szeptać.  
Aby to wszystko zrozumieć, wypada nam bliżej zaopoznać się z towarzystwem.  
Towarzystwo znajdujące się u pani wojewodziny, miało wszelkie cechy społeczeństwa, które po wielkich katastrofach zaczyna się na nowo organizować. Jest to

poruszenie pojawiające się zawsze po wypadkach dziejowych.

Wiek ubiegły zamknął pewien okres dziejów. Ludzie, którzy ten okres stanowili, wypadli z ról swoich, a na ich miejsce wchodziłi nowi. A co się jeszcze z da

wnego autoramentu zostało, to zużyło się w pierwszych piętnastu latach nowego stulecia, szukając cichych grobów po twardym znoju i zawiedzionych marzeniach.

Wielkie rady historyczne, które jak karyatydy dźwi gały dawny porządek rzeczy w ubiegłym stuleciu, straciły w nowym cały fundament, na którym oprzeć się mogły. Odeszły więc na bok, bo nowy porządek rzeczy nie miał dla nich miejsca. Podupadli i zubożeni wycieńczeniami ostatnich piętnastu lat, abdykowały po większej części z przewodztwa w społeczeństwie i skryły się w zaciszną ustron, żyjąc tam wspomnieniami i tradycjami tego, co już dla nich minęło.

Wydarte te luki w społeczeństwie, potrzeba było innymi ludźmi obsadzić. A takich ludzi było teraz bardzo wiele.

Wołyń, Podole, Ukraina, a nawet w części Ruś Czerwona, obfitowały podówczas w takich ludzi. Były tam bowiem kolosalne fortuny wielkich panów polskich, dzierżących w autoramencie Rzeczypospolitej wysokie dygnitarstwa. Te fortuny powierzano częstokroć radzcom, plenipotentom, ekonomom, którzy tam gospodarowali

i pewny zarobek panom do Warszawy posyłali. W ogóle majątki w tych częściach Rzeczypospolitej uważała wyśoka szlachta za kolonie niemal w tym samym znaczeniu, w jakim uważa Anglia Indie swoje. Byli tacy którzy tych majątków nigdy nie widzieli tylko z raportów sług swoich mieli jakieś o nich wyobrażenie.

Ztąd poszło, że w tych ziemiach wielu pracowitych ludzi znalazło korzystne zatrudnienie, którzy oszczędzając grosz, do grosza przyszli jako homines nomi do bardzo znacznych fortun. Nie obeszło się i bez malwersacji. Zbyt oddalonych panów okradano po prostu, obecnym schlebiano drażniąc w niegodziwy sposób różne słabości ludzkie. Bardzo więc często zdarzało się, że kamerdyner sprytny, pisarz prowentowy lub ekonom prowentowy, lub ekonom prosty, odziedziczali potem majątki prawie fortuny, przy których nic już sobie innego nie życzyli, jak tylko jakiegoś takiego wzięcia u ludzi. Osobliwie ostatnich lat kilkanaście sprzyjały takim panoszeniom się dawnych sług dworskich. Nowy porządek rzeczy zagroził tam fortunom ludzi, wybitniejsze stanowisko w dziejach zajmującym, a niektórzy znowu z nich, poczuli się do pewnych ofiar dla tegoż społeczeństwa, z którego wyrosli. A że to były właśnie czasy ofiar i nadziei, jako też niemniej czasy obawy i trwogi, to wiele wielkich fortun kazano tam poprzedawać, za co tylko można było.



Tu było pole największych nadużyć. Plenipotenci i ekonomowie, którzy już jakiś grosz mieli w zapasie, korzystali z położenia rzeczy, a pomnażając obawę pańów swoich widokami sekwestru lub konfiskaty, zmuszali ich do pozbycia się tych fortun za bezcen, czasem na wet przywłaszczano je sobie po prostu pokrywając to jakimiś wymyślonemi pretensjami.

Otóż między innymi, którzy uczciwą pracą czegoś się dorobili, wstąpili także i tacy do wydartych luk w społeczeństwie. Dopominali się oni o miejsce w tych lukach, jakie zazwyczaj zajmują ludzie odznaczający się wielką fortuną.

Ale historia podobnych fortun nie była zawsze czy sta. Ponieważ zaś jedna, druga i trzecia fortuna na bytą była przez malwersacye, i dla tego dzisiejszych ich posiadaczy sprawiedliwą pogardę obrzucono, rozciągnio no tę pogardę albo przynajmniej lekceważenie na wszystkich tak zwanych dorobkiewiczów czyli ludzi nowych. Z takiego stanu rzeczy wypłynęła u tych ludzi konieczna potrzeba notowania pozycyi swojej, jaką im na dawały fortuny. Przy fortunie odzywały się inne, nawet szlachetniejsze pragnienia, którym jednak trudno było zadość uczynić, nie będąc w harmonii z otaczającym społeczeństwem. Tu dysharmonia tem więcej dokuczała, im większe były fortuny!

Potrzeba było jakoś temu dokuczliwemu złemu za

radzić. Dwie drogi ku temu stały otworem. Próbowano jednej i drugiej.

Jedna z tych dróg była dosyć łatwa, ale nie za wsze prowadziła do celu. Była to droga pogodzenia się z nowym porządkiem w kraju. Wtedy nie trudno było o szczyty i honory. Droga ta jednak nie wydała zaraz owocu. Dysharmonia w otaczającym społeczeństwie trwała dalej, a często nawet stawała się

większą. Do pożądanego owocu potrzeba było najmniej jednej generacji.

Druga droga praktykowana powszechnie, zmierzała głównie do podszywania się pod cudzy klejnot szlachecki. Byle tylko podobne nazwisko znaleźć w Paprockim, to już była sprawa wygrana. Znaleźli się zręczni, no wozytni heraldycy, a nobilitacja byłego sługi dworskiego poszła gładko jak po maśle. Wtedy zazwyczaj wieszano herb olbrzymi nad bramą, i uczono się z całą starannością wszelkich nawyknień i przywar rodowej arystokracji, które brano za istotne i jedyne zalety.

Trzecia droga była najlepsza i najprędzej prowadziła do celu. Było nią mieszanie się z rodami starej szlachty przez małżeństwa, przez co jedni drugimi udzielali tego, czego jednym i drugim nawzajem brakowało. Jednym brakło fortuny, drugim czystej krwi szlacheckiej, a jedni i drudzy myśleli, że z takimi brakami przyzwoicie żyć nie można!

Takie wzajemne mieszanie się społeczeństwa następuje zawsze po wielkich, dziejowych katastrofach, które jednych ogałają z wszystkiego, a obok ogołoconych zupełnie nowych ludzi rodzą.

A pierwsze czasy Królestwa kongresowego były na daleko obfite w takie wydarzenia. Obok rodów podupadłych po klęskach krajowych, były także niedobitki ostatnich rozpuszczonych czasów Rzeczypospolitej. Ojcowie z nowych w kraju rodów przetracili w szale bezwiednym w tych czasach wszystko, a pozostawili synów ogołoconych z fortuny, którym jakby na pokutę przekazano nazwisko, z którym nie można było schować się w zaułkach społeczeństwa. A fortuny nie było żadnej, która mogła godnie podtrzymywać to nazwisko na szerszej widowni świata.

To też ludzie obciążeni nieszczęśliwie takimi nazwiskami byli zmuszeni sprzedawać je za fortunę, i tym sposobem łączyć się małżeństwami z domami dawnych sług dworskich i dorobkiewiczów.

Jednym i drugim dobrze z tym było, bo co jedni z ochotą sprzedawali, to drudzy z równą ochotą kupowali.

Sprzedawano więc nazwiska nie pytając komu, ani za wiele? A z drugiej kupowano te nazwiska, zaglądając tylko do herbarza, a nie patrząc bynajmniej na czołowiek, który tym razem był tylko towarem.

XX,

Zgromadzenie u pani wojewodziny mieściło w sobie wiele takich ludzi, którzy nazwiska swe sprzedają, i takich, którzy je kupić chcieli. Jedni patrzyli na drugich jak się patrzy na wystawione w jakim bogatym sklepie towary. Wzajemnie obawiano się zbyt pochopnego zbliżenia się, bo jedni nie byli jeszcze dobrze poinformowani o cenie, drudzy lękali się niehonorowego odwrotu. Czekano więc na bliższe sygnały, aby zatargować i targ zręcznie przybić.

Między kandydatami jednej strony, zajmował podkomorzyc niepoślednie stanowisko. Nazwisko dosyć znane w kraju; wysokie urzędy piastowane przez antenatów w Rzeczypospolitej, koligacje i relacje z wyższymi domami, uprawniały go do tego. Wszystkie te przymioty podnosiła jeszcze oględna powierzchowność i nabyta rutyna poruszania się na wielkim świecie.

Kilka matek i ciotek patrzyły na niego z wielkim

upragnieniem, jak na zwierza upatrzonego. Młode panienki wzdychały skrycie do jego nazwiska, wnosząc o rokosznych zaszczytach i honorach, jakie je spotkaćby mogły, gdyby im dał swoje nazwisko, swoje koligacje i znajomości ze znakomitymi domami wielkiego świata. Podkomorzyc jednak nic nie wiedział, o drugich nie chciał wiedzieć. Tkwiła w nim zawsze duma rodowa, która odpychała go od zbyt pospolitych nazwisk. Za wsze jeszcze wyobrażał sobie, że może znaleźć jaką rozsądną pannę z równego sobie rodu, a nadzieja ta zwiędła się po każdym w niższej sferze odniesionym zwycięstwie.

Naturalną więc rzeczą było, że odurzony taką nadzieją z góry patrzył na mizdrzące się do niego ciotki, i stryjenki, a nie słyszał wcale sekretnych westchnień, wykarmionych dobrze na kukurydzy panienek, których nazwiska umiał nader dowcipnie przekręcać w sposób najpocieszniejszy.

Mimo to fakt był faktem, że wiele serduszek na

tym wieczorze żywiło się tajemnym marzeniem, że przecież kiedyś je pojmie i zrozumie i gorącym pragnieniom zadość uczyni.

Nowina jednak rzucona przez niego w osłupiałe towarzystwo, że bliska krewna jego, pani szambelanowa ma milion w gotowiźnie, a ten milion prawdopodobnie dostanie się jej wnuczce, która ma być piękną jak anioł

Rafaela, sprawiła nadzwyczajne wrażenie. Skombinowano natychmiast, że podkomorzyc już na ten milion rękę położył, bo nawet sam powiedział, że jest pełipotentem tego milionu i po nie do Londynu wyjeżdża. Inaczej nie mógł zrobić, bo każdy na jego miejscu byłby to samo uczynił, jeżeli jeszcze do tego milionu do staje się aniołka Rafaela!

W związku z tem były owe kaczki i cebula, które miał nieść za dziwaczną szambelanową. Była w tem widoczna, chęć zaskarżenia łaski starej dziwaczki. Dla prostej grzeczności nigdyby tego nie był uczynił podkomorzyc. Jasno i dobitnie oznaczył tym faktem swoją zamiary, których nie można, było niewiedzieć.

Również ten fakt z kaczkami i cebulą potwierdzał wieść, że szambelanową istotnie ma milion. Inaczej nie byłby podkomorzyc nigdy ani kaczki ani cebuli brał do rąk, gdyby o tym milionie nie miał oczywistych do wodów.

W takim stanie rzeczy był podkomorzyc dla skrycie bijących serc zupełnie straconym. Z boleścią odrywały się od niego sekretne marzenia, raniąc przy tem biedne serduszka. A wiadomo jest powszechnie, że serce zranione jest najniebezpieczniejsze i że Rajchciwiśj wtedy chwytą za to, co mu się w tej chwili nawinie...

Podkomorzyc sam nie wiedział, jakie dziwne zmiany frontu sprawiła jego fatalna nowina i jak z tej zmiany

skorzystaliby jego znajomi. On chciał, tylko tą nowiną

swoją, pozycję w salonie ratować, a tymczasem sprawił nie tylko dla siebie, ale nawet i dla znajomych swoich wcale nową sytuację, o którą przed chwilą żaden z nich nie myślał.

Najprzód panna Alina (na chrzcie otrzymała imię Katarzyna) córka zamożnego niegdyś dzierżawcy dóbr królewskich, a dzisiaj pana na Ostrochowie, który obecnie wydatkami nad swoją fortunę chciał się gwałtem wcisnąć, jak utrzymywał „do lepszego towarzystwa”, zbladła nieznacznie na tę wiadomość o milionie, bo ma ksmy jej, któremi się kierowała, kazały jej wierzyć, że podkomorzyc do tego miliona przystanie. Inaczej nawet stać się nie mogło.

Dotąd jakoś panna Alina nie mogła trafić do serca podkomorzycy. Zbywało jej na sposobności rozwinięcia przed nim całej swej potęgi. Obyczaj nie pozwalał jej nastęrczać się samej, a podkomorzyc był ślepy na sygnały dawane z daleka.

W tym celu użyła pewnego, często praktykującego się wybiegu. Chciała trafić do niego przez przyjaciela. Uważała, że największym zaufaniem swoim zaszczyca podkomorzyc Hektora. Tego starała się najprzód przyciągnąć do siebie, aby przez niego dojść do podkomorzycy. Hektor był łatwiejszy i na pierwszy sygnał stał się przy niej.

Panna Alina starała się najprzód przytrzymać go przy sobie, używając do tego tylko połowy baterii broń kobiecej. Wyznała mu, że sprawia na niej wrażenie poczciwego przyjaciela, któremu wiele rzeczy z prawdziwą rokoszą wyznać można. Aby zaś słów jej źle nie zrozumiał, przedzieliła go natychmiast od siebie parawanem czystej tylko przyjaźni, której pamięć wiecznie z nią pozostanie. Mówiła mu zawsze, że takie wspomnienia są najprzyjemniejsze w życiu, i że ona tylko dla takich wspomnień, a dla niczego więcej pozwoliła mu zbliżyć się do siebie.

Hektor przeklął w duchu tę fantastyczną teorię serca, ale Alina już go przy sobie zatrzymała. Pełnił różne usługi za co obiecała mu korzystne swoje pośrednictwo, jako przyjaciółki i siostry, jeśli sobie kogo upatrzy!

Rad nie rad, przyjął Hektor tę rolę na siebie, i słuchał całymi godzinami najwyszukańszych pochwał na podkomorzycy, który był u niej wyższy, nad wszystkie ideały życia! Wszystko u niego było najlepsze, jego twarz, oczy, broda, były niezrównane, jego frak i żaboty nie doścignione, a w dowcipie, rozumie i erudycji nie miał

już prawie nikogo równego!

Alina liczyła na przyjacielską usługę Hektora, który to wszystko podkomorzycowi powie. Hektor jednak inaczej sądził. Był, tego prostego zdania, że bliższa ko-

szula ciała. Alina mogła mieć trzy, czterokrotnie a ta bagatelka byłaby jemu bardzo na rękę. Dla tego nie tylko, że przyjacielowi nic o tej adoracji nie powiedział, ale nawet często pannę Alinę w świetle dosyć niekorzystnym przedstawił, o ile względy na możliwą przyszłość na to zezwalały.

Alinie więc z całego tego fortelu nic innego nie pozostało, jak tylko to, że rozmawiając często z Hektorem o podkomorzym, wiedziała bardzo wiele zresztą obojętnych o nim rzeczy, co dostarczało jej wstępu do rozmowy, jeżeli go gdzie uchwycić mogła. Było i to coś, z czego sprytniejsza kobieta mogłaby może więcej wysnuć, niżeli to uczynić potrafiła Alina.

To jej jednak wcale nie zrażało i z wytrwałością godną lepszej sprawy, wyczekiwała z dnia na dzień lepszego sukcesu.

Zdawało się jej nawet, że już była blisko tego sukcesu, gdy podkomorzyc nagle w salonie wojewodziny, wbrew zapowiedzi Hektora, że jest chory, we własnej osobie stanął, i ztwarzą rozpromienioną wieść o milionie za prawdziwą ogłosił.

Milion ten uwieńczony na poddaszu, przebił wskroś serce Aliny, która zadrżała i pochyliła się jak podcięta roślina! Obejrzała się smutno w około siebie koło niej usiadł właśnie Hektor.

XXI.

Hektor miał twarz zamyśloną i nieruchomemi oczami patrzył przed siebie. Alina obesła tę twarz swemi dużemi piwnymi oczyma, pomarzyła chwilę i spuściła smutno głowę. O czem w tej chwili myślała, trudno

odgadnąć.

Hektor myślał o milionie. Najprzód myślał o nim jako o cyfrze bez żadnych innych dodatków. Milion już jako prosta cyfra nasuwa każdemu człowiekowi wiele marzeń. Wszystko jakoś wiąże się do tej cyfry szczęśliwej!...

Napoiwszy się urokiem samą cyfrą, przyszedł Hektor do różnych akcesoriów tej cyfry, do szambelanki, wnuczki i poddasza. Przypomniawszy sobie różne, nie prawie nieznaczące szczegóły z dawnych rozmów z podkomorzycem, i tym nadał teraz zupełnie inne znaczenie. Przypomniawszy sobie ową wyprawę na poddasze, o której nigdy nie mówili z sobą. Oskarżał w duchu przyjaciela

że nierzetelnie sobie postąpił, ukrywając swoje zabiegi przed nim o ten milion.

Kiedy taki proceder w jego myślach się odbywał, westchnęła Alina boleśnie i ozwała się do niego:

— Cóż pan na to, panie Hektorze? Que dites, vous a cette nouvelle?

— Je suis stupéfait! odparł Hektor — nic nie umiem, nic nie mogę, nic nie chcę pani na to odpowiedzieć!

— A już odpowiedziałeś pan i to powiedziałeś bardzo wiele! Cela me suffisait... ale z przyjacielem można o tem więcej mówić! Nie prawdaż panie Hektorze, że jesteś moim szczerym przyjacielem?

Rzekłszy to położyła swoją rękę na jego ręce Hektor czuł, jak ta ręka drgnęła jakimś wewnętrznym wzniesieniem. Nie trudno mu było odgadnąć, z kąd to wzniesienie pochodzi i kto jest tego wzruszenia przyczyną... a wtedy powinien był zrezygnować z marzeń swoich ukrytych. Widoczny bowiem miał dowód, że Alina była podkomorzycem mocno zajęta, że go nawet sercem czy głową kochała, i że tracąc go w zawrocie głowy, chce się czegoś czepić, jak pijany płota, a właśnie kołem w tym płocie, miał być on !

Hektorowi jednak obojętnem było, czém miał być dla Aliny. Nie myślał o tem, gdzie mogły być jej serce

i głowa, byle tylko otrzymał jej rękę, a z téj ręki zgar  
nął potem trzy, lub czterykroć sto tysięcy!...

Drżenie więc téj ręki, która na jego ręce spoczy  
wała w téj chwili, nie tylko, że go nie zasmuciło, ale  
nawet wprawiło w humor jak najlepszy. Miał bowiem  
dowód, że podkomorzycza niejako kochała, którego obecnie  
na zawsze traci. A w takim wypadku właśnie najlepsza  
jest rola dla pocieszającego przyjaciela, aby osowiała  
rybkę do swojej matni nagnać.

— Nie panie Hektorze, mówiła deléj Alina, cest  
une nouvelle tres importante, abyśmy tak krótko  
ją zbyć mieli!

— Sądzę, że są rzeczy, których się tylko dotknąć  
można, ale nie trzeba brać do ręki ! odpowiedział Hektor.

— Masz pan słuszność! z pewną namiętnością od  
rzekła Alina, brzydota, jakąkolwiek ona jest, nie powin  
niśmy długo oglądać. Już samo oglądanie może nas  
zniżyć do téj brzydoty, którą przed chwilą pogardzaliśmy!

— Czy pani pod tą przydotą rozumie milion ? za  
pytał z pewnym uśmiechem Hektor.

— Nie panie! Milion jest wszędzie i zawsze milio  
nem! każdy wyciąga rękę do niego. Złodziej aby go  
ukraść, a człowiek pracowity aby go zarobić. Ale jeżeli  
kto wystawia się dobrowolnie na pośmiewisko ludzi, aby  
tym sposobem chwycić za milion... jeżeli kto w czapce

błazeńskiej ze dzwonekami przebiega stolicę, aby tylko  
za to coś zarobić?...

— Dla tego powiedziałem pani z góry, że na to  
tylko bardzo krótko odpowiedzieć mogę!

— Ależ nie panie ! Taka rzecz zasługuje na jak  
najdłuższą dyskusję — trzeba żeby o niej mówiono po  
wszystkich salonach, po wszystkich ulicach i warsztatach,  
bo przecież musi być jakaś opinia publiczna! Czemże  
my w końcu będziemy wobec gminu, jeżeli wyprawiamy  
mu bezpłatne widowisko, aby tylko pieniądze za to do  
stać! Cóż się zostanie arlekinom i komedyantom?

— Permettez, niech się usprawiedliwię z mego  
zaciętego milczenia. Najprzód mówisz pani o moim  
przyjacielu. Cokolwiekby ten przyjaciel złego zrobił,  
moim obowiązkiem jest bronić go nawet wtedy, gdyby  
to było na moją niekorzyść!

— Oh! comme vous êtes généreux! spodzie  
wałam się tego od pana, bo wiem, żeś pan szlachetny !



Tu położyła znowu Alina rączkę swoją na rękawicze Hektora i z nadzwyczajnym ciepłem uściśnęła go.  
— Cieszę się, że przynajmniej fałszywy krok mego przyjaciela, dał mi dopiero sposobność, abyś mnie pani w tem świetle obaczyła! Dawniej, gdy on był szczęśliwszym odemnie, a ja go ganilem czasem, toć pani gniewała się na mnie. Pozwolisz więc pani, że również

dzisiaj na gniew sobie zasłużę, broniąc go, gdy on jest... nie szczęśliwszym odemnie !

— Ach pan.e Hektorze, vous êtes la bonté mème! Doprawdy, że nawet cieszę się z tej dzisiejszej nowiny tak dziwacznej, bo z powodu niej pana lepiej poznaję!... Tak to czasem dziwną drogą idą rzeczy na ziemi..

Wymawiając te słowa, przesunęła Alina swoje duże, wypukłe oczy po twarzy Hektora powoli, jakby go magnezyzować chciała. Hektor zmrużył trochę oczy, jakby rzeczywiście ulegał ternu magnetyzmowi...

— Ale zawsze rozmowa ta dosyć mocno zadrasnęła panią... z ironią, osłodzoną uśmiechem, ozwał się Hektor.

— Toć pan bardzo jasno widzisz! odparła żywo Alina, nie umiem odgrywać roli i nie taję się z tem bynajmniej co czuję... ale, dodała z pewną goryczą, niektórzy właśnie w tem widzą, niedostateczną kwalifikacyę do wyższego świata...

— Przeciwnie pani, przerwał Hektor nie miły temat, my niejako odżywiamy się w podobnych temperaturach...

Alina przelknęła nie znaczną pigułkę. Uśmiechnęła się i odparła:

— To prawda że świat wielki dzisiaj, choruje na flegmę i szkrofuły, a mówią lekarze, że w skład krwi wchodzi i złoto. Może też brak tego kruszcza szlachet

nego wo krwi, spowodował podkomorzyca do tej roli

blazeńskiej...

— Pani jesteś nieubłaganą i zapamiętałą! Wiem jak się pani gniewać umiesz, chciałbym widzieć jak pani kochasz!

Alina zamigotała dużymi swymi oczyma, uśmiechnęła się czarująco i odparła:

— Wierzaj mi pan, że to jest prawdą, co ktoś po wiedział: Jeżeli chcesz poznać, jak kobieta kochać może, to patrz na nią wtedy gdy się gniewa!... Możesz pan więc przez tę prostą negacją przyjść do tego, co chcesz wiedzieć!

Hektor zajrzał teraz w duże oczy Aliny, które by najmniej się przed nim nie zamknęły... A w tych oczach na samym dnie, czytał wyraźnie czterykroćstotysięcy!... Alina zajrzała także w oczy Hektora i czytała w nich... karetę z herbem — wieczorki — u księżnej... rauty n marszałkowej...

## XXII.

Podczas gdy Hektor na murach Troi zwycięskie odnosił laury, syamski brat jego Achil gotował się tak że do szturmowania Troi tylko do innej, nie bronił wcale fortecy.

Była nią biała, zwiędła blondynka, o mocno chudej twarzy i czole pergaminowym. Ojciec jej był dawniej zawiadowcą majątku w ziemiach nadbohskich, księcia generała, a gdy książę generał za granicę wyjechał, zawiadowca na mocy jakiejś prywatnej umowy, stał się właścicielem. Właściciel dzisiejszy Ohrynia i Peczaty powierzył jedynaczkę swoją Anusię, której dla prywatnego użytku nadano drugie imię Adelajda, pewnej matronie podupadłego dawnego rodu i wysłał obydwie na swój koszt do stolicy po męża i herb dla swego domu.

Usłużna matrona zajęła w tym celu wykwinne pomieszkowanie przy Nowym Świecie, ale jakoś dotąd nie

mogła jeszcze dotrzeć do asambłów u księżnej i rautów u marszałkowej. Musiała wraz z swoją pupilką odbyć egzamen na salonach wojewodziny, gdzie obok koni hrabiowskich, snuli się także i palestranci. Adelaida była laleczka bez krwi i ciała. Miała małe, głębokie oczki i patrzyła niemi na świat boży zawsze z jednym i tym samym uśmiechem. Opiekunka jej dodawała życia różnymi środkami lekarskimi, ale to wszystko na nic się nie zdało Adelaida nie była ani żywszą, ani rozmowniejszą, ani dowcipniejszą. Miała tylko jedną cnotę, to jest bezwarunkową uległość dla wysokiego rozumu swojej opiekunki, która była niej alfą i omegą. Chodziła jak ją ubrano, nosiła rękę w mały rękaw złożoną jak kazano, uśmiechała się, tego opiekunka żądała, i była zdolną z tym jednym uśmiechem przesiedzieć cały wieczór! Był to wprost przeciwny okaz nowego świata Aliny. Ta miała rzutność i energię nowych ludzi tamta bierność i lękliwość tych, co ze swojej z niedostatecznymi siłami wychodzą i jak automaty w obcym żywiole się poruszają. Całym ich szczęściem jest, że nie są tu same, tylko bywają przez inne pomieszczenia.

Opiekunka Adelaidy wybrała w duchu Podkomorzycę, z którym nowemu rodowi miał przybyć herb i lustr starzy. Czyniła w tym względzie różne kroki, ale

to wszystko jakoś marniało na szalonych zamysłach Podkomorzycy, który raz marzył o pannie marszałkowej, a drugie raz zagalopował się nawet do księżniczki. To było powodem, że różnych sygnałów dawanych ze strony opiekunki Adelaidy nie widział i nie słyszał. Ale szanowna matrona, która miała wielkie doświadczenia życia tak sobie w głowę wbiła, że swego dokáže, iż postanowiła z prawdziwiekobiecą wytrwałością stać się o Podkomorzycę dla panny Adelaidy. Dotąd jednak brakło jej sposobności plany swoje rozwijać, miała je jednak gotowe z wszelkimi szczegółami, podobnie do dowódcy wojsk austriackich, który dawnymi czasy wychodząc na wojnę, brał z Wiednia gotowe plany całej kompanii, bez żadnego względu na możliwe przyszłe obroty nieprzyjaciela.

Jak temu wodzowi tak i szanownej matronie z planami w kieszeni, jakoś trudno było zwycięstwo. Nie przyjaciel nie zbliżał się i nie widział nawet znaków obozowych, a to co widział, zdawał się nie rozumieć... Ostatnia nadzieja, możliwego przyszłego zwycięstwa,

została teraz przez te fatalną nowinę o milionie zniszczoną. Kozumie się, że po tej nowinie nie można już było o podkomorzycu myśleć...  
Tyle czasu marnie się straciło, ojciec Adalaidy, człowiek skąpy, żądał skutku wyłożonych pieniędzy, gro

ził wreszcie odebraniem kredytywy i zwinięciem poselstwa — a tu wszystko się nagle urwało!  
Potrzeba więc było natychmiast nową nić nawiązać, aby wiadomość o tem mogła przyjść nad Boh, przynajmniej równocześnie z wiadomością o zaślubieniu miliona przez podkomorzycę !

W tej chwili właśnie wędrowały Achila oczy po apatycznej twarzy blondynki — z jakiego powodu, trudno odgadnąć. Dojrzała to opiekunka, trąciła Adelaide, aby się nieco ożywiła i rzekła do Achila.  
— Pan podkomorzyc dzisiaj nader szczęśliwy i rozpromieniony !.. Cest dról, jakto milion rozpromienia! Zdaje mi się, że szambelanowa od kilku miesięcy w stolicy mieszka, a dla czegoż szanowny kuzyn, pierwej tej kaczki, czy tam koguta nie niósł za nią, tylko do piero wtedy, gdy się fundamentalnie o milionie dowiedział! Adelaido, mówiła dalej trącając pupilkę, dziękuj Bogu, żeś nie słuchała propozycji marszałkowej...  
Adelaida poruszyła się, aby żywiej wyglądać. Achil spojrział na nią, a potem zapytał.

— Nieprzyzwoicie być tak ciekawym... czy te propozycje tyczyły się podkomorzycy?

— Tak... i nie, odpowiedziała dyplomatycznie opiekunka savezvous w takich razach trzeba być dyskretną. Co do Adelaidy, to widzisz pan, rzecz się tak ma, że ona jako jedynaczka, może liczyć na znaczny

majątek., dla tego niema się tak bardzo czego spieszyc, bo zawsze jest i będzie poszukiwaną. Ja tylko wypełniając ostatnią wolę nieboszczki matki jej, której

byłam przyjaciółką na pokojach księciagenerała.. za  
wsze jej powiadam: demandez vôtre coeur, bo  
to najlepszy doradca w takim przypadku... A zresztą  
czterykroć sto tysięcy, to ma także swój urok, chociaż  
nie jest jeszcze pełnym milionem!... Adelaide que  
dites vous?

Adelaida uśmiechnęła się znowu i poruszyła na  
krześle, ale nic nie odpowiedziała.

— Czy pan znasz nadbohskie okolice? mówiła da  
lej gadatliwa opiekunka a warta żebyś pan kiedy tam  
przyjechał. Po drodze wstąpiłbyś pan do Peszaty, a rę  
czę za to, że byłbyś pan przyjęty... po staropolska jak  
to dawniej przyjmowano!

Achil z większym interesem spojrzał na bladą blon  
dynkę. Teraz wydała mu się dosyć miła.. miała  
w twarzy coś podobieństwa do albionńskiej piękności...  
Zamyślił się i powoli spuścił oczy w ziemię.

— Być może, odpowiedział po chwili, że w tamte  
strony kiedy zawitam, bo w tamtych okolicach mam  
nawet krewnych, których odwiedzić muszę... Czy dla  
pani nie jest nudną ta płaszczyna nadbohaska?

Pytanie to zwrócił Achil do Adelaidy. Adelaida  
i tym razem uśmiechnęła się tylko i nic nie odpowiedziała

— O te płaszczyny nie są tak nudne, jak sobie  
panowie w mieście wyobrażacie, odpowiedziała za nią  
opiekunka, stopy mają swoją poezją... nie prawda Ade  
laido? Ten monotonny szum wiatru, który ciągnie jak  
fala po błoni, to mgła biała, która powoli odrywa się  
od łąk, ogrodów i buzanów... prawda Adelaido ?  
Adelaida ruszyła się znów na krześle i uśmiechnęła  
się. Achil myślał w tej chwili o czarnej ziemi nadbohskiej  
myślał, o czterech krocach — prawdopodobnie gotówki...  
spojrzał po raz trzeci na Adelaidę, a teraz wydała mu  
się nawet piękną! każda Angielka pozazdrościłaby jej  
tej białości i tych na pozór apatycznych rysów twarzy...

— Może pan przyjdiesz jutro do nas na wieczo  
rek en familie, rzekła opiekunka.

Achil przyrzekł i skłonił się, bo obaczył kogoś,  
z kim chciał słowo pomówić. Był to właśnie jakiś  
szlacheic ze stron nadbużnych. W drodze do tego szla  
chcica, złapał go podczaszyc za połę i zapytał:

— Cóż ty z tą martwą maseczką tak wiele roz  
mawiałeś ?

— Panna Adelaida zyskuje bardzo wiele przy bliż  
szem poznaniu! odpowiedział Achil.

### XXIII.

Nie będziemy dalej opisywać skutków, jakie sprawiła w owym zgromadzeniu wieść o dwóch związkach, marchwi i milionie na poddaszu. Była to bomba, która niespodzianie wpadła, pękła i w pierwszym popłochu zupełnie inaczej ugrupowała. Każdy chciał z tego rozbicia coś uratować, aby przynajmniej z niczem nie zostać.

Nawet Kubaś z wstydliwą łysiną i Lesio z kilkoma rzadkimi włosami należeli dzisiaj do szczęśliwych odłamków rozbitego okrętu, których czepili się nieszczerliwie rozbitki, aby przynajmniej jako tako do portu dopływać.

Kubaś pocił się ze swego szczęścia, rozmawiając z jakąś otyłą, trzydziestoletnią panią, która patrzyła złośliwie na podkomorzycę, wszystko mu przyobiecując, a flegmatyczny Lesio nie mógł tak prędko myśli swojej pozierać. Aby jako tako odpowiadać na wyzywające

blowa i spojrzenia panny Agapity, której twarz rozlana paliła się jakimś gniewem szlachetnym!...

Był tylko jeden z naszych znajomych, który stał na uboczu i chciwym okiem na wszystko patrzył. Do nikogo się nie zbliżał, do nikogo nic nie mówił. Był to w tej chwili najzimniejszy spektator z całego zgromadzenia...

Zaraz przy pierwszych słowach o milionie, cofnął się pod czaszycę we framugę okna, aby być świadkiem wrażenia, jakie miało sprawić opowiadanie podkomorzycy. Przeczynał, że ono sprawi pewne zamieszanie.

Najciekawszą dla niego figurą był w tej chwili sam opowiadający. Z jego zachowania się potrzebna była po prostu znać, czy jest już bliskim tego miliona, czy też dopiero zmierza do niego. Było to nie lada psychologiczne zadanie, ale pod czaszycę miał oko wprawne i wiele doświadczeń w życiu, aby nic nie poznać, czy kto jest kandy

datem, czy aplikantem, czy wszedł już na etat. Zbieg okoliczności dopomógł mu wiele. Przy ostatnich słowach podkomorzycy, widział zbliżającą się do niego spieszenie pewną damę, którą znał doskonale, widział jak go konwulsyjnie za rękę chwyciła, pod ramię wzięła i do osobnej, na uboczu stojącej kanapki zaprowadziła. Rzecz ta była dla niego teraz nadzwyczajnej wagi. Podczaszyc ulokował się jak mógł najwygodniej,

aby całą swoją uwagę tej zagadkowej parze poświęcić. Sposób zejścia się i osiedlenia tej pary na odosobnionej kanapie, dawał bardzo wiele do myślenia. Z wszystkiego sądząc, nie miała to być obojętna pogadanka, była to jakaś ważna, nader ważna sprawa. A sprawa ta mogła się również ważną stać dla podkomorzycy... Zrazu przez niejakiś czas milczała para na kanapie. Zdawało się, że oboje zbierali myśli swoje i szukali słów, którymiby zacząć mogli mówić do siebie. Przy najmniej tak wyglądała dama na kanapie. Podkomorzyc prawdopodobnie myślał o zakresie swojej nowiny w salonie, i zdawało się, że był z tego zakresu zadowolony. Milion bowiem sprawił taki efekt, że mu kaczkę, marchew i cebulę zupełnie przebaczone. Czasami tylko mieszały mu to zadowolenie słowa szambelanowej bez ogródki wypowiedzone, że jest biednym, i że świat podziwjać jeszcze może cały kubrak na jego grzbiecie... Podczaszyc nie spuścił z niego oka... Dama nim mówić zaczęła, położyła najprzód drobnią rączkę swoją na rękę Podkomorzycy. Po tym wstąpię zaczęły się słowa. Dama wymówiła te słowa z wrodzoną sobie żywością. Podkomorzyc słuchał trochę znużony i zdawało się, że miał wielką ochotę kanapkę i przenieść się w najodleglejszy kąt gdzieby z nikim nie potrzebował mówić, nikogo słuchać...

Po jakimś czasie zaczęła się twarz jego ożywiać  
Ożywienie to jednak nie było wewnętrznym zadowoleniem, bo objawiało się tylko ironicznym i szyderskim wyrazem twarzy. Żywość damy wzmagala się co raz więcej, jej gęsta stawały się co raz szybsze...  
Tak upłynęło pół godziny. Gestykulacja damy zaczęła wolnieć, jej słowa padały co raz skąpiej, a cała jej postać przechodziła w jakiś dziwny, omdlewający spokój, w jakąś rzewną apatyę... Jej ruchliwe kształty układały się powoli w cichy, kamienny posąg... W końcu tylko było widać na niej ruchu, ile potrzeba było do uzupełnienia malowniczej pozy...  
Wkrótce siedziała na czerwonej kanapce jak piękna, marmurowa statua z prześliczną draperyą...  
W miarę jej kamienienia, począł się spokojny posąg podkomorzycy co raz więcej ożywiać. Wyraz ironiczny na jego twarzy, zacierał się powoli, oczy błyskały co raz silniej światłem — dama coraz więcej przechodziła w kamień!  
W tych ciekawych studiach przeszkodził podczaszy coby jakiś znajomy. Podczaszy zgrzytnął zębami i uśmiechnął się słodko do znajomego. Obawiając się jakiej najobojetniejszej w świecie rozmowy, zwrócił zaraz ją na przedmiot, który go zajmował.  
— Patrz pan, co za precudna sielanka na czerwono

nej kanapie! rzekł do znajomego, wskazując oczami na podkomorzycy.

— Patrzałem już na tę sielankę, odparł znajomy, i dla tego przychodzę do pana, bo widziałem że i pan obserwujesz...

— Ciekawy jestem, coś pan w tej sielance obaczył?... Czy Dorydę czy Alcimadurę?

— Parblen! Któżby śmiał pułkownikową porównać z Alcimadurą? Nie była nią jak miała lat sześćnaście, nie będzie nią przecież gdy czterdziesty krzyżyk włoży na plecy... Ale jak się ta kobieta dobrze trzyma! Wcale jeszcze nie źle wygląda!

— Wieczorem... przyznaję, ale w dzień widać, że nielitościwy ząb czasu wiele tam pokąsał, czego nawet bielidło nie zakryje...

— Tylko widać zawiodło ją dzisiaj przecucie! Złe miejsce sobie obrała... lepiej było trzymać się starego generała...

— Dla czegoż mówisz pan, że złe miejsce wybrała? Ozy miejsce obok podkomorzycy nazywasz pan złem?

— O tyle złe, że nie odniesie tam żadnego skutku.



Tam nie ma dla niej zdobyczy !

— Czy sądzisz pan... że ten milion stoi na prze  
szkodzie? Cotte baguabelle dun million?...

— Miliona nie znam i nic jeszcze o nim nie  
ale to wiem, że podkomorzyc pułkownikowej nie

Mówię panu, że on wolałby w tej chwili łożo madejowe,  
niżeli tę aksamitną, czerwoną kanapkę...

Jakiś cień przebiegł po twarzy podczaszyc. Spoj  
rzył na kanapkę, pomyślał chwilę i odparł.

Pułkownikowa nie jest wcale szpetna kobieta.

Podobać się zawsze może. A zresztą zdaje mi się, że  
między nimi...

— Między nimi przed kilkoma laty było tam ja  
kieś zbliżenie... ale to wszystko urwało się nawet z pe  
wnym skandalem!

— On revient toujours a ses premiers  
amours! zauważył z uśmiechem podczaszyc.

— Ba, odparł towarzysz, gdyby to była pierwsza  
miłość!... Ale gdzie codzień innych miało się rywali...

— Kobieta sprytna wszystkiego dokaże! szepnął  
podczaszyc, bo w tej chwili zaproszono gości na wie  
czerzę.

Pułkownikowa podniosła się — Podkomorzyc podał  
jej rękę. Podczaszyc w niejakiem oddaleniu postępował  
za nimi.

Zrazu nie pewnem było, gdzie pułkownikowa usią  
dzie. Zdawało się, że miała ochotę rozłączyć się ze  
swoim towarzyszem. Zawinęła się pomiędzy kobiety,  
przymówiła kilka słów do starej starościny, zaczęła  
pannę Alinę, przy której stał Hektor. O dawnego swego  
towarzysza z kanapki czerwonej wcale się nie troszczyła.

Ani razu nie obejrzała się za nim. Twarz miała spo  
kojną a nawet wesołą. Z jakąś młodą mężatką zamie  
niła kilka spojrzeń nader wymownych i słodko się

uśmiechnęła.

Podkomorzyc jak cień posuwał się za nią z tyłu.

Przy każdym próżnym krześle stawał, jakby chciał przy niej usiąść. Pułkownikowa mijala jedno krzesło po drugim, jakby naumyślnie chciała zgubić swego towarzysza. Ten jednak nie był dzisiaj do zgubienia. Przesuwał się zręcznie pomiędzy szerokimi spódnicami, omijał w drodze stojące krzesła i zawsze był blisko pułkownikowej. Nawet kilka pań, które do niego przemówiły, nie mogły go przytrzymać. Odpowiedział krótko, uśmiechnął się i poszedł dalej. Nawet z panną Aliną, która widocznie coś mu powiedzieć chciała, sprawił się tak krótko, że to najbliższych sąsiadów zadziwiło. Alina strzeliła za nim rozniewałem okiem, co jednak Hektora bynajmniej nie gniewało.

Wszystko to uważał dobrze podczaszyc. Na twarzy jego było widać zadowolenie.

Wreszcie stanęła pułkownikowa przy jednym próżnym krześle. Bokiem spojrzała na lewo i usiadła. Przy niej usiadł podkomorzyc. Pułkownikowa przyjęła to obojętnie, przemówiła kilka słów do niego i zwróciła się na prawo.

Podczaszyc usiadł na przeciwko, gdzie go zasłaniały

kandelabry Z tego zakrytego stanowiska patrzył z uwagą na siedzącą naprzeciwko parę. Zdaje się, że widok tej pary mocno go zajmował, bo nic nie pił i nic nie jadł. Podczas wieczery kilka razy usiłował podkomorzyc zawiązać dłuższą rozmowę z swoją sąsiadką, ale nigdy się mu to nie udało. Albo sąsiad z prawej strony przeszkodził temu, którego pułkownikowa ciągle do rozmowy wyzywała, albo sama znalazła sposobność odwrócenia swojej uwagi na co innego.

Podkomorzyc widocznie był teraz zmartwiony. Także nic nie jadł i nic nie pił. Zamyślał się często, a gdy go kto zapytał o co, to podobny był do tego, co się dopiero ze snu budzi. Odpowiedzi dawał krótkie z widoczną niechęcią.

To trwało przez całą wieczery. Po wieczery wzięła pułkownikowa starościny pod rękę i już się więcej nie rozdzieliły. Podkomorzyc robił co mógł, aby znowu pułkownikową na czerwoną kanapkę zaprosić, ale to mu się już nie udało. Na cały wieczór była dla niego pułkownikowa stracona. Podkomorzyc widocznie zły chodził sam jeden po salonie.

Wreszcie zaczęli się goście rozjeżdżać. Pułkownikowa weszła do przedpokoju. Za nią pospieszył podkomorzyc. Podał jej białe futro, odprowadził

aż do karety, przy karecie jeszcze coś mówił... i z czołem zmarszczonem wrócił do salonu. Podczaszyc usta

wicznie patrzył na niego, i uśmiechał się z zadowoleniem. Po krótkiej chwili cichaczem wymknął się Podkormorzyc z salonu, zarzucił płaszcz na siebie i wyszedł. Podczaszyc nie poszedł zaraz za nim. Dopiero za pół godziny opuścił towarzystwo. Przeszedł Krakowskie Przedmieście i koło kolumny Zygmunta skierował kroki na ulicę Miodową. Przy trzeciej kamienicy zatrzymał się i spojrzał z uwagą na okna pierwszego piętra. Trzy okna były oświetlone dosyć jasno, dwa inno migały słabem, różowem światłem. Podczaszyc zatarł ręce i zanucił sobie półgłosem jakąś wesołą aryjkę.

#### XXIV.

Pułkownikowa, pod której oknami stał właśnie podczaszyc, należała do rzędu kobiet tylekroć opisywanych, a nigdy jeszcze dostatecznie nie zgłębionych. Bywały chwile, gdzieby każdy przysięgł, że to anioł wcielony, ale ten anioł w okamgnieniu zmieniał się w jakąś brzydką poczwagę, z której przechodził stopniowo w istnego szatana.

Historia tej kobiety była dosyć długa i pełna rze czy pięknych, pomieszanych z zwykłymi skandalami. Dwa razy była zamężną. Raz za jakimś obywatelem wiejskim, drugi raz niby za pułkownikiem; którego złośliwe języki za myt poczytywały. To jednak było pewnem, że żadnemu z nich zaprzysiężonych obowiązków nie dotrzymywała. A byli nawet i tacy, którzy utrzymywali, że bogata wdówka dla tego tylko zamaż chce się wydać, aby mieć sposobność spożywania zakasanych owoców, których bez sakramentu nie ma!

Mówiono, że ten szczególniejszy apetyt do zakazanych owoców wpędziły w grób pierwszego męża, który w żaden sposób nie mógł zgodzić się na jej teorię serca, która szczęściu małżeńskiemu nic szkodzić nie powinna. Pozbywszy się niezdarnego hreczkosieja, który nie stał na wysokości jej wyobrażeń, wybrała sobie czło wieka, który sam nabroiwszy wiele, był na stare lata dla innych wielce pobłażliwym. Ta pobłażliwość jednak była dla niej istną karą, bo odbierała najdrastyczniej szym sytuacyom życia, cały ich urok.

Stary pułkownik bowiem, gdy widział, że jego obecność komuś trzeciemu zawadzać może, spokojnie zapalał fajkę i wychodził na świeże powietrze, lub na arcaby do generała. Wróciwszy o nic nie pytał, i ni komu nic nie wyrzucał.

Ten spokój męża, brak wszelkiej podejrzliwości i ta nadzwyczaj subtelna wyrozumiałość zabijały żonę. Ona chciała dręczyć się trwogą i obawą, chciała drzeć o każdą wykradzioną chwilkę wzbronionego szczęścia chciała okazać innym wielkość swojej ofiary i gwałtowność porywającego ją uczucia... a na to wszystko nie było żadnój miary.

Mąż się za nic nie gniewał, o niczem nie chciał wiedzieć, na nic nie chciał patrzeć. Owoc zakazany tra cił swój najlepszy przymiot, przez który jedynie powa bnym się staje. A tu nikt go nie zakazywał, wolno

było zrywać go całemi garściami i jeść co się tylko podoba. Sytuacya drastyczna stracha swoją drastyczność. W bitwie pod Lipskiem poległ pułkownik, a gdy go po śmierci obaczyła (a była wtedy w towarzystwie porucznika) widziała go tak spokojnym i pobłażliwym, jakim był za życia! Nawet się na nią nie skrzywił! Uwolniona z ślubów sakramentalnych, przyjechała wdowa do stolicy w widocznym zamiarze, wydania się

po raz trzeci. Nawet tego bynajmniej nie ukrywała i przy każdej sposobności otwarcie chęć swoją wyjawiała. Różni jednak epuzerowie omijali ją zdaleka, bo na ucho opowiadano sobie jeszcze z czasów apatycznego męża niebezpieczne rzeczy.

Mówiono, kiedy spokój i pobłażliwość nieboszczyka do najwyższego stopnia przyszła, żadna wrażeń i silnych wzruszeń pułkownikowa stworzyła sobie sztucznie poza granicami domowymi zbyt drastyczne sytuacje.

I tak, nie mogąc męża do zasłużonej zazdrości pobudzić, wzbudziła ją między dwoma adoratorami. Pro wadziła naumyślnie rzeczy w ten sposób, że jeden drugiego wyzwał i trupem położył. Wtedy miała wyborny powód do płaczu i spazmów, ubrała się w kolor czarny, chodziła co drugi dzień na grób poległego i ubierała go w najpiękniejsze wianki. W tej epoce żalu, kazała nawet portret swój wymalować, na którym figurowała jak Niobe z rozpuszczonymi włosami.

Miały to być najpiękniejsze chwile jej życia. Od świata oddzielał ją grób, z poza tego grobu, w którym mieściło się wszystko, co miała najdroższego w życiu (i wierzyła w to) patrzyła smutno przez łzy na świat ponętny i ruszała melancholijnie głową, że za jego po nętami nie pójdzie, bo grób ją przedziela...

Znalazł się nowy bohater, który tego grobu się nie uląkł, śmiałą nogą na piersiach nieboszczyka stanął i o serce prosił... Pułkownikowa wskazała na grób, mówiła jak wielką jest ofiara, którąby światu przynieść miała... i wzbijała się wreszcie do wysokości tej ofiary i upadła w ramiona nowego adoratora!...

Jakże mocno po takiej ofierze biło jej serce... jakże trwożliwie oglądała się poza siebie, czy nie obaczy cie nia zabitego nieboszczyka, któremu wierność do końca życia poprzysięgła... jakże drogą była każda z takich chwil, zdobytych łzami, rozpaczą trwogą i wyrzutami sumienia?...

Dzisiaj miała pułkownikowa lat czterdzieści, ale się do nich nie przyznawała. Była wzrostu niskiego i nadzwyczaj żywego temperamentu. Miała oczy piwne które ustawicznie wokoło biegały. W toalecie używała wiele sztuki i znała doskonale wszystkie jej tajemnice. Twarz jej była zawsze mocno wybielona.

Po obu mężach odziedziczyła znaczne fortuny i uważano ją za bogatą. Dotąd jednak nie mogła znaleźć trzeciego człowieka, któregoby ręką swoją mogła uszczęśliwić. — Zdaje się, że marzyła o podkomorzycu....

xxv.

Gdy pułkownikowa od wojewodziny do domu przyjechała, wszedł zaraz do jej buduaru służący i zapowiedział pana podkomorzycę. Uśmiechnęła się, kazała w salonie kandelabry zaświecić i podkomorzycę zaprosić.

Podkomorzyc miał twarz ponurą i wejrzenie nie spokojne. Skłonił się spokojnie i sztywnie.

— Byłam pewną, że pan przyjdzie do mnie, rzekła do niego z uśmiechem, wyciągając drobną rączkę.

— Przyznam się pani, odparł podkomorzyc, że na kilka minut przed tą chwilą byłem pewny, że nie przyjdę!

— Cóż tak zachwiało postanowienie pana? zapytała i okazała rząd najpiękniejszych ząbków, czy jakie wspomnienie?...

— Przeciwnie, każde wspomnienie sprawiłoby odmienny skutek, szorstko odparł podkomorzyc.

Pułkownikowa na to nic nie odpowiedziała, tylko

utopiła w oczach podkomorzycę długie powłóczyste wejrzenie...

Podkomorzyc stał jak posąg. Spojrzenie głębokie nie sprawiło najmniejszego skutku.

Pułkownikowa w okamgnieniu z kobiety salonowej, pewnej siebie przemieniła się w łagodnego, lęklivego baranka. Skubiąc koniec szalu z nieśmiałością jak dziewczynka dziesięcioletnia, ozwała się ze spuszczonei oczyma:

— Jeżeli tak... to może pożegnamy się... Dobra noc panu...

Ostatnie słowa były wymówione po mistrzowsku

Nie żegnały one, ale gwałtem przyciągały...

Ale i na to nieczuły był podkomorzyc. Odgarnął włosy z czoła i odparł:

— Pani wiesz dobrze, że jakkolwiek trudno mi było przyjść do pani, to odejść jest mi jeszcze trudniej... Pani powinnaś była narodzić się hijeną, a nie kobietą!... Czyż to godziło się powiedzieć mi takie rzeczy bez bliższego wyjaśnienia?

Z lęklivego baranka przeszła pułkownikowa w miłą koteczkę. Przydłużyła swoje piwne oczki słodkim uśmiechem, położyła swoją rączkę na ramieniu podkomorzycy i rzekła bez najmniejszego gniewu:

— Ponieważ pan nie lękałeś się wniknąć do jaskini hijeny — a chociaż tylko prosta ciekawość tu cię przy

wiodła... toś zawsze pan zasłużył, abyś zamiast hijeny obaczył — anioła! Siadaj pan!

Rzekłszy to frunęła jak ptak od niego i znikła w drugim pokoju, oświetconym bladym, różowym światłem

Podkomorzyc odłożył kapelusz i usiadł na fotelu

Był on dzisiaj w wyjątkowym usposobieniu.

Najprzód całe zajście z szambelanową stało mu jeszcze żywo przed oczyma. Widział ją biedną, strasznie biedną. Kto sobie sam na straganie wiktuały kupuje, ten musi być mocno biednym... Ubóstwo jej nie da się długo ukryć. Jeżeli przed tem coś z sobą nie zrobi, to już nadzieja dla niego stracona!... Do tego powie działa mu szambelanową takie słowa, jakich jeszcze sam przed sobą pocichunie wymówił. Powiedziała mu, że jest biedny, i że dobrze jeszcze, iż ma cały kubrak na grzbiecie Powiedziała mu dalej, że umrzeć może pod cudzym płótem...

Wszystko to były tylko proste figury mówienia, ale zawsze sens ich był straszny. Rzecz nazwana po nazwisku, sprawia zawsze silne wrażenie. Nigdy jeszcze ubóstwo jego nie było mu tak dotkliwym, tak zastraszającym! Odbierało mu nawet odwagę tam, gdzie przed kilkoma dniami uśmiechało mu się tak łatwe zwycięstwo!... Przypomniął sobie swoje marzenia o wojewodziance, o marszałkówniej... o jakie niedorzeczne mu się one

dzisiaj wydały, gdy świat się dziwi, że on ma jeszcze

cały kubrak na grzbiecie? Jakże to sięgnąć wyżej marzeniem, gdy inni myślą, że podobni ludzie pod cudzym płótnem umierają?... Czemże może zrównoważyć ubóstwo swoje? Nazwisko? Z tem nazwiskiem obnosi się już wiele lat, jakież z tego skutek? Obiadek, kolacyjka i nic więcej!

Takie myśli bolesne zdenerwowały go. Z wysokości marzeń i projektów spadł nagło do zupełnego zwątpienia. Z jednej ostateczności popadł w drugą. Nie szczęście swoje widział nieuleczone, żadnego na nie środka nie znał.

Prócz tego zaszło zdarzenie z tą nieszczęsną marchwią, jakby przez samego szatana wymyślone. Największy jego nieprzyjaciół nie byłby nic gorszego dla niego wymyślił. To ostatecznie groziło go zgubić... Aby się jakoś wyratować, wymyślił wiadomość o milionie. Na razie był to nie zły środek. Odwrócił on wszystkich i odciągnął od marchwi. Milion przykrył marchew i futrzaną czapkę szambelanowej, bo milion zwykł wiele, bardzo wiele przykrywać. Ale czy to na długo? Czy nie wyjdzie na wierzch cało jego kłamstwo w największej ohydzie?...

Gdy podkomorzyc o skutkach tego kłamstwa pomyślał, robiło mu się zimno. Świat wielki nie tylko śmiesznością go okryje, ale nawet uważać będzie za straconego. Jakaż więc przyszłość jego najbliższa?

Gdyby podkomorzyc wiedział o skrytych marzeniach Aliny lub Adelaidy, to jeszcze wszystko dałoby się ja coś naprawić, ale marzenia o wojewodziance i jej podobnych, przeszkodziły mu widzieć sygnały z tej strony! Podkomorzyc tylko jedną drogę miał przed sobą. Potrzeba było zniknąć na niejakiś czas ze stolicy, aby ludzie tymczasem o marchwi, a może i o szambelano



wej z milionem zapomnieli. W tym celu nawet rzucił już myśl na wieczorze o pojechaniu do Londynu w interesie tego miliona... ale na to trzeba także pieniędzy! Kiedy podkomorzyc temi smutnymi myślami się karmił, wyszła do niego pułkownikowa.

Obiecała okazać mu się aniołem, i w istocie do trzymała słowa!

Była ubrana w prześlicznym negliżyku. Biały z miękkiej wełny szlafroczek związany grubym wełnianym sznurem, czynił ją podobną do westalki, strzegącej wieczny ogień. Na głowie zatrzymała dawną fryzurę. Tylko na drobnych nóżkach zamiast trzewiczków z czerwonymi korkami, błyszczały teraz złotem haftowane pantofelki.

— Ach te suknie nasze są nieznośne, rzekła do podkomorzycy, nie weźmiesz mi pan za złe, że się wygodniej przebrałam?

— Pani jesteś panią w swoim domu, odparł krótko podkomorzyc.

— Nie zapominaj więc pan, żeś mi winien we wszystkim posłuszeństwo!

Mówiąc to podeszła zgrabnie do niego, wzięła go za rękę i pociągnęła do kanapy, na której oboje usiedli.

— Czy pan jeszcze ciekawym jesteś, zapytała pięszczonym głosem, czy jeszcze myślisz o tem, czem pana zaciekawiłam u wojewodziny?... Nie, nie wierzę, aby ciekawość pana silniejszą była od obecności...

— Może to zmartwi panią, odparł chłodno podkomorzyc, jednak słowa, któreś pani wyrzekła do mnie u wojewodziny...

— Budzą w panu tyle ciekawości, przerwała żywo pułkownikowa, że gotów jesteś wyrządzić mi największe zmartwienie...

— Wszak to od pani zależy dokończyć, choć kilka słów przerwaną rozmowę...

— Nie panie. Mnie zależy obecnie na tem, aby pana niczem a niczem nie zmartwić. W tym względzie jestem lepszą od pana...

— Więc sądzi pani, żeby mnie to zmartwiło, smutno odparł podkomorzyc, i to jest już niejako dokończeniem.

— Czy pan sądzisz, że mogłoby być inaczej?...

Zazdroszczę panu tej naiwnej wiary w świat i ludzi. Ta wiara może być dobrą, gdy się ma lat kilkanaście,

gdy wszystko w koło nas oddycha wonią kwiatów, gdy serce rusza się i marzy...

Tu cofnęła się pułkownikowa w kąt kanapy i białą rączką zakryła oczy. Jej pierś podnosiła się i spadała jak fala.

Podkomorzyc spojrział smutno przed siebie. Słowa szambelanowej splątały się jakoś dziwnie z tem, co pułkownikowa w półsłówkach mówiła. Mógł to być jeden z gorzkich jego zawodów. Westchnął i posunął ręką po czole.

Pułkownikowa tymczasem odsłoniła twarz, na której malowało się rozrzewnienie. Z tem rozrzewnieniem wyglądała bardzo ponętnie. Nie była to idealna twarz naszej dziewczycy, ale była to twarz kobiety, która przeżyła najwyższe rozkosze i boleść życia, i umie jedno i drugie dobrze ocenić i ucuć. Jej piwne oczy gorzały zarem roznamiętionej duszy, która chciwie chwytiała za każdy szal i bez różnicy czy on rozdziera i boli, czy [...]

dział że ci Indzie się weselą!... Tragedye i dramata jakie przebywamy wewnątrz siebie, w licznym, obojętnym towarzystwie, a częstokroć nawet z uśmiechem na ustach, tego świat powszedni nigdy nie widzi!...

Słowa te dziwnie stosowały się do obecnego usposobienia podkomorzycy. Wygłoszone w formach ogólnych, rozkładały się w jego duszy na odpowiednie jego myślom szczegółliki. Widział w nich prawdę, wielką prawdę. Pułkownikowa szczebiotała dalej:

— Wy lubicie zazwyczaj młode dziewczątka o naiwnem spojrzeniu, które dopiero zaczynają się uczyc abecadła życia. Nie rozumiem co w tej nauce jest ponętne. Każda nauka nudzi, chociażby pedagogowie co innego twierdzili!... Wierzał mi pan, ta nauka nie jest dla tego, który uczy, ale dla innych! Gdy kobieta całą pełnią życia żyć zaczyna, może mieć wprawdzie jakąś wdzięczność dla byłego nauczyciela swego, ale nie będzie miała dla niego tego porwywu uczucia, jaki zazwy

czaj ma się ku temu, który w tej pełni życia w drodze jej stanie... Cóż ona wtedy temu winna, że jej serce wybiega z granic przyzwolonych. Wierzaj mi pan to uczucie jest najprawdziwsze i najmocniejsze! Pierwszy bowiem przyszedł do niej, a drugiego sama sobie znalazła!... To co przychodzi do nas przyjmujemy, bo tak zwyczaj każe, ale co sami sobie wyszukamy, znajdziemy... Podkomorzyc spojrział na mówiącą i spotkał się

z jej piwnemi, rozmarzonymi oczyma. Oczy te wyrażnie spoczywały na nim z namietnością bez granic i zdały się mu mówić, że jest owym wyszukanym, znalezionym...

Uśmiechnął się dosyć obojętnie. Widać że ani spojrzenia ani słowa nie sprawiły pożądanego skutku.

— Teorya życia, ózwał się po chwili, jaką pani wygłaszasz, jest zawsze trochę kłopotliwa!

— Wiem co pan chcesz tem powiedzieć, żywo przerwała pułkownikowa, sądzisz pan, że teorya ta pozwala na zmiany bez końca. Ale w tym względzie wy rządzasz pan niesłuszność tej teoryi. Zważ pan tylko, że kobiecie dano biernie stanowisko w towarzystwie. Jej wzbroniona jest wszelka inicjatywa pod zagrożeniem kłątwy! Więc siedzi cierpliwie z rękoma w małdrzyk złożonemi i czeka na tego, kto się do niej zbliżyć raczy... A przyznasz pan, że są ludzie źli i przewrotni. Zbliżają się oni do kobiety z myślą naprzód powziętą. Mówią jednak jak aniołowie, udają świętych, dobrych, i poczciwych, okazują rany zadane, które tylko wzajemnością zgoić się mogą... i cóż dziwnego, że kobieta, która zazwyczaj więcej ma serca niżeli głowy, uwierzy tym słowom?

Podkomorzyc patrzył na dywan turecki. Pułkownikowa mówiła prawdę, bo i on nie raz używał słów, z których śmiał się skrycie i zwyciężał. Liczył nawet

w duchu ofiary i kto wfe kto był z nich lepszym... on czy ona?

Ale te, myśli były myślami oderwanemi. Nie odnosiły się one w tej chwili do jego przyszłości.

— Pani rzucasz nam rękawicę! rzekł dosyć spokojnie idąc oczyma za arabeskiem na dywanie.

— Nie panie, przerwała pułkownikowa, rękawicy panom nie rzucam, bo jesteście w prawie swoim. Jeżeli wam we wszystkim dana jest inicjatywa, to nasza bierność powinna mieć glorię bohaterskiego męczeństwa! Tem jesteśmy wyższe od was, i tem zawsze was zwyciężamy, chociaż wy tego nie widzicie nawet! Podkomorzyc spojrział ciekawie na pułkownikową. Taką jej jeszcze nie znał. Po za jej płochością i lekomyślnością odsłaniała się jakaś poważniejsza strona życia, jakiej pierwej nie widział. Zaczęło go to intrygować.

— Męczeństwo kobiet, ozwał się po chwili, mogłoby być dobrem wtedy, gdyby kobiety zmartwychwstawać umiały!

Eozsmiała się szydersko pułkownikowa, położyła jedną rękę na stoliku a drugą wzniosła do góry i rzekła :

— To jest wasz przesąd tylko i nic więcej: Wierzą mi pan, kobieta po swoim upadku, spowodowanym przez zbieg różnych okoliczności, może się podnieść tak wysoko, jak żadna bohaterka wyniosła postacią swoją

nie sięga! Ręczę panu, gdyby aniołowie w niebie rekrutowali się z kobiet na ziemi, to takie kobiety pomnażałyby najprędzej ich zastępy!

I w tej chwili rzeczywiście była pułkownikowa mimo bielidła i różu więcej podobna do anioła, niżeli ziemskiej istoty, która przed godziną była na wieczorku u pani wojewodziny. Jej oczy iskrzyły się jak dwa wielkie ogniska, twarz nabrała tak pięknego wyrazu, że bielidło i róż wyglądał na niej niepotrzebną plamą, a jej łabędzia szyja, po której drgały sine prążki, jaśniała tak świetlaną aureolą, jakby gdzieś za nią było zachodzące słońce. Te wdzięki anielskie podnosiła jeszcze biała szata o wielkich fałdach, przyczem także i złotem haftowany pantofelek miał kształt sandałów, używanych zazwyczaj przez mieszkańców nieba. Niczego więc nie brakowało, jak tych kilku złotych piórek u ramion, które mają stanowić cechę anioła!

Twarz podkomorzycy ożywiła się na tę metamorfozę pułkownikowej. Był to zawsze obraz ładny i pojętny. W konwencyonalnym salonie, z rogówką i trzewiczkami na korkach trudno o taki piękny widok.

Podkomorzyc długi czas patrzył na pułkownikową.  
Zdawało się, że chciał się przekonać, czy słowa jej  
o zmartwychwstających kobietach, są prawdziwe...  
i w samej rzeczy pułkownikowa była w tej chwili ide  
ałem kobiety!

Złożyła ręce jakby do modlitwy, podniosła duże,  
łzami błyszczące oczy do nieba i zawołała:  
— Bóg, który patrzy na walkę biednej kobiety,  
walkę o ten ideał, którego przeczucie wlał w jej serce.  
Bóg inaczej będzie ją sądzić, niżeli sądzi świat powsze  
dni! On wie sam jeden, z jaką ofiarą przychodzi jej  
szukać tego ideału na ziemi, ile razy potrzeba nie raz  
szukać w błocie jak konchy z perłą, a jeżeli ludzie na  
jej rękach błoto obaczą, wydają zaraz wyrok nielito  
ściwy!... Oni myślą, że kobieta tylko dla błota tam po  
szła... Ileż to zaparcia się potrzeba w takim razie, ja  
kiej potęgi pragnienia tego ideału, aby odwagi nie stracić!  
A jeśli złudzona fałszywym blaskiem kobieta, zamiast  
perły na dnie mętnej wody pochwyci jaki płaz podły,  
który się jej ręki uczepi, czyż wtedy odrzucając go  
i sięgając powtórnie, ma być skazaną na wieczne mil  
czenie dla tego, że się dała fałszywym blaskiem złudzić.  
Czyż przeto utraciła prawo już do szukania i pragnienia  
ideału którego jeszcze nie znalazła?...

Podkomorzyc słuchał pułkownikową z pewnem za  
dowoleniem. Była to mowa kobiety, która wychodzi  
po za konwencyonalne granice salonu. Jakikolwiek ono  
było, ale było życie, była namiętność. Ozwał się z uśmie  
chem.

— Ze słów pani mogę wnosić, że w tych pięknych  
obrazach o życiu i walce kobiety, mam niejaką rolę.

Nie wiem tylko, czy sięgając do mętnej wody wyjął  
pani perłę, czy jakiś płaz pospolity...  
Pułkownikowa wstała, stanęła przed podkomorzy

cem z założeniami rękoma i rzekła:

— Ponieważ pan sam rzecz wypowiedziałeś, to muszę ją tylko uzupełnić. Prawda, że byłeś pan celem długich moich marzeń... prawda, że widziałam w panu ten ideał, za który kobieta życie poświęcić może... prawda, że marzenia moje kosztowały mi wiele łez i nocy bezsennych... ale pan nielitościwie zdzierasz mi moją ufność, odbierasz mi na zawsze wiarę w świat i ludzi... a wtedy z boleścią serca wołam: to nie perła! Rzekłszy to błysnęła łzami, wykręciła się jak bły skawica i głośno szlochając, wpadła do drugiego pokoju.

Podkomorzycy zaniepokoiła ta scena, obawiał się o pułkownikową. Wszedł za nią do pokoju.

Pokój ten był urządzonej z luksusem wschodnim.

Perski kobierzec zakrywał całą podłogę. Pod ścianą stała duża otomana z miękkiej, jedwabnej materii.

U pułapu wisiała różowa lampka, misternej roboty, z której na cały pokój płynęło słabe, czerwone światło, jakby brzask różowej jutrzynki...

Na otomanę z miękkiego jedwabiu rzuciła się nie szczęśliwa kobieta i ukryła twarz w puchowe poduszki...

Jej biała szata rozpostarła się szeroko po otomanie i od

ślониła nader malowniczo jedną nóżkę, która dziwnie różowym blaskiem świeciła przez przezroczystą, ażurową tkaninę...

Podkomorzycy zaczął coś mówić... błagać... pułkownikowa nie słyszała... miękkie poduszki zasłoniły jej uszy... pochylił się nad nią, podwoił swoje prośby, aby go słuchała... wreszcie ukląkł, aby jej do samego ucha powiedzieć...

I zdawało mu się, że w tej chwili zapomniał o swoim nieznośnym ubóstwie, tak rażąco przez szambela nową wypowiedzianem... zapomniał o wszystkich swoich zawodach w życiu... i chciał aby ich już żadnych nie było!...

W tej chwili właśnie, przechodził ulicę Miodową okryty czarnym płaszczem mężczyzna, a widząc światło w salonie i w pokoju przybocznym, wyjął z kieszeni zegarek i przycisnął sprężynę.

Zegarek wybił godzinę drugą. Mężczyzna zatarł ręce i z pewnym zadowoleniem poszedł dalej.

## XXVI.

Nazajutrz wstał podczaszyc dosyć wcześnie, choć bardzo późno wczoraj z wieczora powrócił. Ubrał się szybko, wypił śniadanie i zaczął zamyślony chodzić po pokoju. Chodził godzinę, dwie... wreszcie spojrzął na zegarek. Otworzył biurko, wyjął kilka rulonów dukatów i włożył do sakiewki. Potem rzucił płaszcz na siebie i wyszedł.

Było już koło godziny jedynastej. Po drodze spotykał różnych znajomych, którzy z ciekawością wypytywali go, czy to prawda że stara szambelanowa na poddaszu ma milion gotówką, i czy podkomorzyc już się zaręczył ze swoją kuzynką...

Zapytania te nie miłe sprawiały wrażenie na podczaszycu. Jednym przytakiwał krótko, drugim wprost przeczył, trzecim mówił, że o niczym nie wie. Znajomi widzieli go jakoś zniecierpliwionym, w kwaśnym humorze i nie pytali więcej.

Podczaszyc przeszedł spory kawał Krakowskiego Przedmieścia, wreszcie wszedł do mieszkania podkomorzycy.

Podkomorzyc pił właśnie śniadanie. Na twarzy jego widać było zamyślenie.

— Jakże spałeś po wczorajszym wieczorze u woje wodziny, zapytał podczaszyc i usiadł przy nim.

Podkomorzyc machnął ręką i pił dalej czekoladę.

Podczaszyc milczał czas niejaki.

— Chciałem wczoraj mówić z tobą, rzekł po chwili, ale tak jakoś byłeś zawsze przez kogoś zaangażowany...

— Przyznasz przecież, ozwał się z uśmiechem Podkomorzyc, że milion sprawia efekt! Cóż tam mówiono o tym milionie? Ty więcej udzielałeś się gościom, bo do mnie miała pułkownikowa pewien interes.

— Milion sprawił to, co każdy milion sprawić powinien. Zapomniano przy nim o Napoleonie na św. Helenie!

Podkomorzyc rozśmiał się z ironią. Patrzył przed siebie z roziskrzonym okiem.

— A coż tam mówili o mojej marchwi czy cebuli?

zapytał po chwili z pewną goryczą.

— Wszyscy uważali to za bardzo naturalne. Były zdania, że w takim razie możnaby nie tylko marchew i cebulę...

— A gdyby szambelanowa była ubogą, i gdyby

ten co za nią niósł cebulę był także ubogim, a salo nowy ubiór miał na sobie... to by w niebogłose krzy czeli wszyscy i po nim salony wykadzaó kazali!.. Ale e szambelanowa ma milion i że niejako pewien odbłask tego miliona spadł i na tego, co niósł marchew i cebulę... to nie jest to nie tylko nic dziwnego, ale nawet charakteryzuje trochę z angielska jako wybryk arystokratyczny, pewną wyższość po nad gmin uliczny, który pojąć nie może, jak można w paryzkich rękawiczkach nieść marchew i cebulę?...

Podkomorzyc był dziwnie rozdrażniony. Każde jego słowo wymówione było akcentem gorzkiego sarkazmu. Przebijał się w tym sarkazmie żal do tego świata, który jego marzeń nie uwzględnił i jako drogocenny klejnot porzucił go, nie chcąc się nawet schylać po niego!... Zdawało się, że w tej chwili chciał zostać demagogiem...

— Wspomniałeś wczoraj, mówił podczaszyc, że właśnie chcesz się wybrać za granicę na czas niejaki.

— Któż ci o tem powiedział? przerwał mu nagle podkomorzyc i badawczo spojrzął na niego.

— Mówiłeś że w interesie szambelanowej, czy właściwie jej kapitałów chcesz się udać do Londynu...

— A prawda, prawda! odparł spokojniej nieco podkomorzyc, mówiłem to wczoraj na wieczorze.

— I czy rzeczywiście myślisz to uczynić?... Może interesa inny obrót wzięły...

Podkomorzyc ciekawie spojrzął na podczaszyc. Zdawało mu się, że w jego słowach jest coś utajonego.

— Dla czegóż mię o to tak dziwnie pytasz? Czy



masz w tem jaki powód ukryty? zapytał.

— Żadnego ukrytego powodu nie mam. Jestem tylko twoim przyjacielem, a to już wystarcza, abym się pytał!

Podkomorzyc pomyślał chwilę. Przyjaźń podczaszyca, który niedawno odmówił mu pożyczki, była mu w tej chwili podejrzaną. Przypomnił sobie o milionie i uśmiechnął się na myśl, że milion zaraz taki procent w afektach przynosi...

— Az zapytania mego, mówił podczaszyc, winienem ci się wytłómaczyć. Sądzę, że do każdej podróży potrzeba pieniędzy. Jakkolwiek w takim razie szambelanowa dałaby ci jakąś sumkę na expens, jednak za wsze wobec podobnych ludzi, jak stara dziwaczka, lepiej i korzystniej jest zrzec się takiego zasiłku naprzód. Potem można to z honorem odebrać. Wiem o tem, że w ostatnich dniach potrzebowałeś... ja dać ci nie mogłem, bo nie miałem... dzisiaj dopiero przysłał mi me cenasy... więc spieszę do ciebie, jeżeli ci jeszcze potrzeba jednego lub dwóch rulonów dukacików...

Twarz podkomorzycy wypogodziła się. Wczoraj wieczór stanął już wprawdzie plan gotowy do wyjechania za granicę, aby ludziom trochę zejść z oczu... jak

kolwiek o pieniądze nie kazano mu się turbować, jednak było to zawsze nieocenioną korzyścią dla niego, gdyby miał w kieszeni własnych kilka ruloników... Podczaszyc przyszedł z rulonami jakby zawołany... Podkomorzyc tylko uśmiechał się sarkastycznie jak prawdziwy szatan, odgadując myśli przyjaciela do czego te rulony zmierzają... Ale bądź co bądź, postanowił z sytuacji takiej, którą sam ratując się wywołał, korzystać i cieszył się naprzód zasłużoną karą, która dotknie podczaszyca !

— Jeżeli jesteś tak dobrym przyjacielem, rzekł do niego, to i owszem będę ci bardzo wdzięczny. Słusznie bowiem mówisz, że brać od szambelanowej naprzód pieniądze, to jakoś wygląda na palestranta, któremu daje się strawne...

— Wiele?... Czy sto?

— Daj... dwieście! Być może, że ci się za to so wicie kiedy odwdzięczę!

Podczaszyc położył na stole dwa rulony, które podkomorzyc na bok odsunął nie licząc wcale.

Przyjaciele mówili jeszcze niejakiś czas o rzeczach powszednich, potem pożegnali się.

Jeszcze tego samego dnia wyjechał podkomorzyc, odprowadzony przez podczaszyca. Inni przyjaciele nie

mieli już czasu. Wyprawiwszy podkomorzycę, pospieszył podczaszyc na miodową ulicę, aby widzieć na wła

sne oczy wypakowany powóz pułkownikowej. Wkrótce pojawiła się w bramie domu pułkownikowa. Była świeża, rozpromieniona i młodszą o dziesięć lat. Nazajutrz opowiadano na salonach warszawskich, że pułkownikowa znudziwszy się spokojem tych salonów, ułożyła sobie nową awanturkę i kazała się z własnego domu jakimś majorowi francuzkiemu wykraść, aby mieć jaką taką emocję!... Podczaszyc się na to uśmiechał, ale temu nie przeczył.

## XXVII.

Pocziwej starej szambelanowej ani przez myśl nie przeszło, że jedna wiązka marchwi mogła tyle wielkich rzeczy dokazać! I jak to się zazwyczaj w świecie dzieje, nie przyznano nawet tej marchwi rzetelnej jej zasługi. Nikt nie wiedział, że to ona właściwie była powodem zbliżenia się kilku serc ku sobie, że ona uszczęśliwiła excentryczną pułkownikową, dała Hektorowi Troję a Achilowi Adelaide, że ona właściwie uszczęśliwiła Lesia otyłą Bińcią, a Kubusiowi pozwoliła w jesieni życia poić się rozkosznym, lipcowym ciepłem!... Taki to już ten świat niewdzięczny! Prawdziwej zasługi nikt nie widzi, a korzyści odbierają inni! Wiazka historycznej marchwi zjedzoną została bez litości na ubogiem poddaszu. Jadła ją szambelanowa, opowiadając przy tem wiele o podkomorzycy i jego famili, jadła ją Terenia mówiąc z pewnym przekąsem, że nie jest ani słodsza ani lepsza, choć ją niosła ręka

samego podkomorzycy, jadł ją wreszcie Bernard, któremu ona wydała się nawet gorzką i słupiącą. A wszyscy zgodzili się na to, że była tylko prostą, zwyczajną marchwią, jaką Anusia przynosi!

Biedna marchew! Ona tak wielkich rzeczy dokażała, a nikt tego uznać nie chciał. Resztki jej zmieszciano na małą skorupkę i wystawiono na okienko na poddasze, dla jakiego wędrownego kota, jeżeliby miał na nią apetyt! I wkrótce się zjawilo szpetne, bure kocisko, porzrzucił kawałki marchwi po dachu, wypił tylko sos omaszczony i poszedł dalej!... Po nim przyleciało kilka wróbli, każdy wziął po kawałku, poświęcił i odleciał!

Taki był los owej biednej marchwi. Wkrótce mieszkający na poddaszu zapomnieli o niej! Życie tych mieszkańców upływało spokojnie bez żadnych głośniejszych wydarzeń. Tylko zaraz po zjedzonej owej marchwi historycznej przyszła znowu szambelanowej myśl do głowy, aby z pracy i nauki swojej wnuczki skorzystać. Terenia wyjęła z teki znowu bardzo ładną akwarelę, przedstawiającą coś z dziejów ojczyści, patrzyła na nią długo okiem macierzyńskim i z cichym przytłumionym westchnieniem oddała babuni. Szambelanowa także trochę patrzyła na ten obrazek, a potem podsunęła go Bernardowi i rzekła do niego: — Jeżeliś waćpan na tamten obrazek znalazłeś tak

w prędko amatora, to spodziewam się, że znajdziesz i na ten. Jeżeli się nie mylę, jest na nim daleko więcej farby niżeli na tamtych Sto złotych można dać za niego na ślepo!

Bernard zbladł znowu na te słowa. Obrazek był pracowicie wyrobiony i kosztował parę tygodni pracy. Ale czyjaż to była praca? Praca drobnej rączki Tereni, którą on chciałby zamiast obrazka za ramki oprawić!... — Coś aspan na to nic nie odpowiadasz! zawołała szambelanowa, ukrywając uśmiech nie zrozumiały, za pewne już aspanu sprzykrzyło się targowanie z żydka mi. W takim razie zawołam sama żydka, bo jużci dla

biednych lepsze sto złotych, niżeli ten obrazek w tece.  
A biedni powinni się przyzwyczajać do pracy i powinni  
wierzyć, że ta praca ich nie plami i że im jakąś ko  
rzyść przynieść może! Ludzie, którzy się wstydzą ko  
rzyści pracy swojej, są źli i poniżają tych, którzy dla  
korzyści pracować muszą!...  
Po tych słowach przysunął Bernard obrazek do sie  
bie i przyrzekł, że go sprzeda.  
W duchu jednaknie myślał on wcale o sprzeda  
niu. Obrazka, w którym było część duszy Tereni  
nie mógł oddać w ręce żydowskie. Nie oddałby go na  
wet mieszkańcom najwytworniejszego salonu, choćby  
temu obrazkowi było tam bardzo dobrze! Czuł jakąś  
zazdrość, aby tego skarbu nikt nie posiadał prócz niego,

Ale smutek ogarnął go nowy! Rodzinne pamiątki,  
które wykupił u żyda, dawszy mu odstępnego trzydzie  
ści złotych, musiały znowu wrócić na ulicę Franciszkań  
ską! Musiał się znowu z nimi żegnać, całować je  
i płakać!  
Innego ratunku nie było. Wprawdzie wybór był  
trudny. I to sercu drogie i to miłe. Sprzedać pamiątki  
rodzinne to grzech, ale jeszcze większym grzechem bę  
dzie, jeżeli ten obraz sprzeda, który robiła rączka Te  
reni!...  
Krótka była walka, obraz zwyciężył. Pierścioneł  
ślubny matki i sygnet ojca poszły na ulicę Franciszkań  
ską z tym tylko warunkiem, że zawarował sobie ich  
zwrot za nagrodą dziesięciu złotych.  
I Pan Bóg był jakoś litościwy i nagrodził poczci  
wego człowieka za jego szlachetne uczucia. Za kilka  
dni przyszedł znowu na poddasze listowy i wręczył mu  
list zawierający sto pięćdziesiąt złotych z dopiskiem jak  
dawniej.  
— Dawny dług już waćpan oddałeś, rzekła do niego  
szambelanowa, teraz możesz sobie co ciepłego sprawić,  
— Mnie nie jest zimno w moim płaszczu, odparł  
i poczerwieniał cały na twarzy.  
Terenia patrzyła na niego wzrokiem sympatycznym,  
a potem także zarumieniała się.  
Od tego dnia nic nie zaszło na poddaszu umyśl

nego. Pamiątki rodzinne wróciły znowu do schowka, a do pierwszego obrazu przyszedł drugi, starannie w szufladzie stołu dużego schowany i na klucz zamknięty. Aby jednak nagabywaniu szambelanowej zadość uczynić, kazał sobie Bernard za zostające trzydzieści złotych stary swój płaszczyk podbić nową ciepłą podszewką i na tem sprawę zimną zakończył.

Dzień ubiegał mu jednostajnie jak w zegarku. Pięć godzin pracował w biurze, a resztę przebywał na poddaszu albo u szambelanowej, która z nim rozmawiać lubiła, albo w swoim pokoiku czytając i ucząc się, czego mu jeszcze brakowało. Dopiero gdy wszyscy się spać pokładli, otwierał cicho szufladę ze stołu i długimi godzinami wpatrywał się w dwa obrazy, które mu żywo piękną duszę tej przypomniały, którą tak gorąco kochał!... Bywało o szarej godzinie usiadła Terenia do klawikordu i grała jakieś smutne i rzewne molodye. Wtedy siedział Bernard rozmarzony w dużym krześle babuni i śnił o tak cudnych rzeczach, na przyszłość!...

A ta przyszłość jakoś bardzo powoli zbliżała się do niego. Dotąd nie miał dostatecznej pensyi, a miłość i ślub przed ołtarzem były u niego synonimami. Terenę kochał całą duszą, ale nie pojmował tego, jak można znać komu tę miłość wyznać ceremonialnie, nie mając natychmiast środków, uwić sobie ciepłe gniazdeczko. Chował więc tę miłość, czy raczej słowa w sobie,

aż przyjdzie ten czas szczęśliwy, że będzie dekret i pensya. Tymczasem tylko jak zapobiegliwy sadownik, pilnował niedojrzałego owocu w sadzie swoich marzeń, i obliczał naprzód wszelkie rozkosze, jakie będzie miał gdy ten owoc dojrzeje !

Romansu z panną w pospolitem znaczeniu tego słowa nie pojmował, a nawet kilkakrotnie mówiła w tym samym duchu szambelanowa, w którą on wierzył, jak w książkę.

Już mu to wystarczało, że mógł patrzeć" na Terenę całymi godzinami, mógł z nią rozmawiać, być niej tak blisko, że słyszał nieraz bijące to serduszko, w którym rodzilo się tyle pięknych myśli, tak dźwięcznie wypowiedzianych

O Tereni był także przekonany, że nie jest mu obojętne

tną. Jakkolwiek tego nigdy mu nie powiedziała, jakkolwiek czarne jej oczka nie umiały tej zwodniczej sztuki mówienia bez słów i pisania hieroglifami na sercu mężczyzny, jednak tyle się w nich mieściło dla niego, że Bernard był z nich i właścicielki dosyć zadowolony. A jeżeli czasem jakaś myśl smutna, lub tęsknota go ogarnęła, to patrzył na rozpięte dwa kartony na ścianie swojej izdebki, które mu wyraźnie mówiły, że świętobliwy patriarcha, który przecież więcej miał zasługi przed Bogiem od niego, siedm lat wysługiwać się musiał o swoją Rebeke!...

Szambelanowa lubiła go, jakby należał do rodziny. Opowiadał jej często o generale Kwaśniewskim, który dla tego po francuzku nie chciał się uczyć, bo nie chciał Pana Boga poprawiać... a ona nawzajem mówiła mu o czasach Stanisława Augusta i wyciągała z nich różne zdania moralne. Osobliwie z wielką goryczą opowiadała o zgorzeniu, jakie podówczas całemu krajowi da wali bogatsi panowie i o skutkach tego zgorzenia, które kraj na dno przepaści powaliły!... Tak stały rzeczy na poddaszu, gdy z przyległej cukierni zjawił się mały chłopczyk w białym fartuchu i za dyszany oznajmił Bernardowi, że jakiś pan z bardzo pilnym interesem, czeka na niego w cukierni. — Co by to być mogło? rzekł Bernard półgłosem szukając czapki. — Co by to być mogło? powtórzyła machinalnie Terenia, a serce jej uderzyło niespokojnie. Mieszkańcy poddasza tak byli przyzwyczajeni do regularnego przebiegu dnia, że taki nadzwyczajny postanowiec wydał się im osobliwszym zdarzeniem. Mimo woli byli ciekawi rozwiązania tego zdarzenia. Bernard również wyszedł z dosyć niespokojnym bićciem serca.

## XXVIII.

Po wyjściu Bernarda panowało na poddaszu niejaki czas głębokie milczenie. Szambelanowa niby czytała w Żywotach świętych, Terenia jednak spostrzegła, że jej oczy ciągle na jedném słowie spoczywają. Oczy zaś Tereni nie mogły w tej chwili na niczém dłużej spocząć. Przerzucała je z jednego przedmiotu na drugi, z drugiego na trzeci, na czwarty i piąty, ale wszystko to nie pomogło. „Jakiś widoczny niepokój trapił jej serduszko. — Ciekawa jestem, wyszepnęła cichym głosem, od kogo był ten posłaniec!

Szambelanowa spojrzała na nią z ukosa po za okulary, pomyślała chwilkę i rzekła:

— Przecież ludzie tysiączne mają interesa! Może jaki kolega, może dawny przyjaciel...

— Przecież taki przyszedłby do niego na poddasze! Jakże to można wywoływać sobie kogoś na miejsce neutralne... tak zwołują się tylko nieprzyjaciele!... A ja

wątpię, dodała jeszcze ciszej, aby pan Bernard miał nieprzyjaciół!...

Szambelanowa spojrzała z uwagą na Terenię. Po myślała chwilkę, a potem rzekła:

— Ja także sędzę, że pan Bernard nie powinien mieć nieprzyjaciół. Pracowity, prawy człowiek, a co największa, umie być ubogim. A to znaczy więcej, niż zeli bogactwo! Ojciec miał fortunę, a syn jej nie ma, ale ma cnoty ubogich.

To tych słowach nastąpiło znowu milczenie. Szambelanowa czytała dalej w żywotach świętych, a Terenia rysowała.

Po jakimś czasie dały się słyszeć szybkie kroki Bernarda po schodach. Szambelanowa zatrzymała się w czytaniu, Terenia sparła ołówkę na papierze i oby dwie niespokojnie na drzwi spojrzały.

Otworzyły się drzwi, wszedł Bernard. Miał twarz nadzwyczaj ożywioną. Była ona rozpromieniona jakby dobrą jakąś nowiną, a równocześnie przebiegał się na niej jakiś smutek głęboki.

Długo stał na środku pokoju i nie wiedział, czy ma się zdecydować na radość, czy na smutek. Patrzył na Terenię a smutek przeważał, patrzył na szambelanową, a jakaś dziwna radość opromieniła mu lica. Po niejkiej walce wewnętrznej, rzucił na Terenię błagalne spojrzenie, jakby prosił przebaczenia, i ozwał się:

— Przychodzę z bardzo dobrą... to jest korzystną nowiną. Jakkolwiek ona nie obejdzie się bez ofiary z mojej strony...

Mówiąc to patrzył rzewnie na Terenię. Zdawało mu się, że przy tych słowach Terenia trochę przybladła...

— Ale biedni, mówił dalej, powinni przyzwyczajać się do ofiar, chociażby te ofiary kosztowały ich wiele, bardzo wiele...

Trafił tem bardzo do przekonania szambelanowej, która uśmiechnęła się z widocznym zadowoleniem, ale jakoś Terenia nie najlepiej przyjęła te słowa, bo główkę spuściła i ołówkiem po papierze kreślić zaczęła.

— Jakaż to jest ta dobra nowina? zapytała po chwili szambelanowa z widoczną niecierpliwością. Bernard odetchnął, spojrzał jeszcze raz na Terenię, która coś niespokojną była i zaczął:

— W cukierni przedstawił mi się jakiś młody jegomość, jak się zdaje człowiek bogaty. Zapytał mnie czy to ja jestem lokatorem tego pokoiku na poddaszu, którego okno wychodzi ukośnie na Leszno. Gdy to przyznałem, powiedział mi, że jakkolwiek jest zamożny i na chleb pracować nie potrzebuje, jednak dla rozrywki od daje się malarstwu, a osobliwie zbiera widoki architektoniczne. Widok na Leszno wraz z kościołem Franciszkanów ma być z tego okienka najlepszy. Otóż za proponował mi, abym mu ten pokoik na czas niejaki

odstąpił, póki nie zdejmie sobie szkicu z Leszna i kościoła. Ponieważ mu na tym widoku wiele zależy, to zaproponował mi za ten pokoik dawać miesięcznie sto złotych!

— Sto złotych! zawołała szambelanowa z zadziwieniem, sto złotych! To waryat jakiś!

— Lękam się, aby to nie był rzeczywisty waryat! szepnęła Terenia i spojrzała z jakimś wyrzutem na Bernarda.

Nie zrozumiał tego spojrzenia Bernard, i z widocznym radosnym uniesieniem odparł:



— Bynajmniej waryatem nie jest! Mówi rozsądnie i jest zdrowym człowiekiem. Ma tylko fantazją artysty podobał mu się widok Leszna z tego punktu, więc wyrzuca sto złotych, tak samo jak inni w karty je przegrywają. Za granicą znałem ja takich ludzi, a byli to najczęściej ludzie bardzo zacni i poczciwi... A zresztą może ma ochotę potem obraz ten sprzedać i odebrać wyłożone pieniądze, mając zabawkę za darmo! Szambelanowa pomyślała chwilkę. Spojrzała na Bernarda, który był tak wesół, jakby do dobrego uczynku się gotował, spojrzała na Terenię, która kreśląc bezmyślne kreski po papierze, mocno się zamyśliła.

— Czy niedowiedziałeś się aspan o nazwisku tego szczególnego amatora naszego poddasza? zapytała po chwili.

— Cukiernik mi mówił, że to ma być pan podcza szyc... odpowiedział Bernard spokojnie.

— Pan podczaszyc? powtórzyła szambelanowa i rozśmiała się, jakby nagle wszystko odgadła — pan podczaszyc! Znałam dobrze jego ojca! Widać syn nie wyrodził się! Artysta!... Ojciec także lubił incognito pokoiki na poddaszach najmować! Było to w modzie bardzo w modzie wtedy... sielanki i poezya! Świat wielki często przesycał się, a wtedy na poddaszu jest świeższe... powietrze! O znam, znam ja te... kaprysiki ludzi bogatych!

— Cóż biednym do kaprysów tych ludzi, jeżeli oni za to płacą! Przecież grzechem nie jest, nająć komuś pokoić za sto złotych, jeżeli jemu tak się podobało, Nikt się przecież z nim nie targował! mówił Bernard.

— Masz aspan słuszność, odparła po niejakiem na myśle szambelanowa, jeżeli bogaci pieniądze wyrzucają, dla czegoż by biedni nie brali w sposób godziwy?... Waćpan możesz podczaszycowi odstąpić ten pokoić! a sam tymczasem gdzie w pobliżu najmiesz sobie za kilkanaście złotych. Zawsze zyskasz na tem. Codzien nie i tak przyjdiesz do nas!

— Uchowaj Boże, zawołał z indygnacją Bernard, ja przecież dla siebie z tego pokoiku nie chcę żadnego zysku. Pokoić należy do pani szambelanowej, więc sądziłem, że i te sto złotych...

— A! poczciwym aspan jesteś, panie Bernardzie |  
Toś aspan do mnie z tą wesołą nowiną spieszył? Są  
dzisz, że dla mnie biednej sto złotych wiele znaczy!...  
Dla tych stu złotych ponosisz nawet, jak mówisz, ofiarę,  
że się z naszego sąsiedztwa chcesz wyprowadzić!... O po  
czciwy człowieku! Pójdźże, niech cię w głowę pocałuję!  
Wzruszony Bernard i w duszy, zadowolony że ofiarą  
ze swojej strony przysporzy biednej rodzinie tak znaczną  
sumkę, zbliżył się do staruszki, która go przeżegnała  
i na jego czole macierzyński pocałunek wycisnęła.

— Tereniu, mówiła dalej szambelanowa, a ty nie  
podziękujesz panu Bernardowi za tak szlachetną rezy  
gnację z własnej przyjemności, aby nam dobrze uczynić?  
To się rzadko, bardzo rzadko trafia w świecie!

Terenia była w tej chwili mocno roztargniona. Nie  
mogła tak prędko pozbierać myśli swoich. A te myśli  
były dziwne, bardzo dziwne... Przyzwyczajonej do spo  
kojnego przebiegu życia, wydało się dzisiejsze zdarzenie  
czemś nadzwyczajnym, czego jeszcze dobrze objąć nie  
mogła. Słowa szambelanowej przywiodły ją trochę do  
przytomności.

— Przyznam się babuni, mówiła ze spuszczone  
oczyma, że zrazu przykro mi było, że pan Bernard  
z taką radością opowiadał o stu złotych, które mu ktoś  
daje za jego pokoik. Zdawało mi się, że ten pokoik...  
jeżeli się do niego ktoś już przyzwyczał... więcej wart

niżeli sto złotych! Teraz jednak, gdy pan Bernard nie  
sobie, ale o nas myślał, to mu już daruję tę radość,  
z jaką stanął przed nami z tą nowiną!

Rzekłszy to podała Bernardowi małą rączkę, którą  
tenże według ówczesnego zwyczaju stokrotnie ucałował.

— Więc każ się aspan podczaszycowi sprowadzić  
ze swemi stalugami, rzekła szambelanowa, ale rób tak  
jakbyś ty sam jemu ten pokoik odstępował. Ja o tem  
nic nie chcę wiedzieć! Rozumiesz aspan?

— Rozumiem — sto złotych oddam potem pani  
szambelanowej, odparł na to uszczęśliwiony Bernard  
i wyszedł.

Po jego wyjściu była szambelanowa czas niejaki  
zamyślona. Uśmiechała się do swoich myśli.

Pan Bernard jest zacnym człowiekiem, rzekła do również zamyslanej Tereni, ręczę ci, że go to wiele kosztuje, że od nas musi się wyprowadzić. Gdyby był bogaty, to dałby sam sto złotych za ten pokój... Ale jak wielkie jest przywiązanie jego do nas, jeżeli taką ofiarę czyni!... Czy ty pojmujesz to Tereniu?

Terenia na to nic nie odpowiedziała, tylko rzuciła się z jakimś dziwnym niepokojem na szyję babuni i zaczęła ją ścisnąć i całować... Twarzy jednak nie okazała

## XXIX.

Za kilka dni wyprowadzał się Bernard z poddasza, które dla niego całym światem się stało. Wyprowadzał się nie bez wielkiej boleści, że o kilkadziesiąt kroków będzie teraz oddalony od tej, którą nad życie ukochał. Jediną pociechą dla niego było, że ofiarą swoją wypełnił tak dobroczynny uczynek, który biednym na poddaszu przysporzy nie małego zasilku.

Jedną rzecz tylko martwiła go sromotnie. Obrazy Tereni, sekretnie przez niego kupione spoczywały w tym pokoiku bardzo wygodnie w głębokiej szufladzie stołu, starannie papierem wyłożonej. Na ten skarb w ubogiej swojej izdebce, którą teraz najał, nie miał ani miejsca, ani schowku. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko rozstać się na czas niejaki z tym skarbem. Wolał się zrzec przyjemności częstego oglądania, niżeli miał go narażać na poniewierkę i pył uliczny. W tym celu zastrzegł sobie u nowego lokatora, że szuflada w tym

atole, gdzie ma niektóre swoje rupiecie, pozostanie zamknięta, a kluczyk od niej będzie w jego rękach. Nowy lokator chętnie zgodził się na tak drobny warunek, i zajął odstąpiony pokój.

Na drugi dzień przyniósł Bernard szambelanowej sto złotych. Szambelanowa schowała pieniądze i rzekła — Niech ci Bóg wynagrodzi twoje poczciwe serce,

mości Bernardzie!

Jakoż nie długo czekał Bernard na tą nagrodę. Na trzeci dzień wszedł znowu listowy na poddasze właśnie w tej godzinie, gdy Bernard był u szambelanowej i od dał mu list z pieniędzmi. W liście było jak zazwyczaj sto pięćdziesiąt złotych z dopiskiem: od przyjaciół generała Kwaśniewskiego.

Bernardowi łzy w oczach stanęły, a szambelanowa rozprawiła długo o sprawiedliwości boskiej już na ziemi, która zawsze dobre nagradza a złe karze. Opowiadała przytem różne wypadki z własnego życia, w których zawsze okazał się palec sprawiedliwości boskiej. Bernard i Terenia słuchali z namaszczeniem opowiadania babuni.

Tymczasem rozgospodarował się w odstąpionym pokoiku nowy lokator. Ponieważ właściwe mieszkanie miał gdzie indziej, a tu tylko kilka godzin dziennie miał przepędzić dla zdjęcia widoku z Leszna, ograniczył się więc tylko na niezbędnych akcesoryach życia. Aby je

dnak i te drobne akcesorya, już o jego pozycyi towarzyskiej świadczyć mogły, postarał się o to, aby na luzie z poddasza sprawiały pewien efekt

Najprzód ustawił elegancką stalugę wykładaną drzewem hebanowem. potem palisandrowe pudełko z farbami. Do umywania rąk po pracy stała na stoliku srebrna miednica, wewnątrz złocona. Do niej należał srebrny kubek bogato złocony, nader misternej roboty. Wykwintna toaletka z różnemi przyborami, zajęła miejsce pod oknem.

Anusia, która pierwsza była przypuszczona do oglądania tego tajemniczego pokoiku, opowiadała dziwy o tych prześlicznych rzeczach szambelanowej i Tereni. Widziała tam także drogi perski dywan, który nakrywał skromną dreliżkową sofkę.

Gdy nowy lokator już się zupełnie urządził i kilka dachów z kominami na płótnie narysował, ubrał się nader wykwintnie i przyszedł z pierwszą wizytą do swoich sąsiadek.

Szambelanowa miała twarz poważną i czytała w jakiejś grubej księdze. Terenia przy niej bawiła się robotką kobiecą.

— Bardzo jestem wdzięczny przypadkowi, ozwał się nowy lokator, który mnie natchnął zachcianką artystyczną a przytem dał mi poznać wielce szanowną matronę naszą, panią szambelanową!

— A kto waćpan jesteś! zawołała od książki szam  
belanowa, czy jesteś artystą?

— Właściwie... amatorem tylko! Jestem podcza  
szyc\*\*\* —

— A! podczaszych., ojca znałam!... Był także  
amatorem różnych sztuk pięknych!... Widać że ten  
talent jest dziedziczny!

Podczaszyc mimo wszelkiej swobody jaką miał  
w obejściu się z ludźmi, zarumienił się trochę.  
Była to rola, która mogłaby go skompromitować, gdyby  
się nieudała. Spojrzał na Terenię i spotkał się z jej  
ciekawie patrzącymi oczkami.

Zdaje się, że nie tylko ciekawość, ale pewien nie  
pokój spostrzegł w oczach Tereni. To dodało mu odwagi.

Podczaszyc był człowiekiem, jakto mówią, niebez  
piecznym dla kobiet. Można powiedzieć, że był nad  
zwyczaj przystojny. Twarz miał smagłąwą z pewnym  
namiętym wyrazem. Oko ciemnoniebieskie duże, do  
połowy ciemną rzęsą przykryte, wyglądało, jakby roz  
marzone, za ideałem stęsknione. Włos bujny, ciemny,  
podnosił się od skroni po nad wypukłe czoło w duży  
czub, lekko na prawą stronę pochylony. Dodajmy do  
tego ubiór świeży, wykwinny, ruchy piękne i swobodne  
i umysł encyklopedycznie wykształcony, a będziemy mieli  
wzór młodego człowieka, o jakim marzą panny i nie

szczęśliwe kobiety. Największą zaś jego bronią, którą  
zawsze zwyciężał, była śmiałość i pewność siebie...  
Do tej powierzchowności stosownie miał wykształ  
cenie, to jest takie, które błyszczy i olśniewa. Mówił  
kilkoma językami, grał na cytrze i klawikorcie, śpiewał  
hiszpańskie piosnki, składał nawet nie złe szarady i u  
miał kilka godzin mówić o wszystkim. Rysował nie  
złe, malował trochę a mianowicie umiał wybornie z ka  
wałków materyi wykrawywać różne ubiory, przyklepać  
je na karton i domalowywać twarz i ręce. Była to ulu  
biona zabawka ówczesnych salonów, a bardzo wiele ro

bót takich widzimy dziś jeszcze po zbiorach familijnych. Przy takim uposażeniu wcale się dziwić nie można, że podczaszyc był w pewnych kółkach swego świata tak zwanych Lowelasem., Osobliwie mężatki, niezrozumiane od mężów, przepadały za nim. Był on bohaterem buduarów na Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie, a na jego stoliczku leżały zawsze stosy kopert z tajemniczych listów. Tylko excentryczne dewizki na pieczętkach mogły czasem naprowadzić na ślad rączek, które te liściki pisały, z czym się on nawet bardzo nie taił... Zepsuty takim powodzeniem był tego przekonania że dla niego niema nic niepodobnego. Znał wszelkie słabości serca kobiecego i umiał grać na niem, jak na klawikorcie. Jednej mu rzeczy tylko do zupełnego szczęścia brakowało — znaczniejszej fortuny. Miał

wprawdzie jakąś fortunę nie wielką, miał także boga tego stryja, który od czasu do czasu coś do Warszawy przysłał, ale wszystko to było tylko obliczone na życie od dzisiaj do jutra. Tymczasem lata biegły, a sukcesu buduarowe nie dawały fortuny.

Myśl o bogatem ożenieniu się trapiła często pod czaszy ca, ale tutaj stawały zawsze jakieś zawady na drodze. Albo panna nie miała znaczniejszego posagu, albo przeszkodziła temu jaka intryga buduarowa. Milion na poddaszu zwracał często jego marzenia ku sobie. Mówiono coś o tym milionie po mieście, mówiono, że nawet panna jest ładna, do tego dziwnie romantyczna sytuacja — poddasze i stara dziwaczka — miała w sobie wiele ponęty. Nic bowiem łatwiejszego, jak taką sielankową bohaterkę oczarować, olśnić i zbałamucić.

Budując więc na swoją szczęśliwą gwiazdę, i do wiedziawszy się na owym wieczorze, że na poddaszu rzeczywiście jest milion, skorzystał z wyjechania podko morzyca za granicę, gdzie go pułkownikowa prawdopodobnie dłuższy czas przytrzymać będzie umiała i ułożył sobie planik romantyczny, jaki właśnie teraz rozwijać zaczął.

Z pierwszą wizytą u pani szambelanowej był bardzo krótko. Było w tem wyrachowanie, aby tylko na chwilę, swoją osobą olśnić kobiety, rzucić im kilka

ogników bengalskich i zniknąć!... W ciemności, która następuje zawsze po spaleniu meteoru, mogły wtedy śnić i marzyć o nim i w wyobraźni uzupełniać sobie to, czego mu w rzeczywistości brakło. A wyobraźnia jest w takim razie nadzwyczaj sprzyjającą tym, którymi się zajmuje...

Po kilku minutach rozmowy z szambelanową i Terenią wstał i pożegnał się. Szambelanową miała dziwny uśmiech na twarzy, gdy mu mówiła przy pożegnaniu: Niech aspan czasem do nas zagości.

Podczaszyc nie widział tego uśmiechu, bo patrzył w tej chwili na Terenię. Wyszedł nader zadowolony.

Po jego odejściu długie milczenie panowało w pokoju. Szambelanową uśmiechała się do swoich myśli i z boku patrzyła na Terenię. Terenia czuła to oko babuni na swojej twarzy i dla tego w kłopotcie była nie małym.

Dla czego Terenia w kłopotcie była, trudno odgadnąć. Nie chcemy biednej dziewczyny posądzać bez powodu. Tyle tylko powiemy, że długi czas nie wiedziała, czem się zatrudnić, brała to książkę, to ołówek, a gdy Bernard wieczorem przyszedł, pospieszyła do niego aż do progu, czego dawniej nie bywało, i tak go gorąco za rękę ścisnęła, jakby jej kto chciał wydrzeć tę rękę... Bernard sam zadziwił się takim przywitaniem, ale wkrótce wytłomaczył je sobie. Miało to być podziękowanie

za jego bolesną ofiarę, która babuni sto złotych przyniosła...

I jakoś cieplej i serdeczniej przeszedł ten wieczór na poddaszu. Terenia była tak serdeczna dla Bernarda, tak długo wpatrywała się w niego, gdy mówił, z taką uwagą słuchała rozumnych słów jego, że Bernard czuł się stokrotnie wynagrodzony za ofiarę którą poniósł dla biednych.

— Mój Boże! pomyślał sobie, jakto rokosznie jest zrobić dobry uczynek! I Bóg wynagradza i ludzie wynagradzają... czemuż to tak mało jest tych dobrych uczynków między ludźmi?...

xxx.

Od czasu nowego lokatora, zmienił się porządek życia na poddaszu. Szambelanową, jakby się oszczędzać chciała, powiedziała nauczycielom chodzącym do Tereni, że jest trochę słaba i że potrzebuje odpoczynku.

Natomiast przychodził bardzo często podczaszyc. Grał na klawikorcie najnowsze melodye, przyniósł elegancką cytrę i przy świetle księżyca budził w niej jakieś dziwne smętne tony, których Terenia przez całą noc zapomnieć nie mogła...

Raz nawet namówił ją aby z nim mały i łatwy duet zaśpiewała, i duet udał się tak wybornie, że nawet szambelanową i Bernard byli z tego kontenci. Nawet w rysunkach dawał jej niektóre rady i okazywał jej swoje szkice.

Mimo to wszystko, szambelanową była nieubłagana co do porządku domowego. O zmierzchu zawsze był śpiew nabożny „O matko Boża, lilio niebieska.”, Obe

cność podczaszycyca nie przeszkadzała temu porządkowi. Wszyscy śpiewali tę pieśń, Elżbieta i Anuśka, do których również i podczaszyc przyłączyć się musiał. Dziwnera a nawet śmiesznem wydało się podczaszycowi to stękanie kościelne, ale wszedłszy raz na poddasze nie mógł wyłamać się z pod powszechnej reguły. Tylko czasami przychodziło mu do głowy, coby to na to wielki świat powiedział, gdyby go ujrzał śpiewającego pieśni kościelne ze starymi babuniemi, sługami!... Wtedy krew uderzała mu do twarzy i tylko nadzieja miliona trzymała go w tym arcyniewygodnym pokoiku!... Do tego jeszcze były inne umartwienia. Szambelanowa zapraszała go często na obiadek i na kołduny. Po takim traktamencie wypadał podczaszyc jak szalony z poddasza i szukał czem prędzej oddziaływaczy na to co jadł i co widział! Wszystko to jednak nie zbiło go z toru, którym postępywać do celu zamyślał. Śpiewał pieśni kościelne



jak dziad szpitalny, jadł tłuste kołduny bez serwety,  
krajał łykowane mięso jakimś kozikiem — słowem ro  
bił wszystko, co tylko świątobliwy patryarcha mógł ro  
bić, gdyby się o swoją niebogę starał, a którego historia  
wisiła w jego pokoiku!...

Wiedział bowiem dobrze, że tylko przez takie mę  
czarnie można dostać się do miliona, który stara szam

belanowa, zdziwaczała przez różne niepowodzenia w ży  
ciu, ogrodziła cierniami i ostrokołem.

Nie były to wprawdzie różane dni jego życia, ale  
po za nimi był milion... tylko milion i nic więcej!

Zrazu był Bernard kontent z takiego ożywienia  
poddasza. Jakkolwiek żadnych przyrzeczeń ani przysięg  
ze strony Tereni nie miał, czuł jednak sercem, że ona  
już do niego należy. Nie przypuszczał więc, aby nowy  
lokator pierwszą lepszą piosenką, udatną fryzurą lub  
relacją Anusi o złotej miednicy, mógł mu skarb jego  
odebrać.

Tymczasem coś się widocznie działo na jego nie  
korzyść. Czy powodem tego była piosenka, czy udatna  
czupryna, czy złota miednica, trudno odgadnąć. Czuł  
nadchodzące nieszczęście więcej sercem, niżeli mógł je  
oczyrma widzieć.

Nieopatrzny dotąd na wszystko, jak każdy szczę  
śliwy i poczciwy człowiek niechciał Tereni najmniejszym  
podejrzeniem krzywdy wyrządzić. Dzisiaj zaczął się ba  
czniej rzeczom na poddaszu przypatrywać. Spostrzegł,  
że nowy lokater widocznie ma jakieś zamiary, i że na  
wet przed biednym aplikantem wcale się nie ukrywa.  
Aplikanta nie uważał nawet za rywala! Był to u niego  
po prostu biedny człowiek, którym się szambelanowa  
posługuje i za to czasami kołdunami karmi. Innego  
znaczenia nie miał on dla niego.

To spostrzeżenie podrażniło w nim całą jego duszę.

Postanowił zmierzyć się z podczaszycem i był pewny że go pokona.

Pierwej na wieczorkach u szambelanowej był prawie biernym spektatorem. Słuchał co podczaszyc opowiadał, i cieszył się z jego conceptów wraz z innymi. Słuchał go gdy grał lub śpiewał, lub patrzył na jego obrazki. Teraz spostrzegł, że nowy lokator zaczął go oskrzydlać. Terenia tylko jego słuchała i nim się bawiła.

Postanowił więc wyprzeć go z zajętego stanowiska.

W rozmowach potrzebujących nauki i rozległych a gruntownych wiadomości, nie było to trudnym. Podczaszyc mógł wprawdzie o wszystkim mówić, ale wiadomości jego były powierzchowne, a często nawet fantazyją sztukiwane. Bernard był tutaj wyższym. To też na tym polu rozpoczął nielitościwą walkę. Walka udawała mu się wybornie. Podczaszyc pobity często kapitulował, a szambelanowa wtedy z tak dziwnym uśmiechem patrzyła na Bernarda, jakby myśli i zamiary jego odgadła. Pobity jednak na tym polu, miał podczaszyc kryjówkę, na której Bernard już mu nic zrobić nie mógł. Siadał bowiem do klawikordu i grał lub śpiewał. Wtedy Bernard biedny kapitulował i widział na swoje udręczenie, jak muzyczne uszko Tereni chwyciło z rokoszą tę szeroką mowę dwojga dusz...

Najstraszniejszą była dla niego cytra. Był tego przekonania, że ten instrument wynaleziony jest przez samego szatana, aby nim serca kobiece zdobywać!...

Metalowy bowiem dźwięk tych strun, drżący i skarzący się, szedł gdzieś wprost do duszy i cichym szeptem namawiał ją do zakazanych marzeń i rozkoszy...

Tak sobie w tej chwili wyobrażał cytrę Bernard Terenia jak druga Ewa przepadała za cytrą i zdawało się, że jest w siódmym niebie, gdy podczaszyc po strunach stalowych zakrzywionym palcem brzdąkał!...

Kiedy tak sobie Bernard rozważał, był bliskim rozpaczyci. Widział, że ani jego nauka, ani poczciwe i zacne serce z takim adwersarzem sprawy nie wygra. Wyższość bowiem adwersarza, chociażby tylko pozorną widział we wszystkim. On był człowiekiem pracy, tamten człowiekiem wielkiego świata. Człowiek wielkiego świata jest we wszystkim artystą. On zawsze i wszędzie pozuje, a to kobietom podoba się. On po trafi trochę wiadomości i dowcipu sprzedać dobrze, podczas gdy człowiek żyjący z pracą rzetelny jest i za mało wprawny, aby to zrobił. Tamten uczy się całe życie prześlizgiwać się gładkim frazesem, ten potrzebuje dzie

sięć razy więcej umieć od tego, co wypowie.  
Słowem Bernard był zagrożony wielkim nie  
szczęściem, i wszystko teraz zawisło tylko od Te  
reni.

Jedna myśl pocieszała go. Jakkolwiek sam wilka  
wpuścił do owczarni, tem jednak pocieszał strapione  
serce swoje, że uczynił z najszlachetniejszych motywów  
i że za takie motywa nie powinien go Pan Bóg karać  
tak srogiem nieszczęściem!... A Terenia miała teraz  
rozstrzygnąć, czy ta pociecha nie była płonna!...

XXXI.

Bernard zrezygnował z dalszej walki, bo na cytrze  
ani na klawikorcie grać nie umiał. Postanowił tylko  
obserwować Terenię, aby się przekonać, czy jest jeszcze  
jaka nadzieja dla niego, czy jej już zupełnie nie ma!  
Terenia dziwnie mu się przedstawiała w tych kilku  
tygodniach. Było to studium nader ciekawe.  
Zrazu zdawało mu się, że jej miłość dopiero z no  
wym lokatorem zaczęła rość do prawdziwej potęgi.  
I wierzył temu Bernard. Tłumaczył sobie ten szczegó  
ny objaw tem zwykłym doświadczeniem, że prawdziwe  
uczucie rośnie w oddaleniu. Dopóki był z nią o ścianę,  
dopóki mogła go każdej minuty widzieć lub słyszeć, do  
póty może jeszcze nie miał dla niej tego uroku, jaki  
zazwyczaj ma osoba nieobecna i oddalona. Wprawdzie  
oddalenie to ograniczało się zaledwie na kilkadziesiąt  
kroków, w historii jednak poddasza było zawsze odda

leniem, a wyciągniona dłużej niż sympaty mogła drażnić serce.

Miłość Tereni rosła bowiem teraz widocznie. Ciche spokojne przywiązanie zastąpiła jakaś gorączka. Gdy Bernard przyszedł, Terenia chwyciła go za rękę z taką gwałtownością, jakby się o niego lękała. Jej oczy były takie niespokojne, tak ustawicznie na niego patrzyły, taki jakiś przestrasz w nich się malował, jakby dni jej cichego szczęścia już były policzone! Pulsy jej były żywiej, a często przyciskała rękę do piersi, jakby ją serce bolało!...

Bernard tłumaczył to sobie bardzo dobrze. Cieszył się szczęściem swoim i dziękował Bogu, że w jego sirococtwie nie opuścił go, zsyłając mu na przewodnika takiego anioła!

Po jakimś czasie zaczęła ta gorączka Tereni niepokoić go. Mógł to być anormalny stan jej duszy, wywołany jakąś walką wewnętrzną!... Cóż to miała być za walka? Z czymżeż to walczyła Terenia?...

Gorączka ta chorobliwa zaczęła zwolna opadać.

Terenia uspakajała się coraz więcej i powoli, jak po każdym wysileniu, zaczęła zapadać w jakąś dziwną apatię. Gdy Bernard wszedł do pokoju, nie biegła z nim się przywitać, tylko spokojnie siedziała na sofie. Po dała mu wprawdzie rękę jak dawniej do ucałowania,

ale ta ręka nie miała już dla niego tego sympatycznego uścisku, jakim go dawniej elektryzowała...

Była spokojną chociaż zawsze serdeczną. Przytem bardzo często wpadała w zamyślenie.

Czasami była tak roztargniona, że niewiedziała, co do niej mówią. Bernard spostrzegł, że nie tylko taką jest dla niego, ale także dla podczaszycy. Nawet klawikordu i cytry niechętnie słuchała...

Cóż to może oznaczać? pytał siebie poraż setny Bernard i nigdy odpowiedzi nie umiał!

Nareszcie zaczęła Terenia z tego dziwnego uspokojenia, przechodzić w jakiś głęboki smutek. Siedziała po całych dniach zadumana. Często błyszczały jej oczy łzami. Głos jej miał dziwną wibrację gdy mówiła.

W jej głosie były łzy, w jej oczach choć suchych, były łzy, w jej wszystkich ruchach były łzy !

I znowu pytał siebie Bernard: Co to znaczy? Zkądże ta melancholia?

Kiedy właśnie jednego dnia nad tem myślał i nic wymyślić nie mógł, spotkał koło cukierni podczaszycę, na którego twarzy malowało się wielkie zadowolenie. Wymachiwał laseczką w powietrzu, jakby ta była berłem, a on królem tego świata! Dosyć głośno, bez względu na przechodzących, nucił sobie jakąś wesołą aryjkę. Głos jego był czysty i pełny, jak głos szczę

śliwego człowieka, który w tej chwili niczego więcej nie pragnie do szczęścia!...

To uderzyło Bernarda tem bardziej, że przez kilka dni był podczaszyc smutny i osowiały.

Bernard długo myślał nad tem. Serce jego ogarnęło jakieś nieprzyjemne przeczucie...

W końcu jednak przyszedł do tego przekonania, że to co widział, było dopiero połową obrazu, że należy obaczyć drugą połowę... Szybko więc pobiegł na poddasze, choć to nie była godzina zwykłych jego odwiedzin.

Na poddaszu zastał Terenię, gdy stała przed zwierciadłem i z uwagą w nie się wpatrywała. Była dzisiaj daleko staranniej ubrana, niżeli zwykle. Gdy się do niego obróciła, spostrzegł Bernard, że miała twarz ożywioną jakimś wielkim wewnętrznym zadowoleniem. Oczy jej błyszczały jaśniej, a głos, gdy do niego przemówiła, był tak pełny i dźwięczny jaki tylko być może przy najwyższym naprężeniu wszystkich sił żywotnych. Gdy Bernard to, co na ulicy widział i słyszał, z tem porównał, co tu widział i słyszał, westchnął głęboko i głowę zwiesił..

Spojrzał na szambelanową — szambelanowa miała twarz smutną i jakoś unikała jego wzroku...

Terenia na widok Bernarda nie straciła bynajmniej na humorze. Owszem z uśmiechem, a nawet z jakąś śpiewką zbliżyła się, podała mu rączkę, uścisnęła go serdecznie. Ale uścisk ten zdawał się mówić:

— Ja cię zawsze kocham, ale jak — brata, lub przyjaciela. Zatrzymam po tobie jak najśłodsze wspomnienie, ale żoną zostanę tego, który tak pięknie gra na cytrze i ma — złotą miednicę! Wierzę, że w życiu może nieraz wrócić wspomnieniem do ciebie, do tych chwil złotych, ale tymczasem bądź mi zdrów, bo na mnie czeka — karetka angielska!

Bernard czuł, że go taką zdawkową, nic nie kosztującą monetą odprawić chciano, a uścisk drobnej rączki wydawał mu się w tej chwili jak ukąszenie zjadliwej żmijki, która łaszcząc się, śmierć przynosi...

Terenia nie widziała jego bólu. Śpiewająca, rozpromieniona, w żywych podskokach, jakby była baletnicą, zbliżyła się do klawikordu i grała tak po mistrzowsku, jak nigdy! Żadnych w tej chwili nie było dla niej trudności!...

Bernard nie mógł dłużej tutaj pozostać. Dla wezbranej piersi za ciasno było na poddaszu, skłamał może poraż pierwszy w życiu, jakiś pilny interes i wyszedł. A za nim po ciemnych schodach szły wesołe akordy które wymykały się jak swawolne, złotoskrzydłe muszki z pod rączki Tereni i brzęczały mu dziwnie w uszach... a z ulicy zachodziła wesoła piosenka podczaszycy... Tylko jednej rzeczy zrozumieć nie mógł: .Dla czego Pan Bóg za tak szlachetne motywa odstąpienia tego pokoiku, tak srogo go ukarał?

### XXXII.

Przed wieczorem, nim jeszcze zmierzchać się zaczęło, wszedł znowu Bernard na poddasze. Wszedł tam, bo nigdzie indziej nie mógł znaleźć spokoju, bo wszędzie prześladowały go jakieś widma straszne...

Szambelanowa przyjęła go nadzwyczaj serdecznie, ale jej twarz była smutna i surowa. Terenia w pierwszej chwili miała ochotę obsypać go pieszczotami siostry, ale zatrzymała się, tylko z śmiechem powiedziała mu, że była roztargniona, i że o małego tak go nie przywitała, iżby go to może zdziwiło!

Potem zaczęła się wykręcać na drobnej nóżce swojej i śpiewać, jakby była nader szczęśliwą!

Były to straszne symptomata dla Bernarda! Usiadł w kącie i pogrążył się w myślach.

Do pokoju wszedł teraz podczaszyc. Wszedł wykwintnie wystrojony, z pewną atmosferą ludzi dostatnich,

którym nic nie jest niepodobnego na świecie. Jeszcze w progu kończył jakąś aryjkę zaczętą na ulicy. Przywitanie jego z szambelanową było pełne hołdu i adoracji dla sędziwój matrony. Zgiął się na dwoje, całował jej wyschlą rękę z takim zapalem, jakby to była rączka szesnastoletniej panny, i znowu się zgiął i znowu całował.

Trudno się dziwić takiemu afektowi do tej wyschłej ręki, bo ta ręka miała wyliczyć... milion!

Z Terenią przywitanie było krótkie, a nawet po bieżne. Tak się witają zazwyczaj ci, co się dopiero widzieli, co sobie już skrajne słowa wzajemnie powie dzieli, których gra była już skończona!

Tak sobie myślał Bernard i targał w rękach jakiś świstek papieru, który leżał na stole...

Przywitanie z Bernardem było może najcharakterystyczniejsze. Przeszedł koło niego i kiwnął trochę głową. Nie był on tutaj już niczem dla niego, a temniej rywalem. Był po prostu biednym aplikantem, któremu z łaski szambelanową jeść daje, a który nawet za sto złotych odstąpił swój pokoik, który go łączył z mieszkańcami poddasza!...

Wśród rozmowy o rzeczach powszednich, zaczęło się zmięczać. Elżbieta wstała z pod pieca, aby zaświecić, ale Terenia zaprotestowała przeciw temu, na co szambelanową zgodziła się.

Księżyc świecił właśnie w pełni na niebie. Siny słup światła wciskał się przez małe okienko na poddasze i oświecał ubogie tam sprzęty w sposób fantastyczny. Z kilku wazoników kwiatów, które stały na oknie, porobił na przeciwległej ścianie prześliczne festony, które malowniczo zwieszały się od pułapu aż do ziemi. Stojący przy drzwiach stary kredensik opasał do koła rzeźbą fantastyczną, w której każdy to widział, co sobie życzył. Dalej na podłodze odbił różne skazy i zagięcia szyb, tworząc z nich najpiękniejszy perski dywan, utkany artystycznie w przepyszne arabeski...

Ubogie poddasze przemienił księżyc dzisiaj w bogatą komnatę i pozwolił biednym mieszkańcom śnić o szczęściu i rozkoszy bogactw i dostatków... pozwolił upajać się choć w fantazyi tem, czego w rzeczywistości nie było!...

Pomiędzy mieszkańcami tegoż poddasza był może ktoś, komu właśnie podobne złudne obrazy bardzo się podobały, bo odpowiadały może tajemnym marzeniom... Któż może mieć za złe ludziom biednym, gdy marzą o bogactwach... któż pocztya za grzech łaknącym i pragnącym, jeżeli marzą o chlebie i wodzie?...

Na małej sofie siedziała Terenia i patrzyła okiem roziskrzonym na te czarnoksiężkie sztuczki złośliwego księżycy. Ozy on był dzisiaj w znowie z kimś, który również wzbudzał w jej duszy podobne obrazy?...

Nie obojętnie patrzył także na ten przemysł księżycy Bernard. Marzył on także może o bogactwach w tej chwili, ale na to tylko, aby się zrównoważyć z tymi, którzy go tem bogactwem pokonać chcieli... Nic dziwnego jeżeli Terenia niechciała, aby zapalo. na świeca odebrała jej to kunsztowne urządzenie komnaty, te prześliczne festony, draperye i arabeski na perskim dywanie!...

— O szarej godzinie tak miło słuchać cytrę! wyszepnęła z cicha do podczaszycy.

Podczaszyc wziął cytrę do ręki. Pomimo bladego światła księżycy widział Bernard, że oczy Tereni spoczęły z pewną tęsknotą i rozmarzeniem na bladej twarzy podczaszycy.

Ozwały się drżące, dziwnie wibrujące akordy... Akordy te grały widocznie po sercu Tereni... Szła za nimi duszą i sercem, jakby je podsłuchać i zrozumieć chciała, co one do niej mówią?...

A one mówiły takie piękne, słodkie rzeczy! Mówiły o roskoszach miłości, o tęsknocie za lubą... pragnęły jej uścisku i tego jedynego na całe życie słowa, które z ust gorących odrywa się cichym szeptem, niewyraźne a jednak zrozumiane!...

Akordy cichły, a powoli z metalowych strun zaczęła się wydobywać jakaś skarga, czy prośba...

Terenia słuchała w zachwyceniu. Oczy jej przysty



gły do bladej twarzy artysty, który wzajem wzrokiem uzupełniał to, co było w tonach cytry nie zrozumiałem... Bernard nie mógł dłużej tutaj pozostać. Przejmował go wskroś ból tak straszny, że łzy cisnęły mu się do oczu. Widział jasno, że serce Tereni odwróciło się od niego...

Niechciał czekać aż zaświecona świeca okaże jego twarz skurczoną z bólu a może i łzy w oczach, niechciał aby tryumf jego przeciwnika był tak widoczny... miał on tyle dumy, aby nie okazać cierpień swoich... Wstał z krzesła.

— Czy aspan masz jaką pilną robotę? zapytała szambelanowa, której twarz była dzisiaj nadzwyczaj surowa.

— Tak jest, odparł Bernard, popełniając kłamstwo dzisiaj poraż drugi, i biorąc rękę szambelanowej do pocałowania.

Zdaje się, że szambelanowa zobaczyła przy blasku księżycy łzy w jego oczach, bo długo trzymała jego rękę a potem serdecznie ją uściśnęła. Terenia poże gnęła go prawie obojętnie — bo artysta nie przerywał gry na cytrze.

Po wyjściu Bernarda patrzyła szambelanowa jakiś czas na Terenię z chmurą na czole, potem rzekła:

— Panno Elżbieto zaświeć świecą! Zmarnowaliśmy trochę czasu na bezużyteczne marzenia, teraz po

myślmy o smutnej rzeczywistości... Tereniu, wyjmij z teki ten obrazek, o którym wczoraj mówiłam.

Elżbieta właśnie stawiała świecę na stole, gdy rozmarzona Terenia ostatnie słowa babuni usłyszała. Jej twarz zmieniła się nagle, a oczy zwróciły się z jakąś niemą prośbą do szambelanowej.

Szambelanową miała w tej chwili twarz tak surową, że Terenia nie spodziewała się żadnej łaski. Małe dwie łezki drżały pod jej jedwabnymi rzęsami, gdy wspomniony obrazek z teki dobywała.

— Widzisz waćpan, ozwała się szambelanową do podczaszyca, który ciekawie na tę scenę patrzył, Terenia przywiązuje się do prac swoich i za każdym obrazkiem, który wychodzi z jej teki, płacze. Ale cóż płacz

pomoże, gdy ludzie są biedni? Zamiast szycia, kazałam ją uczyć rysunku, bo ten talent więcej popłaca. Od czasu do czasu sprzedaje się jakiś obrazek i zarobi się więcej na życie, niżeli szwaczka zarobić może. Pan Bernard sprzedawał już kilka takich obrazków po sto złotych za sztukę. Spodziewam się, że i waćpan w swoim wielkim świecie znajdziesz amatora, który za ten obrazek da przynajmniej dwieście złotych. Jest on dwa razy większy od tamtych, dwa razy więcej farby wyszło! Po grze na cytrze i tej fantasmagoryi księżycy, było to wiadro zimnej wody dla podczaszycy. Terenia patrzyła na niego wzrokiem błagalnym, aby

jej darował — ubóstwo! Ale podczaszyc nie mógł zrozumieć tego wzroku, bo historia ze sprzedażą obrazka na jutrzejszy kawałek chleba wydała mu się dziwnym dysakordem po harmonijnej grze na cytrze i tych za mienionych spojrzeniach przy tej grze... Dalsza rozmowa już nie szła. Machinalnie wziął podczaszyc, obrazek do ręki, a przyobiecując jutro szukać na niego kupca, skłonił się i wyszedł. Przez cały wieczór uśmiechała się babunia do swoich myśli, a Terenia skrycie płakała.

### XXXIII.

Wieczór ten był także i dla podczaszycy nader nieprzyjemnym. Nachodziły go różne myśli, których nie mógł się pozbyć. Był wprawdzie przygotowany na różne dziwactwa starej, milionowej szambelanowej, zapoznał się już nieco z jej ekscentrycznymi zapatrywaniami się na świat i stosunki ludzkie, ale podobnej rzeczy nigdy się nie spodziewał.

Dane mu polecenie, aby sprzedał obrazek na zapokojenie najpierwszych, może jutrzejszych potrzeb do życia, odsłaniało mu i tłumaczyło niejedną zagadkę. Dawniej myślał, że to ubóstwo jest tylko dziwac

twem starej kobiety, króla poprzysięgła nienawiść bogatemu światu, ale dzisiaj zbierała go chęć uwierzenia że to ubóstwo było istotnym!

Wiara jednak ta, kazała mu się pożegnać z nadzieją wymarzonego miliona! O tym milionie tyle słodkich

chwil przemarzył, tyle rzeczy na nim zbudował, które teraz runąć mają jak stawiane zamki na lodzie?...

Doświadczenie naucza, że człowiek pragnący czegoś gorąco, traci zdrowy pogląd i rzeczy widzi w takim świetle, w jakim je mieć pragnie. Toż i podczaszyc nie mógł się rozstać z milionem i zbyt subtelnie wyrozumował sobie, że i to jest maską szambelanowej, że pod tą maską ubóstwa kryje się — milion.

Bądź co bądź postanowił jeszcze nie zrywać z tym milionem i obrazek, jeśli się uda, komu sprzedać.

Daleko boleśniejszym był ten wieczór dla Bernarda.

Przez cały dzień nie mógł nic w biurze robić. Aby jednak obowiązkom swoim zadość uczynić, wziął robotę do domu, chcąc w nocy pracować. Przyobiegał nawet naczelnikowi, że jutro rano będzie miał wszystko gotowe. Nie wiedział biedny, jak trudną będzie mu ta praca!

Wróciwszy od szambelanowej, usiadł w swoim pokojku i gorzko nad sobą zapłakał.

Obrazy młodości przesunęły się przed nim, jak złudne fata morgana!... Wszędzie zawód, wszędzie tylko łzy!... W domu ojczystym zawód, na polu walki zawód, w walce o życie zawód, i w sercu zawód!...

Zbliżył się do pracy, która na stole przed nim leżała, ale pióro było ciężkie jak ołów, papier oddalał się

od niego gdzieś na sto mil, ręka nie mogła go dosięgnąć!... Jego myśli były na poddaszu, tam została dusza jego, a tu przyniósł tylko tułów, w którym na to

serce biło, aby ten tułów mógł cierpieć, gorzko cierpieć!...

— I za cóż Bóg mnie tak karze! pytał siebie, czy dla tego, że pragnąłem zbyt wielkiego szczęścia?

znowu brał za pióro i znowu nie mógł ręką do sięgnąć papieru, która bezwładnie upadała!...

Ale w końcu po długiej walce zwyciężył sam siebie, aby obowiązkom swoim zadość uczynić. Praca przed nim leżąca, była jego obowiązkiem. Dotąd kładł za wsze na pierwszym miejscu obowiązek przed wszelkimi osobistymi uczuciami. I ten obowiązek stanął mu w tej chwili żywo przed oczyma, pióro samo przyszło do ręki, papier się zbliżył...

Późno już w noc rozpoczął pracę swoją, a praca wywdzięczając się, uspokoiła go nieco. Ale na dworze już dniało!...

Otworzył okno, powitał dzień nowy, którego się lękał, aby mu nie przyniósł strasznego wyroku i wyszedł do biura. Tam pracował za trzech i jakoś dobrze mu z tem było.

Po pięciogodzinnej pracy wyszedł, bo już drzwi za mykać zaczynało. Wszedł w tłumy ludzi na ulicy i pa trzał na prawo i lewo, bo to było dla niego rozrywką. Choć na chwilę oddalało od niego myśl straszną, która

rwała się na poddasze. A tam nie widział dla siebie żadnej pociechy, żadnej nadziei...

Przy oknie u kupca na Krakowskim Przedmieściu stała grupa ludzi i przypatrywała się jakiemuś obrazkowi. Bernard przystanął także, spojrzął i zmieszał się. Na obrazku obaczył monogram Tereni.

Kto przyniósł ten obrazek tutaj? zapytał za dziwionego kupca impetycznie.

— Przyniósł go do sprzedania pan podczaszyc... za pewno na jaki cel dobroczynny! odparł kupiec.

— Co za niego?

— Może kto da... pięćdziesiąt złotych!

Bernard rzucił na stół pięćdziesiąt złotych i wyszedł szybko z magazynu, aby go kto nie widział. Zdawało mu się, że jest złodziejem, że przywłaszczył sobie cudzą własność... że oszukał tych, których był ten obraz...

Obraz Tereni, dany na sprzedaż, nie dziwił go wcale. Bolało go tylko, że on już dawną rolę swoją utracił. Zajął ją podczaszyc, ale jakże inaczej wywiązał się z tej roli?... Obraz malowany przez Terenię dla mar nych kilkudziesięciu złotych, dał kupcowi!... Czemże był dla niego ten obraz?

Bernard wyprostował się, bo na tym punkcie zwy ciężył przeciwnika. On z takimi ofiarami nabywał te

obrazki i byłby jeszcze do większych ofiar zdolnym, aby tylko tych skarbów z rąk nie wypuszczać!..

Ale zwycięstwo jego nad przeciwnikiem odniesione widzi tylko Bóg, a ludzie nigdy go oglądać nie będą! Jakże bowiem stanąć przed ludźmi i powiedzieć im: oto ja to i to, tak i tak zrobiłem!... Czyż byłoby to szła chętnie, czy nie byłoby to podobnym do owych słów Faryzeusza, który mówił do Boga; Dziękuję ci Boże, że nie jestem takim jak ów celnik!..

To zwycięstwo miało pozostać w ukryciu, tylko dało mu powód udania się na poddasze. Tam bowiem miał schowek w szufladzie dla obrazków nabytych tajemnie, do nich chciał również tajemnie i ten dołączyć. Zawinał go więc starannie, schował w zanadrze i wyszedł na poddasze.

Mieszkańcy poddasza byli przyzwyczajeni, że Bernard często do swego stolika chodził. Więc i tym razem otworzyła Anusia pokój, w którym podczaszycy nie było, a co Bernardowi było na rękę.

Ukrywając starannie obrazek w szufladzie, zamknął pokój i wszedł do szambelanowej.

Szambelanowa była ubrana jakby wyjść miała. Na stole leżało dwieście złotych.

— Dobrze żeś waćpan przyszedł, rzekła do niego, zaprowadzisz mnie do domu ubogich, bo tam ślisko na drodze. Podczaszycy był tak dobry i gdzieś między swymi sprzedał obrazek jeden za dwieście złotych. Ponieważ jeszcze dzięki Bogu tak bardzo pieniędzy nam nie trzeba,

to przeznaczyłam te dwieście złotych dla ubogich, jako w rocznicę śmierci mego męża dla uproszenia Boga, o miłosierdzie dla jego grzesznej duszy!... A ponieważ w tym czasie w roku poświęcam tydzień cały egzercyom nabożnym, to uwiadamiam cię, abyś przez cały tydzień do nas nie przychodził! Rozumiesz waćpan?...

— Rozumiem, odparł Bernard ze smutnem wejrzeniem na Terenię.  
— To podaj mi rękę! rzekła szambelanowa i oboje wyszli z pokoju.

#### XXXIV.

Pierwszych kilka dni zapowiedzianego tygodnia egzercycy nabożnych przeminęły bez żadnego ważniejszego wydarzenia dla Bernarda. Chwycił się oburącz pracy, aby przytłumić w sobie ból duszy, który go rozdzierał. Pracował za kilku, a gdy do swojej samotnej izdebki powrócił, obłożył się książkami, aby się czegoś nauczyć.

Tydzień egzercycy nabożnych wydawał mu się bardzo naturalnym. Odpowiadał on zupełnie usposobieniu szambelanowej, która przeszedłszy smutne doświadczenia życia, szukała w Bogu pociechy.

Czasami tylko przychodziły mu do głowy jakieś dziwne podejrzenia. Czy nie może być w tem wszystkim jaka myśl ukryta, jakiś zamiar ze strony szambelanowej, aby go na ten czas zdała trzymać od poddasza? Może wreszcie zgodziła się na oddanie Tereni pod czaszycowi, a w takim razie niechce, aby on jak cień

[...] dwoje szczęśliwych lu  
[...] mają tymczasem połączyć się  
[...] rozdzielnym na zawsze, a jemu chce poczciwa szambelanowa przynajmniej tyle ulżyć, aby o tem dopiero wtedy się dowiedział, gdy już wszystko będzie faktem niecofnionym!...  
Przy tych myślach zrywał się zazwyczaj Bernard od biurka lub z łóżka i szybkimi krokami chodził po izdebce. Serce biło mu w piersi gwałtownie, a często łzy obfite wypłynęły z oczu...  
A ponieważ człowiek nieszczęśliwy, nigdy zupełnie w nieszczęście swoje wierzyć niechce, tylko zawsze gdzieś

jakaś nadzieję widzi, to i Bernard wynajdywał zawsze w takim razie jakie słabe argumenta, które ostatecznie się pocieszał, że to tak być nie może! Podejrzenia te jednak sprawiły, że często wychodził na Leszno i zdała przypatrywał się domowi, na którego poddasze miał teraz wstęp wzbroniony. Patrzył na nieme, białe ściany, aby z ich martwej fizjonomii coś odgadnąć!... Ale fizjonomia ta wapienna, jak twarz kobiety narzucona bielidłem nic nie mówiła!... Bernard patrzył na znane mu dobrze okienka na poddaszu. Kilkanaście wróbli ćwierkało tam wesoło, jakby o czymś wiedziały, ale Bernard nie mógł zrozumieć ich ćwierkania!... Jakiś bury kot przesunął się z wolna samym brzegiem rynny, zaglądnął do okienka,

najeżył sierść i mruknął kilka razy... ale Bernard nie rozumiał tego mruczenia!... Wreszcie kilka wron usiadło na kominie i zaczęły krakać prześlicznie, ale coby to krakanie znaczyć miało, także Bernard nie wiedział... Jedna rzecz tylko zaniepokoiła go mocno. Około południa ujrzał jaz dorożkę, szczelnie zamkniętą, stojącą przed domem. Za chwilę wyszła z bramy sama szambelanowa, wsiadła do dorożki i gdzieś odjechała... Co to mogło znaczyć? Gdzie mogła szambelanowa sama pojechać?... Wszak to był jej tydzień dla egzercyści nabożnych, w którym miała cały czas w domu pozostać? Mszy już o tym czasie w kościele nie było... Piątego dnia wreszcie, gdy wyszedł na Leszno, oba czył pod domem stojących żydów z różnymi łachmanami na rękach. Jedni wchodzili do kamienicy, drudzy wychodzili. Mówili między sobą, spierali się i kłócili. Pokazywali na coś rękami i kijami i rzeczy trzęśli swoje tandetne!... Jakkolwiek to wszystko może nie tyczyło się poddasza, jednak widok tych ludzi, którzy jak wrony kupią się zazwyczaj przy jakimś nieszczęściu, aby z tego nieszczęścia skorzystać, sprawiło na Bernardzie jakieś dziwne wrażenie. Lękał jednak zbliżyć się i zapytać, i wytłomaczył sobie stado tych czarnych ptaków jak mógł najlepiej dla swojej zbolalej duszy!...

Nazajutrz przyszedł Bernard do biura blady i strasznie znękany. Usta miał spalone gorączką.  
W nocy trafiły go jakieś sny okropne. Zdawało mu się, że widzi szambelanową na marach śmiertelnych, z twarzą trupią, lecz zachmurzoną i otwartymi oczyma!... Oczy te strasznie, strasznie na świat patrzyły!...  
A gdy się bliżej w tę twarz wpatrywał, poznawał powoli w tej twarzy drobne rysy Tereni... Z bolesnym uśmiechem leżała uśpiona, jak leży kwiat białej róży, gdy go wiatr Nielitościwy od gałązki oderwie...  
Bernard zerwał się z łóżka cały drżący — był już dzień jasny. Ubrał się i wybiegł na Leszno, spojrzął z przestachem na dom biały... ale przy tym domu nie widział zwykłych oznak śmierci...  
W biurze powitał go naczelnik jakimś zagadkowym uśmiechem. Kazał mu usiąść w swoim pokoju i rozmawiał z nim bardzo łaskawie. Potem wydobył jakiś duży papier, a wręczając mu go rzekł do niego:  
— Mości panie Bernardzie! Ostatnimi czasy byłeś pan tak pilnym, że postanowiłem przyspieszyć wniosek mój, podania pana do rangi i pensji wyższej. Wczoraj na sesji uchwalono to dla pana.  
Bernard rozwinął papier, był to dekret na wyższą rangę i pensją kilku tysięcy...  
Zadrżały mu łzy pod powieką... Przed kilkoma ty

godniami było by to niebem dla niego, dzisiaj... kto wie, czy mu się to na co przyda?...  
Mimo tych smutnych myśli, podziękował Bernard naczelnikowi. Naczelnik niechcąc prawdopodobnie długich podziękowań ze strony uszczęśliwionego, jak mnie mał, Bernarda, zapytał go od niechcienia:  
Pan mieszkałeś u starej szambelanowej na Lesznie... Czy jest co może z meblów starożytnych do nabycia?  
— Z meblów starożytnych do nabycia? powtórzył machinalnie Bernard.  
— Sądzę, że tam nie będzie coś arcykosztownego jeżeli dłużnik licytuje ją dzisiaj za tysiąc złotych?  
— Dłużnik licytuje ją dzisiaj za tysiąc złotych?  
Dalej już nie słuchał Bernard, tylko wypadł z biura jak szalony.  
Po drodze wpadł do znanego mu lichwiarza.



— Słuchaj! zawołał drżącym głosem, to jest dekret  
na cztery tysiące złotych — daj tysiąc, dam go w zastaw!  
Lichwiarz założył okulary, spojrzął na drżącego  
z niecierpliwości Bernarda, przeczytał dekret i rzekł:  
— Z taką pożyczką zawsze bieda!... Tyle nie dam!  
Tysiąc to wiele!  
— Daj tysiąc, a podpiszę skrypt na dwa!  
Lichwiarz dał się ubłagać. Za chwilę biegł Ber  
nard z tysiącem złotych w kieszeni na poddasze.

xxxv.

Na poddaszu tymczasem dziwne działy się rzeczy.  
Podczaszyc jak dawniej grał na cytrze przy świetle księ  
życa, a Terenia słuchała go całą duszą, snując sobie  
przytem jak najrozkoszniejsze marzenia...  
Aż tu jednego dnia zaczęły się pokoiki napelniać  
różnymi ludźmi dziwnych fizyonomii...  
Przemijały między nimi starozakonni handlarze  
starzyzną i tandetą.  
Wszyscy ci wchodzili do pokojów w czapkach, opa  
trywali meble, pukali po stołach, macali zwierciadła...  
— Cóż to jest takiego ? zapytał podczaszyc szam  
belanowę, która z twarzą surową siedziała na krześle.  
— Czy aspan nie widzisz ? odpowiedziała krótko,  
jest to, co zwykle spotyka ludzi biednych — licytacja  
— Licytacja! krzyknął podczaszyc i zbladł cały  
bo to słowo było grobem miliona...

Terenia załamała ręce, krzyknęła z boleści i zaczęła  
rzewnie płakać.  
Płacz dziecię moje, płacz, mówiła spokojnie szam  
belanowa, może zasłużyłaś u Boga na te łzy!... Bóg  
nigdy na darmo nie wymaga łez od człowieka... tylko  
łzami radości wolno szafować człowiekowi, łzy boleści  
należą się Bogu, jako expiacya grzechów naszych!...  
Płacz dziecię, może Bóg nam przebaczy!...

Podczasyc nie chciał dłużej słuchać moralnego obroku... odszedł do swego pokoiku, aby rozmyśleć co tu robić. Groziło mu wielkie nieszczęście, stał się śmieszny... Może to jeszcze wszystko nie prawda? Wyszedł do sieni, zapytał jakiegoś piegowatego człowieka, który zdawał się mieć jakiś interes w tej li cytacyi... I dowiedział się, że licytacya odbędzie się rzeczywiście, że tylko czekają na rejenta... że szambelanowa winna tysiąc złotych i nie ma czem zapłacić... W tej chwili przecisnął się listowy i oddał pod czaszycowi list opieczętowany. List był z Paryża i adresowany do niego na poddaszu. Podczaszyc zadziwił się i prędko rozdarł pieczętkę. W liście czytał: — „Drogi przyjacielu! Za pożyczone dwieście dukatów winienem ci wdzięczność. Piszą mi z Warszawy, że wybrałeś się na romantyczną wyprawę, aby na pod

daszu ułować milion!... Otóż oznajmiam ci, że Wiadomość, jakoby szambelanowa posiadała milion gotówką, była moim wymysłem, aby złośliwe dowcipy oddalić od siebie z powodu owjej nieszczęśliwej marchwi! Pamiętaj więc, abyś się nie zgubił, bo tam prócz obroku moralnego, nie znajdziesz ani złamanego szeląga!... P. S. Zapomniałem donieść ci, że wziąłem w kościele św. Magdaleny w „chappelle de mariage” ślub z pułkownikową... i tobie radzę coś podobnego zrobić, bo żyć cię krótkie, czas uchodzi, a im później, tem trudniej o pieniądze... tout a vous: Podkomorzyc

Gdy podczaszyc ten list przeczytał zbladł cały i za trzął się, jakby miał febrę. List wypadł mu na ziemię. Ale namysłu nie było... Obok płakała Terenia... w sieniach czekali żydki z łachmanami na rękach... Za godzinę mógł przyjść rejent... Świat cały dowie się o jego nieszczęsnej wyprawie po milion... Podczaszyc wymknął się cicho z pokoiku i pędem do swego mieszkania na Nowy Świat pobiegł. Z tamtąd wysłał prędko służącego na Leszno po złotą miednicę, złoty kubek i inne drobiazgi kosztowne... Szambelanowej kazał powiedzieć, że ważne rzeczy muszają go do opuszczenia pokoiku... Gdy służący z tem zleceniem do szambelanowej przyszedł, zastał już tam urzędnika sądowego. Szam

belanowa rozśmiała się złośliwie i odpowiedziała służącemu, że tych rzeczy wydać nie może, bo na wszystko w domu położony jest areszt. Potrzeba więc, aby podczasyc osobiście się stawił, i swoją własność w obec sądu reklamował.

Służący odszedł z tą smutną wiadomością do podczaszyca.

Podczasyc zbladł znowu ze złości, że tak srogo prześladowa go dzisiaj gwiazda jego. Pozostawione na poddaszu rzeczy były kosztownym zbytkiem, obliczonym właśnie na efekt dla świata. Była tam część jego fortuny, której tak prędko nie mógł się wyrzec!...

Ale cóż począć w takim razie? Jakże tam stanąć w obec urzędnika sądu, w obec Tereni i Szambelanowej i być świadkiem smutnego aktu egzekucji sądowej, dopełniającego się na ubogich?

Podczasyc walczył niejaki czas, ale szlachetny kruszec przemógł...

"Wszedł na poddasze z czołem zimnem, miedzianem i w obec urzędnika sądowego zareklamował pozostawione w pokoiku rzeczy.

Po długiej rozprawie, przy której musiał opowiedzieć całą historię swego wybryku artystycznego i za jej odczytanie tego pokoiku, zezwolił wreszcie urzędnik na odzyskanie jego rzeczy pod warunkiem, że w sądzie zaprzysięże swoje tutejsze zeznania...

Podczasyc stał blady i zimny jak posąg... Wkoło niego odbywała się licytacja... Szambelanowa z najwyższą pogardą patrzyła na niego... Nawet żydzi potrafią cali go...

Terenia zapłakane oczy odwróciła teraz od niego... Jedną miednicą mogła zaspokoić nienasyconego lichwiarza... On patrzył na jej łzy i rozpacz i stał zimny, jak bryła kamienia...

Jakże brzydką wydała jej się teraz ta twarz blada, bez życia, zużyta i zniszczona!...

XXXVI.

Uboogie poddasze stawało się z każdą chwilą jeszcze uboższem. Wychodził niego jeden sprzęt po drugim. Krzesła, kanapa, szafki, stoły, lustra wszystko wędrowało po schodach, aby spokojniejsze miejsce zająć w tandecie...

Wreszcie niepozostało nic... nic prócz smutku i rozpaczy w gołych ścianach... i prócz jednego stołu, który nabył jakiś tandetnik i właśnie usiłował go ruszyć z miejsca, gdy Terenia nagle krzyknęła.

Przypomniała sobie, że w szufladzie tego stołu miał Bernard jakieś papiery. Przystąpiła więc do tandeciarza i zabroniła mu brać tego stołu nie otworzywszy wprzódy szuflady.

Szuflada jednak była zamknięta, a klucz u Bernarda.

Za długo było tandeciarzowi czekać — wstrząsł kilka razy stołem, a zamek puścił...

Terenia schyliła się, aby wybrać papiery... w tym nagle krzyknęła!

Zbliżyła się szambelanowa i złożyła ręce jakby modlić się chciała...

— Pocziwy Bernard, zawołała, zkad on wziął pieniędzy na twoje obrazki!

Terenia wyjęła swoje obrazki, a łzy rześiste puściły się z jej oczu...

— Patrz Tereniu... nawet ten ostatni obrazek!...

W tej chwili, zadyszany i cały czerwony od wzruszenia wpadł Bernard.

— Systuję subhastę! krzyknął śród gołych ścian i na stół rzucił tysiąc złotych.

Szambelanowa rozśmiała się i rzekła:

— A cóż acpan chcesz ratować, czy te gołe ściany?

Tandeciarz prędko wyniósł się ze stołem, który tam nabył. Szambelanowa zaledwie zdołała tysiąc zł

tych wziąć z niego....

Gdy już nikogo i nic na poddaszu nie było, uści skąła szambelanowa Bernarda i na głowę jego kilka łez wylała. Terenia stała zapłakana, z obrazkami w rękach...

— Tereniu, zawołała szambelanowa, czy teraz wiesz, kto cię kochał?... Czyś ostatecznie sama przekonała się, kogoś ty kochać powinna i jak kochać? Terenia spuściła oczy, serce jej biło gwałtownie.

Przed chwilą rozżalona i zrozpaczona, czuła teraz, że jej dusza zbłąkana na chwilę wraca teraz do dawnego uczucia...

Bernard przystąpił teraz ku niej; łzy puściły mu się z oczu, przykląkł, i nic nie mógł mówić. Terenia pochyliła się nad nim, dwie perłowe łezki spadły z jej oczu na jego głowę...

— Podajcie sobie ręce, rzekła szambelanowa, bo Bóg was stworzył dla siebie. Ty Bernardzie mężnie i poczciwie przebijając się przez życie i zasłużyłeś u Boga na szczęście... A ty Tereniu nauczyłaś się być ubogą, a teraz miej naukę, że nie zawsze to dobre, co dobrocią świeci! Nauka ta potrzebna ci nawet była, bo kobieta bez podobnych doświadczeń, nie może kochać całą duszą! Zawsze mającąc jej będą przed oczyma jakieś widziadła zdała barwami nęcące, póki się ich ręką nie dotknie i nie poczuje, że to brzydkie mgły, wyziewy błota i zgnilizny...

Bernard okrywał pocałunkami rękę Tereni i płakał...

Terenia także płakała...

— Mam dekret na rangę i cztery tysiące złotych! zawołał nagle Bernard, bo teraz dopiero o nim sobie przypomniał — mam dekret... ale zastawiłem go za tysiąc złotych!

— Szambelanowa patrzyła kilka chwil z rozróż-

wnieniem na Bernarda, który dziwił się, że jego dekret tak mało wrażenia sprawił u biednych...

— Schowajmy to wszystko na później, rzekła w końcu szambelanowa, a teraz chodźmy na obiad, bo jestem głodna!

Zeszli na dół. Na dole czekała dorożka.

— Państwo młodzi naprzód! zawołała z uśmiechem szambelanowa i kazała dorożce jechać na Nowy Świat. Na Nowym Świecie stanęła dorożka. Szambelanowa wysiadła i szła naprzód. Weszli na piętro. Minęli jeden pokój i drugi. Urządzenie było w kwintne chociaż nie zbyt dobre. W trzecim pokoju na kryte było do stołu, a panna Elżbieta właśnie stawiała wazę.

— Moje dzieci, ozwała się szambelanowa, oto jest wasze pomieszkowanie!... Macie sześc, pokoi, dla mnie siódmy. Tymczasem to wam wystarczy, a gdy będzie potrzeba więcej, to pomyślimy!... Teraz) odmówmy modlitwę, podziękujmy Bogu za wszystko i siadajmy do obiadu, bo jestem głodna!...

Czyż na tem koniec?... A koniec!

Ale milion?... Gdzież milion?

Miliona nie liczyłem, to o nim nic bliższego powiedzieć nie mogę. Opowiadali mi tylko współcześni

tego wydarzenia, że po wszystkich salonach Warszawy rozeszła się wieść, że szambelanowa w istocie dała milion gotówką Bernardowi. Byli nawet tacy, którzy to widzieli...

Mimo tego miliona jednak pozostał Bernard przy pracy, doszedł najwyższych w kraju urzędów, a jeżeli kiedy jaki przyjaciel poufnie pytał go, czy rzeczywiście dostał milion od szambelanowej, wtedy Bernard zbliżał się do Tereni, a całując ją w różowe paluszki odpowiadał :

— Czy nie wierzysz, że to milion, mój bracie?

— Ba, replikował na to ciekawy przyjaciel — ja wiem, że to milion, ale ja pytałem o pieniądze!...

— To w takim razie pytaj, czy dostałem dwa miliony, a ja ci wtedy odpowiem!

Do kategorycznej odpowiedzi jednak nigdy nie przyszło, ale przyjaciele Bernarda wierzyli po tem jak żył i co drugim świadczył, że miał rzeczywiście — dwa miliony !

KONIEC.

